

M A R E K T R O J A N O W S K I

POLISZFIKSZYN

(Antymitologia)

Internet 2008

- A on mnie przeżywa buuuu! – usłyszał w słuchawce Atomizer Adamski. Po głosie poznał, że to był jego najlepszy funfel Dżak Menel. Nie wiedział co odpowiedzieć. Budzik na szafce nocnej pokazywał drugą w nocy, trochę był zaspany. Jednak nie wypadało zostawić przyjaciela na lodzie, zwłaszcza, że znał jego wrażliwą naturę. Zapytał lekko zaspanym głosem:

- To ty Dżak?

- Tak, buuu, chlip, chlip, to ja. Weź im coś powiedz, bo zrobię sobie coś złego – płakał przez telefon. Był w całkowitej rozsypce. Adamski znał ten histeryczny ton w głosie swojego najlepszego funfla. Wiedział, że to nie przelewki i że musi jak najszybciej zareagować. Powiedział do Menela:

- Uspokój się kochanie. Już sprawdzam.

- Byle szybko, byle szybko...buuuu...bo sobie coś zrobię – histerycznie powiedział Dżak i rozłączył się. Adamski słysząc w słuchawce rytmiczne „beep, beep, beep” wiedział, że także i tym razem to nie żarty. Znał przecież Dżaka nie od dziś. Postanowił działać. Wstał, szybko założył różowy szlafrok w krasnoludki, który dostał na 69 urodziny od Dżaka, włączył komputer. W wyszukiwarce internetowej wpisał adres: www.nieszuflujtakdzak.pl, następnie zalogował się do panelu administratora – tylko on znał hasło. Szukał na „Forum”, szukał w dziale „Wiersze”. Nic nie znalazł. Po kilkunastu minutach poszukiwań zaczął się lekko denerwować. Spod drżących i spoconych palców wymykały się klawisze zabrudzonej klawiatury komputerowej. Adamski wiedział, że czas nagli, że Dżak może sobie coś zrobić, że musi działać. Nie znalazłszy żadnego postu czy komentarza, który mógł być przyczyną sprawczą hysterii Dżaka, wybrał pierwszy lepszy nick, zaznaczył opcję: „blokuj” i nacisnął „ENTER”.

Teraz pozostało mu tylko czekać na telefon od Menela. Mała wskazówka na zegarze zbliżała się do godziny trzeciej. Dżak nie dawał znaku życia. Telefon milczał.

- Czyżbym się pomylił? – pomyślał Adamski. – Ale przecież ja się nigdy nie mylę! Jestem nieomylny! – pocieszał się, chociaż jak zawsze w takich przypadkach nigdy nie miał stuprocentowej pewności. Trzymając nieustannie rękę na słuchawce, czekał na telefon. Gdy minął kolejny kwadrans a Dżak nie dawał znaku życia, w głowie Adamskiego pojawiła się pewna wątpliwość:

- Czyżby awaria telefonów w mieście?

Podniósł słuchawkę i wykręcił jedyny numer, który znał na pamięć: 9393. Gdy usłyszał łagodny głos: „Tu biuro obsługi klienta...” odetchnął, wiedział bowiem, że telefon działa, że łączy są w porządku. Nie odłożył jednak słuchawki by wyczekiwać sygnału od Dżaka, tylko jak zawsze zasłuchał się w głosie miłej, automatycznej pani operatorki z Błękitnej Linii. To była pierwsza i ostatnia kobieta, którą pokochał. Kryła w sobie tyle tajemnic i jednocześnie była taka znajoma. Każde jej słowo znał na pamięć. Każdy akcent, najmniejsze jej westchnienie wytatuował sobie w pamięci. Był nawet taki okres w życiu, gdy chciał porzucić Dżaka dla tego niebiańskiego głosu telefonicznej kobiety. I pamiętał, że nawet próbował z Dżakiem rozmawiać na ten temat. Czysto hipotetycznie wówczas pytał: „A może odpoczęlibyśmy od siebie?”. Dżak wówczas robił szalone awantury. Groził to samobójstwem, to zabójstwem, to skandalem obyczajowym. Dlatego postanowił, że nigdy nie powie prawdy o swojej prawdziwej namiętności. Ukrywał to uczucie przed Dżakiem, nie chciał go zranić. Zresztą nie uważał, by jego potajemne uczucie do Automatycznej Sekretarki było warte tych scen zazdrości, które mogłyby zmienić ich związek w koszmar.

Po dwudziestu minutach odłożył słuchawkę. Cekał na telefon od przyjaciela.

Chłopcy poznali się jakiś czas temu. Dżak należał do tego rodzaju basałyków, którzy w dużych okularach, zasłaniających połowę twarzy zawsze siedzieli na ławce, zamiast razem z innymi dziećmi budować zamki z mokrego piasku w osiedlowych piaskownicach. Mimo, że był wesołym dzieckiem – przynajmniej za takie się uważał – to jednak okrucieństwo jego rówieśników, zmieniło go w typ skrajnie introwertyczny. Nasłuchawszy się dziecięcych rymowanek typu: „Okularnik, piąta szyja, dziś ode mnie dostał w ryja”, nie tylko wycofał się z życia społecznego, ale już w wieku siedmiu lat postanowił wziąć definitywny rozbrat z zabawkami – relikdami świata, który go nienawidził i którego on nienawidził – i zdecydował, że będzie pisał podobne rymowanki. Codziennie, po powrocie ze szkoły, siadał i jadł obiad, który podawała mu zatroskana matka. Nie miała ona dostępu do tych ściśle tajnych pokładów hermetycznych myśli, które kumulowały się w głowie jej syna. Ojciec zdawał się ignorować to, że jego jedyny syn, gwarant przedłużenia rodu Menelów, nie tylko nie spełni swego synowskiego obowiązku, ale w przyszłości nie będzie się do niego w ogóle przyznawał. Gdyby w trakcie tych codziennych obiadów, gdy zasiadał do stołu mając po swej prawicy małego Dżaka, miał choćby odrobinę wiedzy przyszłej, gdyby wiedział, że za kilkanaście lat Dżak wygra gminny konkurs im. Kościotrupków i że odbierając nagrodę postawi jego jako ojca w ostatnim szeregu, to pewnie zachowałby się teraz inaczej. Jednak ojciec nie miał tego cennego daru widzenia przyszłości. Siadał zatem milcząco przed talerzem zupy, zjadał go a następnie czytał gazetę.

Swoją pierwszą rymowankę Dżak stworzył – przynajmniej tak głosi legenda – już w kołysce. Było to dziecięce: „gga, ga ga, gga”. To niewinne, niemowlęce gaworzenie w interpretacjach jednego z jego późniejszych przyjaciół: Kubysława Winniczka, miało być początkiem trudnej drogi do stania się wieszczem. Ale zanim do tego doszło, zanim „gga” stało się złotym rogiem poezji internetowej, Dżak musiał stanąć oko w oko z własnymi demonami, a przede wszystkim zmierzyć się z własną seksualnością. O tym jednak za chwilę.

Tym czasem Dżak dorastał. Wielkie, plastikowe okulary zamienił na zgrabne okularki w dyskretnych oprawkach. Przebrnął bez większych problemów przez okres mutacji i zaczął się golić. Irytował go zawsze ten meszek pod nosem i był niezwykle szczęśliwy, gdy ojciec podarował mu pierwszą jednorazową maszynkę BIC, którą zgolił dziecięcego wąsa. Nigdy nie zapomni tej chwili, tych pierwszych postrzyżyn. To wówczas, gdy jego niewprawna młodzieńcza dłoń prowadziła ostrza po gładkim licu zaciął się. Wówczas to pierwszy raz w życiu zobaczył krew. Wrażenie to było tak silne, że kilkanaście lat później napisze rymowanki o tym jak w jednym mgnieniu oka zaciął się brzytwą. Największe wrażenie zrobił jednak na dorastającym Dżaku film porno, który przypadkiem obejrzał, gdy rodzice kupili odtwarzacz video. Wówczas to, jeden z chłopców z tej samej klatki schodowej, na której on mieszkał, a którego wcześniej nie znał – Atomizer Adamski, przyszedł o niego z wypiekami na twarzy i pokazał mu czarne, małe pudełko. Była to kasetka VHS z naklejką, na której ktoś odręcznie napisał: „Pornus DDR. Grannies”. To spotkanie dwóch dojrzewających chłopców okazało się być początkiem wspólnej drogi życiowej, ale wcześniej obejrzeliby film. Włączyli kasetę i ich oczom ukazały się stare, pomarszczone kobiece ciała. Dialogi zredukowane do: „fick mich! fick mich! und jetzt blass mich an! Ooo...sehr gut! Tiefer! Tiefer!“, zmieniły na zawsze ich sposób postrzegania kultury niemieckojęzycznej. Od tej pory zarówno Dżak jak i Adamski będą darzyć szczerą nienawiścią Wagnera. Ale był jeszcze jeden podświadomy skutek tego wspólnego seansu. Otóż w chłopcach zrodziła się na początku potajemna, a następnie zupełnie świadoma szczerą awersja do kobiecego ciała. Ich wyobrażenia o wiecznej młodości, o wiecznej jędrności kobiecych piersi prysła. Od tej pory każda kobieta jawiła im się jako zwały otłuszczonej, pomarszczonej skóry. Mimo tego wstrętu, także i oni – tych dwóch młodych chłopców – podskórnie odczuwało potrzebę obcowania z nagością. Poszukując jakiegoś ekwiwalentu dla gołych cycków, odkryli po jakimś czasie piękno własnych ud, a w miarę upływu czasu także i pośladków. Ich seksualna robinsonada

zakończyła się któregoś wieczoru, kiedy Adamski zapukał do drzwi Dżaka. Ten mu otworzył prezentując gładki tors adonisa. Adamski nie wytrzymał napięcia. Rzucił się na Dżaka. Przytrzymując go za włosy z tyłu głowy przyparł go z całej siły do ściany w wąskim przedpokoju. Dżak rozłożył ręce na ścianie. Śliska boazeria pod palcami nie dawała żadnego punktu zaczepienia. Adamski zdarł z niego spodnie, następnie slipki i runęli razem na podłogę. Wijąc się wspólnie na gumoleum, całowali się i pieścili. Obaj wiedzieli w tej chwili, że będą wiecznie młodzi, że nigdy nie urosną im wielkie, pofałdowane cycki, których to wspomnienie odmieniło ich estetykę raz na zawsze. Jednak ani Dżak ani Adamski nie wiedzieli, jak blisko im wówczas do znenawidzonego Wagnera, gdy szeptali sobie: „głębiej, mocniej...ooooo...”. Co za ironia!

Inicjacje seksualne często budzą wstyd. Dlatego i Dżak po przygodnie z przyjacielem, postanowił na jakiś czas wyjechać. Chciał dać sobie czas na przemyślenie tego całego zdarzenia, ale przede wszystkim pragnął się oswoić z tym miłym uczuciem, które towarzyszyło mu w trakcie i po. Kiedy nadeszły wakacje i otrzymał promocję do klasy maturalnej pochwalił się cenzurką przed rodzicami. Ci jak zwykle pochwalili synka-prymusa, chociaż przyzwyczaili się do koloru biało-czerwonego paska na świadectwie ich latorośli. Po obiedzie syn ich zaskoczył. Zjadłszy talerz pomidorówki powiedział:

- Mamo, tato chciałbym wyjechać gdzieś na wakacje. Najlepiej na wieś.

Rodziców najpierw zamurowało. Zaskoczony ojciec odłożył na chwilę gazetę. Ściągnął okulary, odkładając je tuż obok talerza. Spojrzał to na syna, to na żonę i zapytał:

- Na wieś? A dlaczego na wieś?

- Bo tam się można łatwo wzruszać tato..

Matka wstała od stołu. Podeszła do szafki kuchennej i wyjęła z niej czarny notesik. Wertowała przez chwile kartki mówiąc:

- A gdzie tu miałam adres do stryjecznej córki ciotki babki, która u wujka brata ciotecznego, który był stangretem w dworku hrabiów Koniecpolskich, myła garnki. O! znalazłam.

Podąła Dżakowi karteczkę z adresem.

Na drugi dzień Dżak był już gotowy do podróży. Spakowany plecak, w którym oprócz dziesięciu puszek konserwy tyrolskiej było miejsce dla trzech par bielizny oraz dla ulubionej książki Dżaka: „Jak osiągnąć sukces”, stał obok drzwi. Udzieliwszy kilku rodzicielskich porad synowi, rodzice odprowadzili Dżaka na pociąg. Chłopiec rozsiadł się wygodnie w przedziale i wyjął ulubioną książeczkę. Nagle usłyszał dudnienie w szybę. To był on – Adamski, który przyszedł się z nim pożegnać. I wówczas Dżak zdobył się na niebywały wręcz kontrkulturowy gest. Zapomniawszy na chwilę o drobnomieszczańskiej socjalizacji, podciągnął tiszert i przywarł sutkiem do szyby, żeby poczuć ciepło dłoni swego ukochanego. Inni pasażerowie, siedzący w tym samym przedziale zamarli, gdy zobaczyli tego ładnego, papuśnego chłopca w tak obscenicznej pozie. Pani z pieskiem, która przysiadła się jako ostatnia, pierwsza zaprotestowała:

- A fuj! Wstydziliś się!

Pan z wąsem, zajmujący miejsce tuż obok Dżaka, odsunął się i powiedział:

- Taki młody, a już pedał.

Tylko starszy, siwiutki dziadunio, który wyglądem przypominał stetryczalego profesora lwowskiej uczelni, z radosnym uśmiechem oblizywał lubieżnie usta. Jak się miało okazać, dziadzius ten był jednym z głównych jurorów przyznających nagrodę w konkursie im. Kościotrupków. On jako jedyny w tej chwili spośród wszystkich pasażerów przedziały, odkrył w chłopcu potencjał.

W atmosferze miniskandalu Dżak dojechał wreszcie na wieś. Spoglądając chwilę na oddalającą się pociąg, zarzucił plecak na ramię, poprawił okulary i ruszył przed siebie, a

dzień wówczas był bardzo upalny. Po jakichś trzech godzinach marszu Dżak dotarł do małej wioski. Przechodząc obok chłopskiej zagrody, zobaczył starowinkę krzątającą się pieczołowicie przy trzodzie. Mając w pamięci dobroduszość polskich chłopów, których psychologię poznał studiując długimi godzinami powieści Reymonta (Dżak zawsze chciał mieć piątkę z polskiego), zagadnął:

- Witajcie dobrodziejko, czy poczęstowalibyście mnie świeżym mlekiem? Długa droga za mną a i jeszcze szmat drogi przede mną.

Starowinka odwróciła się do Dżaka i powiedziała:

- A wypierdaj ino w podskokach!

Dżak chciał jeszcze coś powiedzieć ale gdy zobaczył, że babuszka schyla się po kamień, wiedział, że to nie przelewki. Uciekał co sił w nogach. Oddalwszy się na bezpieczną odległość, Dżak zwolnił. Zziębnięty, całkowicie zlany potem, przysiadł na przydrożnym kamieniu i zaczął rozmyślać o naturze polskiego chłopstwa. Zdarzenie, którego był naocznym świadkiem i uczestnikiem, uświadomiło mu jak wielka jest przepaść między tym, co było a tym, co jest. „To się nadaje na rozprawę filozoficzną” – pomyślał w duchu.

Ten incydent z chłopką miał się odbić szerokim echem w twórczości Dżaka jako wieszczka. Od tego bowiem czasu zaczął gustować w przydługich frakach, połyskujących cylindrach; zaczął reanimować dawne maniery. Historia stała się dla niego czymś, co jest teraz, a teraz traktował tak, jakby nigdy nie zaistniało. Złośliwcy twierdzą, że owo zauroczenie czasem przeszłym u Dżaka wzięło się z jego podróży w czasie, które to odbywa za pomocą magicznego pierścienia, który nosi na palcu, a z którym się nigdy nie rozstaje. Pierścień ten miał zostać wykuty przez krasnoludy zamieszkujące onegdaj ziemię i ma mieć tę właściwość, że umożliwia każdemu, kto go posiada podróż w czasie. Jednak jest to opowieść całkowicie fantastyczna, którą wymyślili ci, którzy zazdroszczą Dżakowi sławy. Nie zmienia to faktu, że Dżak posiada pierścień na jednym ze swoich smukłych palców. Nie wykuty go jednak żadne krasnoludy. Otóż, gdy Dżak dotarł w końcu do majątku, w którym stryjeczna córka ciotki babki u wujka brata ciotecznego, który był stangretem, myła garnki, został zakwaterowany na poddaszu. Jak każdy człowiek, także i Dżak miał pewne problemy z zaśnięciem na nowym miejscu. Dlatego też szwendał się nocą po strychu i zupełnie przypadkiem znalazł pierścionek ten w jednej z szuflad starego kredensu. Kiedy założył go na palec, zdecydował, że nigdy go już nie zdejmie, nawet do kąpieli, bo tak mu się spodobał. Całą noc siedział i oglądał swoje znalezisko, zastanawiając się: „Do kogo mógł należeć?”. Wreszcie wymyślił sobie historię romantycznego szlachcica, który posyła pierścionek swojemu ukochanemu w zalakowanej kopercie. W tym momencie wspominał swojego przyjaciela: Atomizera Adamskiego i gdy tak obracał pierścionek przyrzekł przed bogiem:

- Boże, przyrzekam przed tobą kochać go z całego serca! Nie opuszczę Atomizera aż do śmierci! Tak mi dopomóż bóg!

Dżak powtórzył przysięgę dla pewności, że zadziała jeszcze 18902 razy, a następnie całkowicie zmęczony położył się na sienniku i zasnął.

1

Po pierwszej nocy na wsi Dżak poczuł się jakby lepiej. Świeże powietrze, pianie koguta, zapach siana z siennika, na którym spał natchnęło go niezwykłym optymizmem. Wstał, ubrał się i zaczął się szykować do porannej toalety. Jako że nie było w izbie kranu z bieżącą wodą, ani nawet miednicy, postanowił wyjść na dwór, by umyć się przy studni na podwórzu. Z poddasza do sieni prowadziły kręte schody. Kiedy po nich schodził jego nozdrza przyjemnie łęchał zapach jajecznicy z kiełbasą i cebulką smażonej na maśle. Pomyślał wówczas: „Pewnie dla mnie”.

Jednak najpierw, zanim uda się na śniadanie, chciał umyć zęby. Wyszędłszy na zewnątrz jego oczom ukazał się sielski krajobraz chłopskiej zagrody. Między kurami hasał beztrósko kundel Fafik, który obszcze kiwał właśnie konie przy korycie z wodą. W rogu podwórza stał wóz drabiniasty, przygotowany do zwożenia siana, na środku była studnia z piaskowca. Opędzając kury, który najwyraźniej przywykłe do widoku człowieka, oswojone dziubały go w nogawki, Dżak zbliżył się do studni. Nie bez trudu ściągnął z niej drewniana pokrywę i zaglądnął do środka. Wówczas stało się coś dziwnego. Całkowicie zamurowany oglądał swoje odbicie w lustrze wody, by po chwili odskoczyć od studni wystraszony. Złany zimnym potem, chwyciwszy się za czoło bezsilnie opadł na ziemię mamrocząc:

- Mam pryszczę, mam pryszczę, mam pryszczę.

Całej scenie przyglądała się brzydka, piegowata i na dodatek ruda dziewczyna. Była to córka gospodarzy. Podeszła ona do skulonego i rozplakanego Dżaka, który w pozycji embrionalnej leżał na środku podwórza, dotknęła delikatnie pukla jego włosów i sepleniąc powiedziała:

- Ceść, co tu robisz? Cemu tak leżysz na ziemi? Tu są kuze kupki i może ci się coś psykleić.

Dżak błyskawicznie ocknął się. Świadomość, że do którejś z części jego ciała może być właśnie w tej chwili przyklejona kurza kupa zadziałała na niego mobilizująco. Zarwał się na nogi i zaczął oglądać to ręce, to koszulkę, to spodnie.

- O! Tu masz psyklejoną kupkę – zachichotał rudzielec, wskazując na poślądki Dżaka.

Nie chcąc brudzić rąk Dżak powiedział:

- To weź mi to wyczyść – po czym odwrócił się do niej tyłem.

Dziewczynka uklękła na dwa kolana, objęła Dżaka w pasie i zaczęła zlizywać wilgotną plamę ze spodni. Skonfundowany Dżak zapytał:

- Co ty wyprawiasz?

- Slizuję kupę – odparł rudzielec i dodał – Jestem znaną lizodupczynią, lubię się podlizywać, zwłaszcza ludziom z miasta.

- Trochę godności kobieto! – wykrzyknął Dżak i wyrwał się z jej objęć. Nie to, żeby mu się nie podobało owo podlizywanie, ale dlatego, że jeszcze w tym czasie był w pełni przekonany, że istnieje coś takiego, co się nazywa godnością. Ruda brzydula, cały czas pozostając na klęczkach zaczęła płakać. Dżakowi zrobiło się żal smarkuli. Podeszedł do niej, odgarnął jej rude włosy z piegowatej twarzy i powiedział:

- Już dobrze, nie becz.

- Ty nie rozumiesz – sepleniła przez łzy dziewczyna – Ja chcę się podlizywać, muse się podlizywać, lizanie dup wselkich to moje pseznaczenie!

- Skoro tak mówisz, to masz.

Dżak odwrócił się ponownie do dziewczyny, by ta dokończyła dzieło. Wiedział bowiem, że nie można bez konsekwencji wystąpić przeciwko przeznaczeniu, nawet gdy te nie było jego udziałem. Pełen zrozumienia dla losów jednostkowych stał cierpliwie. Postanowił nawet ściągnąć spodnie i slipki, by nie stawać na drodze do pełni szczęścia tego rudzielca, którego spotkał na swojej drodze życia. Samo lizodupstwo trwał dobry kwadrans. Dżak, o ile na początku czuł pewien dysonans między wartościami, które wyniósł z domu, a rzeczywistością spod znaku „lizodupków”, teraz czuł tylko błogą przyjemność. Ciepłe uczucie, mające swoje

źródło w ciepłym zakończeniu języka, utrwaliło się na zawsze w jego psychice. Pomyślał sobie wówczas: „Jak bardzo wartościowi są ci wszyscy, którzy mi się podlizują. Od tej pory będę się tylko takimi ludźmi otaczał. To takie przyjemne”.

Z tej egzystencjalnej refleksji wydobył go głos rudzielca:

- Skończyłam.

Rudzielec ocierając usta wstał z kłęczek i wielkimi, naiwnymi oczami z widocznym usatysfakcjonowaniem spoglądał na Dżaka.

- A jak ty się właściwie nazywasz? – zapytał Dżak.

- Jestem Andronia de Prowincja.

- Serio? – zapytał jakby z niedowierzaniem Dżak.

- No.

Dżak zasmucił się na chwilę. Znał bowiem źródłosłów jej imienia. Był prymusem, a z polaka już od podstawówki miał same piątki, a później po reformie stopni, to tylko same szóstki nawet, gdy musiał je wyprosić u nauczycieli. Wiedział zatem, że rzeczownik „andronia” wywodzi się od słowa: androny. Oczywiście zignorował kontekst grecki, kierując się sensem współczesnym narzuconym przez uzus społeczny, w którym wyraz androny funkcjonował w związku frazeologicznym: „pleść androny”. Postanowił jednak nie mówić o tym dziewczynie, u której na twarzy ciągle była widoczna satysfakcja ze skutecznego podlizania się. Zagadnął zatem o nazwisko i o to, co go najbardziej frapowało, a mianowicie o łącznik: „de”.

Dziewczyna zaczęła opowiadać, o tym jak to ludzie na prowincji lubią prowincję i dlaczego to właśnie uwielbienie znalazło wyraz w jej nazwisku. Opowiedziała także o łączniku: „de”.

Z tej całej pogawędki Dżak zrozumiał tylko, że przywilej związany z łącznikiem „de” związany jest z pewnym stanem urodzenia, który właściwy jest dla hrabiów, margrabiów i innych szlachetnie urodzonych. Tak mu się to spodobało, że postanowił od tego czasu sam udawać hrabiego. Pomyślał: „Szlachcianki nie mogą podlizywać się osobą niskiego stanu. Muszę zatem mieć coś w sobie z hrabiego, zatem jestem hrabią!”.

I taką oto drogą, prostego sylogizmu, Dżak obwołał się hrabią. Postanowił o tym jednak póki co milczeć.

Ale wracając do zdarzenia z rudzielcem. Po ablucji rectalnej Dżak zapomniał na jakiś czas o pryszczu na czole. Za pomniął także o higienie jamy ustnej i umyciu pach. Poczł się głodny. Przypomnił sobie ten zapach jajecznicy, który łechtał jego nozdrza, gdy schodził z poddasza. Pożegnał się z Andronią i udał się z powrotem do domu na śniadanie.

Gdy wszedł do kuchni zastał w niej gospodarzy, którzy minionego wieczoru udzielili mu gościny. Starsza pani krzątała się przy garnkach, stojących na rozgrzanej płycie pieca, gospodarz zaś odkrajał grubą pajdę wiejskiego kołacza.

- Co jest na śniadanie? – zapytał.

Gospodarz spojrzął przez chwilę na niego i powiedział:

- To, co widzisz, suchy chleb.

- A co do chleba?

- Nic – odpowiedział i powrócił do rytuału podziału kołacza na grube pajdy.

Dżak poczuł się poraz kolejny oszukany przez polskich chłopów. Co więcej, był wręcz zaszokowany sposobem gościny, jaki zaoferowała mu jego, daleka ale jednak, rodzina. „Sami zjedli jajecznicę z kiełbasą i cebulą, a dla mnie zostawili suchy chleb. Tego im nigdy, przenigdy w życiu, ale to prze prze prze prze przenigdy nie wybaczę” – przysięgł sobie w duchu. Obrażony, bez żadnego słowa wyszedł z kuchni.

- Ufff – odsapnął gospodarz.

- Ufff - zawtórowała mu gospodyni.

Jak to latem zwykle bywa, dzień na wsi był piękny. Wiejski krajobraz pozwolił Dżakowi na chwilę zapomnieć o pustym żołądku. Zawiązawszy sznurowadła w trampkach na dwie

kokardki, postanowił wyruszyć w nieznaną. Gdy tak sobie szedł polną ścieżką, cały czas czujnie rozglądał się na boki, bał się jednej rzeczy, a mianowicie tej rozchełstanej dziewczki, którą kiedyś widział na obrazie Chełmońskiego. Pamiętał jak dziś, gdy z wycieczką klasową wybrał się do muzeum i pani wychowawczyni kazała oglądać obraz „Babie lato”. Było to już po tym feralnym seansie, po którym wraz z Adamskim szczerze zniechęcił obwisłe kobiece piersi. Pamiętał tylko uścisk dłoni jego przyjaciela, który wówczas dzielnie stał przy nim, gdy zmuszony był oglądać grubą chłopkę rozciągniętą w blejtrami.

Prześladowany potencjalną możliwością spotkania takiego babsztyla, na którymś z wiejskich poletek, szedł Dżak cały czas przed siebie. Po jakimś czasie dała o sobie znać fizjologia. Pusty żołądek zaczął domagać się pokarmu. Dżak, jako że był chłopcem z miasta nagle przeflancownym na wieś, nie potrafił nie tylko upolować dzika, ale nawet złapać jaszczurki, którą mógłby zgrilować i zjeść. Usiadł zatem na skraju rowu i zaczął z utęsknieniem wspominać grube pajdy chleba, które odkrajał gospodarz. Kiedy lecąca ślinka zaczęła wypełniać niebezpiecznie rów, dosięgając prawie jego stóp, otrząsnął się.

- Myśl, myśl, nie poddawaj się – powtarzał pod nosem – Musisz przeżyć, musisz żyć nie dla siebie, ale dla świata!

Zaczął chaotycznie chodzić w kółko szukając wśród traw choćby jednego soczystego źdźbła, które byłoby jadalne. Nie znalazł jednak żadnej rośliny, która wyglądem przypominałaby marchewkę albo rabarbar, który mama przynosiła z ryneczku do domu. Nie poddawał się jednak. Postanowił się skoncentrować. Skupiał się tak przez kilka minut aż tu nagle poczuł dziwne ciepło na sobie i usłyszał głos:

- Dżak, Dżak!

Dżak zaczął rozglądać się dookoła. Nie widział jednak nikogo, kto mógłby go wołać. Jednak po chwili znowu usłyszał:

- Dżak! Dżak!

- Kim jesteś?! – zawołał zdezorientowany.

- To ja, Dżak! – odpowiedział głos.

- Jaki ja? Kim jesteś? Kim? Pokaż się! – panikował Dżak, ciągle nerwowo próbując zidentyfikować źródło tego głosu.

- Dżak, to ja Czesław!

- Ale jaki Czesław, nie znam żadnego Czesława! – wykrzyknął chłopiec.

- Miłosz – odpowiedział głos i kontynuował:

- Teraz wrócisz do siebie Dżak, wrócisz do domu, do miasta. Usiądziesz przy biurku i napiszesz jeden wiersz, drugi wiersz i trzeci. Później wyślesz je na konkurs im. Kościotrupków i dostaniesz nagrodę. Staniesz się wieszczem Dżak.

- Ale ja nie chcę być wieszczem – krzyczał Dżak histerycznie.

- Dżak, Dżak – powtarzał głos – nie uciekniesz przed swoim własnym losem.

Niczym opętany Dżak biegł z powrotem do domu. Tylko chwilę zajęło mu spakowanie rzeczy. Konserwy tyrolskie postanowił zjeść w pociągu. Właściwie to nawet nie czuł już głodu. Kiedy siedział w przedziale stukot lokomotywy nie był w stanie zagłuszyć dudniących w jego głowie słów:

- Staniesz się wieszczem, staniesz się wieszczem.

2

Powrotna podróż do domu była dla Dżaka wędrówką w głąb własnego ja. Cały czas zastanawiał się nad sensem słów Miłosa: „będziesz wieszczem”. W tych dłużących się godzinach jazdy stał się kapitanem Nemo, który Nautilusem przemierza wewnętrzny ocean id, ego i superego, by odkryć na końcu prawdę, będącą jednocześnie zagadką – tajnym przeznaczeniem. Ową podróż, w 3004 r., już jako dojrzały mężczyzna i wieszcz, opisze w pewnym cyklu rymowanek pt. „Wyprawa w popołudnie”. Dżak wówczas wspomni o tych wszystkich solipsystycznych wrażeniach, o tym jak z „prędkością stałą” mknął do wnętrza ziemi, jak „mijał nieistotne stacje”. Po tym zdarzeniu wszystko wydało mu się nieistotne. Czym był bowiem czas, dla człowieka, który miał być wieszczem? Czym była tragedia jednostkowa, czym był konflikt nuklearny (nie mówiąc już o legendarnej: „dziewczynce w rybaczkach, którą pieścił jakiś Mietek”) dla kogoś, kto właśnie szykował się na krucjatę przeciwko duchom najlepszym? Cały świat uległ natychmiastowej anihilacji, w głowie młodego chłopca został wzięty w nawias nieistnienia. Innymi słowy: już w tym okresie życia, chociaż to wydaje się niewiarygodne, Dżak dokonał kosmicznej redukcji wszelkich fenomenów możliwych, cokolwiek to znaczy.

O swoim nagłym powrocie nie zdążył powiadomić rodziców. Zresztą nie do nich udał się, by im jako pierwszym ogłosić dobrą nowinę. Intymny sekret, który faktycznie był przecież publiczną ewangelią, zdradził swojemu powiernikowi: Atomizerowi Adamskiemu.

Atomizer Adamski w tym czasie, gdy Dżak postanowił ponatchniewać się trochę na wsi, zainteresował się nowym wynalazkiem cywilizacyjnym – komputerem. Pierwszy komputer dostał od rodziców, gdy ci chcąc rozweselić synka, który był zasmucony absencją przyjaciela, zakupili mu pierwszą maszynę. Była to konstrukcja polskiej produkcji: ELWRO JUNIOR 800. W skład zestawu wchodził: komputer, magnetofon i mały monitor. Było też kilka kaset z programami. Wśród nich jedna, z językiem programowania LOGO, która odegrała – jak się miało okazać za kilka miesięcy – decydującą rolę o podziale ról w związku: Dżak-Atomizer. Jednak sam Atomizer na początku sceptycznie przyjął prezent, ale kiedy włączył cacko do zasilania, jego oczom ukazał się przyjemny zielonkawy blask monitora monochromatycznego. Trochę onieśmielony, niepewnie włożył kasetę do magnetofonu. Rozpoczęło się wczytywanie. Po około dwudziestu minutach na zielonkawym monitorze zobaczył napis: „BŁĄD ODCZYTU”. Atomizer powtórzył próbę. Przewinął kasetę, nacisnął odpowiedni przycisk i wpatrując się w fosforyzujący ekran, nasłuchiwał jak się program wgrywa. A słuchał uważnie starając się wyłowić choćby najmniejszą aberrację w sekwencyjnym pisku wydobywającym się z głośniczka magnetofonu.

- No kurwa jego mać, przecież ci mówiłem, że na obiad mają być kopytka a nie pierogi! – usłyszał nagle. To był głos ojca dobiegający z kuchni, który właśnie wrócił z pracy i wydierał się na żonę. Atomizer, chociaż przyzwyczyił się do tych już rytualnych deklaracji miłości własnych rodziców, tym razem z niepokojem spojrzął na monitor, czy aby przypadkiem fala dźwiękowa nie zakłóciła działania procedury wgrywania. Nagle stało się to, czego mógł się spodziewać. Jego oczom ponownie ukazał się napis: „BŁĄD ODCZYTU”. Atomizer wstał, podszedł do drzwi, upewniając się, że są dobrze zamknięte uszczelnić je skarpetkami tak, by nie przedostawał się przez nie żaden odgłos. Następnie siadł przed zielonkawym monitorkiem, przewinął kasetę i rozpoczął ponownie proces wgrywania.

Minuta za minutą – przeciągał się okres niepewności, w którym Atomizer nasłuchiwał głos z magnetofonu. Nagle usłyszał malutki zgrzyt i poczuł, że coś poszło nie tak. Nie czekał jednak biernie. Z szufladki w biurku wyjął mały śrubokrętek i zaczął ustawiać ręcznie głowicę

magnetofonu by dokładniej odczytywała taśmę kasety. Wszystkie jego zmysły w tej chwili skoncentrowane były na tej, wymagającej wręcz zegarmistrzowskiej precyzji, czynności. Nagle drzwi do jego pokoju otwały się z impetem. Odwrócił się i zobaczył w wejściu ponurą sylwetkę ojca.

- Wynieś śmieci – powiedział do syna beznamiętnym głosem.

- Ciiii, za chwilę, teraz wgrywam program – powiedział równie beznamiętnym tonem Adamski, regulując nieustannie głowicę magnetofonu.

Okazywanie uczuć w tej rodzinie było zjawiskiem rzadkim. No może za wyjątkiem tych krótkich chwil, gdy podczas pełni księżyca Adamscy przeistaczali się w Adam's Family. Wówczas to ojciec przybierał postać Ponurego Żniwiarza, matka zmieniała się w Królową Wampirów a mały Adamski stawał się na kilka godzin wampirkiem Tyci-Tyci, który zmieniając się w nietoperza udawał, że jest batmanem. Wówczas to wmówił sobie, że ma misję do spełnienia: będzie chronił świat przed plagą złych uczynków. Jest to o tyle ważne, że za kilka lat ,jako admin portalu: www.nieszufujtakdzak.pl, ten batmański instynkt ochrony przed nieprawością wszelką, uczyni z Adamskiego wielkiego strażnika, w porównaniu z którym sławny nietoperz z Gotham-City będzie zaledwie motylkiem hasającym nad głową rusałki.

Godziny wspólnych hulank przy pełni księżyca należały jednak do rzadkich. Większość życia Adamscy spędzali pogrążeni w osobniczej apatii. Nie ma zatem powodów by dziwić się, że pochłonięty pasją informatyczną Atomizer perfidnie olał (nie bójmy się tego określenia) ojca. Ojciec jednak dalej stał w drzwiach, trzymając worek ze śmieciami w rękę.

- Wynieś śmieci – usłyszał ponownie Atomizer.

- Ciii, jak nie kichniesz, to się wgra – odpowiedział.

To, co stało się dalej różnie opisywane jest w literaturze fachowej. Jedni twierdzą, że młody Adamski wyciągnął cążki do paznokci i żywcem poszatkował ojca na kawałki, które następnie zapeklował i sprzedał jako długodojrzewającą mielonkę parmeńską. Inni skłaniają się do tych interpretacji, w których mowa jest o proteście Atomizera i o tym, jak ojciec spuścił mu lanie na goły tyłek za nieposłuszeństwo oraz o tym, jak syn w zemście morduje rodziców i ich zwłoki spala nad ogarkiem świeczki. Młode pokolenie historyków, wywodzące się ze szkoły moskiewsko-badeńskiej wysunęło rewolucyjną tezę, jakoby wówczas Adamski nie tylko zabił rodziców, ale w krwiozerczym szale zaszlachtował wszystkich mieszkańców w bloku. Podobno wówczas miało zginąć 129 osób, choć spór o liczbę ofiar trwa do dziś. Jedno jest pewne – rodzice Adamskiego znikli na zawsze a ich ciała nigdy nie odnaleziono.

Jako że nie czcze spekulacje są przedmiotem tej opowieści, lecz historia najprawdziwsza z prawdziwych, dlatego z obowiązku zrezygnuję z domysłów o charakterze wysoce niepewnym, tudzież polemicznym, koncentrując się na pewnikach.

Po wielokrotnych próbach Atomizer ujrzał na zielonkawym ekranie napis: „WITAJ W JĘZYKU PROGRAMOWANIA LOGO”. Uradował się niezmiernie, ale w prawdziwą ekstazę radości wprawił go malutki, migający żółwik. Kiedy dotykał palcem monitora żółwik migał cały czas w tym samym miejscu.

- Widocznie jest oswojony, nie boi się jak go dotykam, nie ucieka. Ale fajowy – wesoło mrucał pod nosem.

- Pewnie jesteś głodny mój mały żółwiku – powiedział, wpatrując się w ekran. - Jak chcesz sałaty to pojaw się i zniknij.

Żółw pojawił się i zniknął. Adamski szybko poszedł do kuchni, wyjął z lodówki sałatę lodową i wrócił z nią do pokoju. Siadł przed komputerem i zaczął karmić żółwika. Ten jednak nie jadł, tylko cały czas pojawiał się i zniknął na monochromatycznym tle monitora.

Ponad cztery godziny trwały wysiłki Atomizera by nakarmić żółwia. Gdy jednak mimo wielu usilnych starań żółwik nawet nie uszczknął sałaty Adamski wpadł w szał.

- Ty głupi żółwiu! – wydarł się i uderzył pięścią w monitor.

- Nie chcesz jeść? Nie smakuje ci sałata? Ja cię przetrzymam, jeszcze zgłodniejesz i będziesz mnie błagać o żarcie! – krzyczał do żółwika.

Atomizer nie zwykł rzucać słów na wiatr. Postanowił i tym razem dotrzymać obietnicy. Przez kolejne cztery doby zostawił komputer włączony i regularnie, co godzina, sprawdzał czy ta krnąbrna bestia zmieniła zdanie, czy zgłodniała. Wypatrywał najmniejszych zmian w reakcji stwora, którego przygarnął pod swój dach. Nawet wyciągnął stoper, który kupił od ruskich na targu, by odmierzać cykle pojawiania się i znikania małego żółwia. Okazało się jednak, że mimo czterodobowego postu, czasookresy migania żółwika są cały czas takie same. To go załamało kompletnie. Po czwartej nieprzespanej nocy zrezygnowany zasnął na klawiaturze. Kiedy się obudził i spojrzął na monitor zobaczył, że to niepokorne stworzenie zmieniło swoje pierwotne położenie. Żółwik przesunął się i migał teraz w dolnej części ekranu.

- Ha! Kurwa! Wiedziałem, że wymiękniesz – krzyknął uradowany Adamski, zrywając się gwałtownie z krzesła. – Teraz pewnie zgłodniałeś!

W jego serce wstąpiła nadzieja i wiara w to, że człowiek jest w stanie pokonać maszynę. Kiedy euforia zmieniła się w refleksję, Atomizer zaczął zastanawiać się najpierw nad przebiegłością tego małego stwora. Myślał w duchu: „Jaki ty sprytny jesteś, jak cicho się poruszasz! Myślałeś, że mi spierdolisz? O nie bratku, aż taki mądry to ty nie jesteś”.

Jednak w końcu zobaczył pewien mały szczegół, który przeoczył tuż po przebudzeniu. Był to ciąg znaków w wierszu poleceń, który on sam przypadkowo i całkowicie nieświadomie wpisał, gdy zaległ na klawiaturze komputera.

Postanowił go jeszcze raz przepisać – a że droga między postanowieniem a czynem w jego przypadku jest krótka – natychmiast wklepał to polecenie ponownie i nacisnął „ENTER” – czyli ten sam klawisz, którym później, jako admin, będzie niepodzielnie dysponował, decydując o być-lub-nie-być całych wirtualnych nacji userów.

Dziś już wie, że wpisanie odpowiedniego polecenia skutkuje reakcją komputera, jednak wówczas przed tym, zanim stracił swoje wirtualne dziewictwo z krnąbrnym żółwiem, którego uczył posłuszeństwa, wiedza ta była mu obca. Dlatego też, gdy w milisekundę po naciśnięciu „ENTER” żółw zmienił pozycję, Atomizer krzyknął:

-Eureka!

Jego oczy płonęły zielonkawym światłem monochromatycznego monitora. Czuł się nie tylko Einsteinem w tej chwili, ale samym bogiem, bogiem wszystkich bogów. Był niepokonany, niezatapialny. Wygodnie rozłożony w fotelu, co chwilę spoglądając to na ekran, to w lustro, które stało obok na biurku, ostatni potomek rodu Adamskich kontemplował własną doskonałość. Wtedy to właśnie postanowił związać swój los z komputerem.

Z błogiej sielanki wyrwał go dźwięk dzwonka. Ktoś uparcie dobijał się do jego mieszkania.

Adamski otworzył a w drzwiach zobaczył rozpromienionego Dżaka. Chłopcy padli sobie w ramiona. Ta rozłąka bardzo ich odmieniła, mieli sobie tyle do powiedzenia.

- Będziemy bogaci, będziemy bogaci – powtarzał Dżak przyjacielowi, głaszcząc go po karku.

- Wiem, kochany. Cały świat należy do nas – czule szeptał Adamski odwzajemniając pieśczęty. – Ale zanim to się stanie mam do ciebie prośbę.

- Jaka?

- Pyknij ze mną Moon Patrol.

3

Minął jakiś czas od tego powakacyjnego spotkania. W międzyczasie Dżak zdał na studia, Atomizer, jako że nie chciał być gorszy zapisał się na wieczorowy kurs „php”, organizowany przez Osiedlowy Komitet Wsparcia W Każdej Trudnej Sytuacji. Mimo, że byli razem i stanowili świetny, wiecznie pedałujący, tandem, to każdy z nich odczuwał brzemień swego przeznaczenia. Jednemu nieustannie dudniło w uszach: „będziesz wieszczem”, drugi zaś miał przed oczami malutkiego żółwika, który pojawiał się i znikał na szklanym ekranie.

Któregoś razu, w trakcie wspólnego śniadania, Dżak powiedział:

- Kochanie, wczoraj napisałem wiersz.

- Jak to wiersz? – zdumiał się Atomizer – Od kiedy ty piszesz wiersze?

- Od wczoraj – odparł Dżak nie spuszczać wzroku z kromki chleba, którą dokładnie smarował masmixem, tak by cała powierzchnia pokryła się równą, prześwitującą powłoczką ale żeby smarowidła było jak najmniej, by następnie położyć na to sześć miętowych tik-taków.

Ów ceremoniał omasty wyniósł Dżak z wczesnego dzieciństwa. Jako brzdąc bowiem, był przedmiotem drwin rówieśników nie tylko ze względu na wielkie okulary, ale także dlatego, że był, mówiąc oględnie, gruby. Ile to razy słyszał za plecami a nierzadko prosto w oczy: „Gruby, wkręca śruby, śruba pęka, gruby stęka”. Któregoś razu, gdy wrócił zapłakany z podwórka do mieszkania, mama zapytała:

- Dlaczego płaczesz synku?

- Bo oni mówią, że jestem gruby – chlipał Dżak.

Wówczas to mama dała synkowi plakat filmowy Rambo III i powiedziała:

- Zobacz synku, Rambo też kiedyś był gruby, ale zaczął liczyć kalorie i zobacz jaki jest piękny, taaa... bardzo piękny, bardzo. Taki powabny.

Dżak przestał chlipać i spojrzał na matkę, która wpatrywała się dziwnym wzrokiem w sylwetkę Rambo, gładząc ją dłonią w okolicy klatki piersiowej. Kiedy dłoń matki zaczęła wędrować w okolice podbrzusza plakatu bohatera i kiedy matka wreszcie zaczęła obłapiać i całować ten zwitek papieru, Dżak rzucił się na rodzicielkę i wyrwał jej plakat, który w tym momencie matka ścisnęła między udami rytmicznie sapiąc.

Kiedy zbiegał po schodach, Dżak słyszał za sobą głos:

- Synku, ja żartowałam.

Dorastający Dżak wyparł z pamięci obraz ekstatycznej matki. Z całego zdarzenia pozostał mu tylko rodzicielska mądrość: „licz kalorie”. Ile to wieczorów nie przespał z liczydłem w ręku, starając się zsumować wartość kaloryczną posiłków, które zjadł. I być może zapalałby jakąś wewnętrzną namiętnością do tej kulinarnej buchalterii, gdyby nie dwa zdarzenia. Mianowicie, któregoś razu na matematyce w podstawówce dowiedział się, że $(a+b)^2$ to nie a^2+b^2 , co zachwiało jego wiarą w potęgę matematyki a tym samym w sens liczenia jako takiego. Drugie zdarzenie, które przesądziło definitywnie o tym, że Dżak przestał liczyć kalorie, to reklama. Otóż pewnego razu, gdy siedział przed telewizorem, oglądając ulubiony serial „L wie Liebe” zobaczył reklamę Tik-Taków, w której to smukła pani jadła cukierka mówiąc: „tik-tak, tylko dwie kalorie”. Od tamtego czasu Dżak postanowił przejść na tik-taki. Nie to, żeby mu smakowały szczególnie, ale dla łatwego rachunku.

Wracając do śniadania. Adamski cały czas zdumiony spoglądał na Dżaka, jakby nie wierzył w to, że jego ukochany może pisać wiersze. Przecież wiersze to było coś, czego szczerze nienawidził. Tyle razy kazano mu się w szkole uczyć wierszy na pamięć. Miał ich po dziurki

w nosie. Ale nie od razu dał po sobie poznać swoją antypatię do tego rodzaju twórczości literackiej. Zapytał:

- Dżak, czy jesteś pewien, że napisałeś wiersz?
- Tak – odparł Dżak, dopijając poranną kawę.
- A skąd wiesz, że nie jest to bajka ale wiersz?
- Słuchaj – powiedział Dżak, spoglądając poważnie na Adamskiego – Wieszczyk pisze tylko wiersze. Nawet jeżeli wieszczyk napisze listę zakupów na karteczce, to będzie to wiersz. Kapewu?

Adamski zdumiał się. Nie potrafił ukryć wrażenia, jakie zrobiły na nim słowa Dżaka na temat wieszczości i karteczek z zakupami. Postanowił nie kontynuować dalej tej rozmowy, w obawie, że nadmiar wrażeń w jego umyśle może przekroczyć wartość krytyczną. W milczeniu dolał sobie kawy.

W tym czasie Dżak wstał i jak zwykle o tej porze dnia udał się do toalety. Adamski, osaczony przez myśl, że jego luby pisze wiersze, w samotności kończył śniadanie.

Umywszy wspólnie naczynia, chłopcy rozeszli się każdy do swojego pokoju. Atomizer zupełnie niedawno odkrył fakt istnienia internetu, dlatego zaabsorbowany był tworzeniem pierwszej w swoim życiu strony internetowej, Dżak natomiast nieustannie pisał wiersze. Całe godziny spędzał w świetle lampki nocnej, wypełniając kolejne karteczki drobnymi szlaczkami liter. Mijały dni, mijały miesiące. Aż wreszcie nastąpił pamiętny dzień.

To było listopadowe popołudnie. Szarówka za oknem. Jednak w powietrzu było czuć coś niepokojącego, jakby narastające napięcie o charakterze metafizycznym. Nawet gołębie, które jak zwykle o tej porze roku beztrząsowo zasypiały na okiennych parapetach, teraz były niespokojne, a sierściuchy blokowe miauczeniem zagłuszały odgłosy dostawczych tirów, które dostarczały towar do pobliskiej Castoramy. Nikt wówczas nie przypuszczał, że tego dnia spełni się część miłoszowego proroctwa. Nie wiedział o tym nawet sam Adamski, który właśnie wracał z zakupami do mieszkania, chociaż znany był z tego, że wie wszystko.

Kiedy otworzył drzwi, jego oczom ukazał się osobliwy widok. Na stołeczku siedział Dżak a tuż obok niego stała jakaś dziwna przygarbiona postać okryta ciemną chustą, która unosząc dłonie nad głową przyjaciela mamrotała:

- Jesteś wielki! Jesteś wspaniały! Jesteś wielki.

Adamski natychmiast rzucił reklamówki z zakupami na podłogę i ruszył na pomoc przyjacielowi.

- Co ty mu robisz!? – krzyknął, rzucając się z całym impetem na mroczną postać. Jego ramię jednak nie dosięgło nieznajomej sylwetki. Atomizer zawisł w powietrzu, przetrzymywany przez jakieś dziwne pole siłowe. Próbował się wyrwać. Napierał całym ciałem, jednak wszystkie członki odmówiły mu w tej chwili posłuszeństwa.

- Zzzostaw go! – próbował krzyżeć, lecz także i z mową miał problem. Dziwna siła uniemożliwiała mu każdą reakcję.

Tajemnicza postać całkowicie ignorowała Adamskiego i koncentrując się na Dżaku nieustannie powtarzała:

- Jesteś wielki! Jesteś wspaniały! Jesteś wielki.

A Dżak tylko słuchał, nawet nie drgnął.

Nagle wszystko się jakby skończyło. Energia, która blokowała ruchy Adamskiego znikła. Atomizer bezwładnie padł na podłogę, śliniąc się jak po przebudzeniu z narkozy a Dżak dalej siedział na stołeczku wpatrując się w fakturę białej tapety na ścianie. Mroczna postać w powłóczystej, cementarnej szacie bezszelestnie zbliżyła się do Adamskiego i zapytała:

- Gdzie macie odkurzacz?
- Wwww, wwww szafie – wykrztusił z siebie, będąc jeszcze cały czas w szoku po tym całym zdarzeniu.

Postać podeszła do meblościanki, wyjęła z niej odkurzacz firmy Zelmer i podeszła z nim do otwartego okna.

- Kkkkim jesteś? – zapytał Atomizer mobilizując resztkę sił.

Mroczna istota odwróciła się do niego i odsłoniła twarz. Jego oczom ukazał się szkaradna twarz starej, pomarszczonej kobiety. Taka samą jaką kiedyś zobaczył w trakcie wspólnego seansu filmowego, gdy z Dżakiem oglądali pornusa. No może z tą różnicą, że te na filmie miały kompletne uzębienie i nie miały takich owłosionych kurzajek na nosie jak ta, którą właśnie oglądał. Nagle starucha przemówiła:

- Ja jestem alfa i omega. Jestem początkiem i końcem. Jako poetka za życia zapomniana, niedoceniona, niezauważona przeklełam świat, stając się po śmierci zmorą, która go nęka.

To ja – kontynuowała jęcza – byłam przyczyną zlodowacenia i śmierci dinozaurów! To moja wola prowadziła miecz Cortesa, gdy podbijał Meksyk wyzyskując ród Montezumy. To na dźwięk mojego imienia padają królowie tego świata na kolana, łkając jak niemowlęta!

Adamski nie wiedział, co ma powiedzieć. Jak zakłęty wpatrywał się w mroczną postać, która w tej chwili przypominała kulę Tesli. Zafascynowany obserwował te wyładowania elektryczne między, wędrujące po jej ciele. Po chwili zapytał:

- Jak się nazywasz?

- Ha, ha, ha! - zaśmiała się złowieszco jęcza i odparła – Mam wiele imion. Dla jednych jestem Dżennifer Lopez, dla innych Britnej Spirs, ale dla was będę Monią Tucięostrzygąmośkinaglanc

- A dlaczego tak?

- Bo smak! Buhahahahahahaha – zarechotała, po czym wspięła się nie bez trudu na parapet, usiadła na odkurzaczu i wymamrotała jakieś zakłęcie. Nagle coś zawyło, coś zadudniło. Adamski ze zdziwieniem obserwował jak się zagina przestrzeń między ścianami małego pokoiku. Kiedy spojrzął w okno nie zobaczył już w nim tajemniczej nieznajomej, tylko mały punkcik, który majaczył nad horyzontem.

Wyczerpany całym zajściem Adamski jeszcze raz spojrzął na Dżaka, by upewnić się, że mu nic nie zagraża. Gdy ujrzał, że ten bezpiecznie siedzi na stołeczku, stracił przytomność.

4

Po kilku godzinach Atomizer ocknął się. Spojrzał na stół i kiedy nie zobaczył na nim Dżaka szybko wstał i udał się na poszukiwanie przyjaciela. Najpierw sprawdził w kuchennej szafce, która była ich ulubioną kryjówką, w której chowali się przed inkasentem z gazowni. Lecz tam go nie było. Udał się zatem pospiesznie do łazienki. Wiedział, że Dżak lubił spędzać godziny na muszli klozetowej, oddając się studiom różnych gazet z pogranicza fantazy. Jednak i tam nie zastał przyjaciela. Przeczesał w końcu całe mieszkanie, ale jak się okazało nadaremnie. Dżak zniknął bez śladu. Atomizer bardzo się zaniepokoił, bo wiedział, że gdy Dżak wychodził gdzieś sam, to zawsze zostawiał karteczkę z informacją gdzie idzie i o której wróci. Tym razem nie było ani Dżaka ani karteczki. Całkowicie zrezygnowany usiadł w kącie pokoju, wiedząc, że pozostało mu tylko czekać.

Dokładnie trzy godziny, dwie minuty i jedenaście sekund później, Adamski usłyszał charakterystyczny szcęk klucza w zamku. Dżak wrócił do domu.

- Jesteś! Jesteś! A już myślałem, że porwało cię ufo! – wykrzyknął i rzucił się na Dżaka z otwartymi ramionami. Dżak jednak był jakiś dziwny. Nie był już ten sam wesoły młodzieniec, z którym jadł razem śniadania, zmywał naczynia czy szedł do łóżka.

- Serwus – powiedział opanowanym głosem Dżak.

- No jak to? Nie przytulisz mnie? – zapytał zdziwiony Adamski i dopiero teraz zobaczył istotne zmiany jakie zaszły w imidzu jego ukochanego. Dżak zamiast dzinsów, swetra i polaru miał na sobie przydługie, czarne garnitur. Okryty był kapotą, także koloru czarnego a na głowie miał dziwne coś, co wyglądało jak czapka, którą nosił Wokulski w „Lalce”. Cały ten wizerunek uzupełniał kawałek drewna, który Dżak dzierzył w delikatnej dłoni.

- Ale masz fajową palicę – powiedział Atomizer, spoglądając zazdrośnie na równiuteńki kawałek drewna. – Pójdziemy na kasztany? – zapytał.

- To nie palica ignorancie jeden ty – odburknął Dżak.

- A co?

- To laska, którą mi zrobił taki jeden pan.

- Jakiś pan zrobił ci laskę? – zapytał Adamski.

- Tak, w dzisiejszym świecie żeby osiągnąć sukces trzeba robić laski – odpowiedział Dżak, posiłkując się własnym wyobrażeniem na temat globalizacji, praw ekonomii i wolnego rynku. W oczach Atomizera pojawiły się łzy, a głowie zakiełkowała jadłowita myśl: „Czy zdradził?”. Dżak jednak nie zwrócił uwagi na zasmuconego przyjaciela. Odłożył laskę do kąta, ściągnął kapotę i powiesił ją na wieszaku i zapytał:

- Ładny mam garnitur?

- Trochę za długi – odpowiedział zasmucony Adamski.

- Też tak uważałem – powiedział Dżak, cały czas oglądając się w lustrze. – Ale wszyscy sprzedawcy w Tesco byli zgodni, że garnitur jest odpowiedni i że jeszcze na pewno urosnę, tylko muszę pić więcej mleka. Radzili, żebym go kupił, bo taka promocja to już się na pewno szybko nie trafi. I muszę ci powiedzieć – kontynuował – że jakoś to mnie nie przekonało. Kiedy jednak szef działu z odzieżą szepnął mi do ucha, że dorzuci markowy otwieracz do butelek gratis, to miałem pewność, że taka gratka nie zdarzy się prędko. No i kupiłem.

Historia zakupu garnituru w Tesco, była ważną lekcją, którą odebrał Dżak od życia. Nauczył się wówczas, że każdy towar, niezależnie od jakości znajdzie swojego nabywcę, oraz że najważniejsza w marketingu jest promocja. Tym magicznym pojęciem będzie kusił klientów Empiku, oferując tomiki swojej poezji w promocji. Najpierw robił promocje autorskie, to znaczy przesiadywał w sklepikach i rozdawał autografy. Jednak ten sposób okazał się być nieskuteczny. Bo ilość chętnych była niewielka, a Dżak musiał godzinami przesiadywać na

mrozie w holach marketów. Postanowił zmienić target dla swojej twórczości. Charytatywnie wyrecytował kilka rymowanek na Uniwersytecie Trzeciego Wieku. Tylko starsze panie były zainteresowane jego twórczością, więc zaproponował wszystkim słuchaczom, że do każdego tomiku, który kupią dołączy swój własnoręczny szkic Myszkki Miki. Jednak i to okazało się nieskuteczne. Dopiero któregoś razu wpadł na szatański pomysł. Udał się do banku, wziął kredyt i ogłosił promocję: „Dżak Menel, Wiersze, 2,59 pln/szt. + 42 calowy telewizor plazmowy i zestaw kina domowego dolbi sarałnd gratis”. Był to traf w dziesiątkę. Nie tylko sprzedał wszystkie sto egzemplarzy pierwszego nakładu wierszy, ale z całego kraju nadchodziły zapytania o kolejne egzemplarze i o konieczność dodruku.

Ten pionierski sposób błyskawicznego rozpowszechniania towaru, w tym przypadku tomików z rymowanekami, doczekał się wielu opracowań naukowych w literaturze ekonomicznej. W klasycznym, sześciotomowym dziele Hansa-Jürgena Grauschwanza pt. „Zukunftsökonomie: Dżak Menel und die Geschichte des All-Geheimnis“ (Berlin, 6023 r.), owa metoda nazwana zostanie: „menelowską zasadą zysku ujemnego na korzyść niepewnej przyszłości“. Grauschwanz jest zdania, że ta rewolucyjna wówczas metoda sprzedaży miała na celu: „wciskanie ludziom kitu, przy jednoczesnej stracie własnej w oczekiwaniu na sławę” (Tamże, t. 3, s. 467; zob. także: tamże, t. 2, rozdz. VI „Dżak Menel: Macht und Ruhm”). Na korzyść też niemieckiego badacza przemawiają ostatnie odkrycia archeologiczne prowadzone na Starym Rynku w Poznaniu. Odkryto tam fundamenty jednej z tanich księgarni, które były bardzo popularne w okresie życia i twórczości Dżaka Menela. Oprócz szyldu z napisem: „Arsenał” odnaleziono dysk twardy z zapisem wszystkich książek, które tam sprzedawano za grosik. Wśród nich były trzy tomiki autorstwa Menela.

Ale do rzeczy. Atomizer nie skomentował ani słowem tego promocyjnego entuzjazmu. Ciągle zasmucony, ciągle niepewny miłości ukochanego, wpatrywał się w Dżaka, gdy ten oglądał siebie z każdej strony w lustrze. W końcu wykrztusił z siebie:

- Dżak, po co ty kupiłeś ten garnitur? Po co ci ten cały dziwny strój? Co się z tobą stało, jesteś taki dziwny, taki inny. Myślę, że ty mnie już nie kochasz.

Dżak jednak wydawał się nie słyszeć, co powiedział w tej chwili jego przyjaciel. Ciągle stał przed lustrem i się oglądał. Nagle zaczął powtarzać:

- Jesteś wielki! Jesteś wspaniały! Jesteś wielki!

Gdy to Adamski usłyszał, natychmiast przypomniał sobie mroczną sylwetkę i owłosioną kurczawkę na jej nosie. „Jak ona się nazywała?” - próbował sobie w duchu przypomnieć imię tej poczwary. – „Coś jakby Monia Tucięostrzygą... , ale co dalej? Co dalej?” – milcząco szukał w pamięci. W końcu jednak skapitulował przed własnym ograniczeniem mentalnym i nazwał ją po swojemu: „A chuj, będziesz od dziś Monią Fryzjerką”.

Postanowił jednak, że nic nie powie Dżakowi o całym zajściu z Fryzjerką. Bał się, że może to może źle wpłynąć na jego delikatną naturę. Mógłby się przestraszyć i zacząć jąkać. Ale nie pozostał bezczynny.

Kiedy Dżak jak zauroczony powtarzał do swego odbicia, że jest piękny, że jest wspaniały, Adamski wiedział, że istnieje tylko jeden sposób by wyrwać przyjaciela z marazmu. Postanowił zrobić to, co zwykle czynił, gdy Dżak wpadał w depresję. A dodać należy, że stany depresyjne od momentu, gdy powrócił on ze wsi, nie należały do rzadkich.

Bez chwili namysłu energicznie rozpiął rozporek przyjaciela, pogrzebał w nim chwilę. Wyjął na wierzch siusiaka Dżaka a następnie przystawił do niego swojego penisa.

Ten intymny rytuał chłopcy nazwali „dotykaniem się pisiorami”. Była to tylko ich pieszczota, o której nikomu nie mówili. Był to ich nigdy nie odkryty wkład w dorobek kulturowy cywilizacji śródziemnomorskiej.

- Cos mówiłeś!? Coś mówiłeś? – zapytał głośno nagle przebudzony Dżak.

- A pytałem cię o to, po co ci ten cały garnitur i to dziwaczne ubranie – odpowiedział Adamski zapinając rozporek.
- Bo właśnie wysłałem swoje wiersze na konkurs im. Kościotrupków. Wiesz – kontynuował – jakaś dziwna siła we mnie wstąpiła, uwierzyłem w siebie, w to, że jestem wielki i wspaniały no i wysłałem. Kupiłem oczywiście też garnitur, cylinder, kazałem sobie zrobić laskę, bo muszę dziwnie wyglądać, jak będę odbierał nagrodę.
- A skąd wiesz, że wygrasz?
- Ale ty naiwny jesteś, kochanie, przecież wiadomo, że wygram, Miłosz mi to obiecał.

5

Konkurs im. Kościotrupków organizowany był każdego rok. Cieszył się on dużą popularnością. Bynajmniej nie ze względu na błyskotliwość jego laureatów, ale z innego powodu. Otóż wszyscy z wielkim zainteresowaniem śledzili powolne ruchy jurorów, którzy – jak nazwa konkursu wskazuje – rekrutowali się spośród pacjentów oddziału geriatrycznego. Z chwilą ogłoszenia konkursu, bukmacherzy obstawiali, któremu z członków żiri, jako pierwszemu wypadnie balkonik z dłoni, któremu wypadnie proteza uzębienia, który najdłużej wytrzyma bez respiratora. Najbardziej brutalne były te zakłady, w których obstawiano śmierć przewodniczącego komisji. Tak czy siak, co rok zbierało się to grono starsuszków i starsuszek (niektórych nawet zwożono erkami z całymi zestawami do podtrzymywania życia), by trzęsącymi się dłońmi postawić krzyżyk przy nazwisku jednego z kandydatów do nagrody im. Kościotrupków. Wówczas to zwycięzca, który zebrał najwięcej takich krzyżyków, wychodził na mównicę i wygłaszał kilka słów standardowego przemówienia. Warunek był taki: kandydat musiał mówić krótkimi, komunikatywnymi zdaniami i w miarę możliwości głośno. Organizatorom chodziło o to, by szanowne grono jurorów dosłyszało i zrozumiało przemówienie, zanim zapadnie w przedśmiertną śpiączkę.

Warto też powiedzieć kilka słów o nagrodzie w tym konkursie. Jej fundatorem był legendarny Stefan, który onegdaj zbił fortunę sprzedając paszę dla koni, na których Templariusze podróżowali do Jerozolimy w trakcie siedemnastej krucjaty. Nie tylko stał się wówczas potentatem w zakresie produkcji karmy zwierzęcej, ale zyskał przydomek: Pasza. Po śmierci Stefana Paszy interes nie szedł już tak dobrze. Templariusze znaleźli tańszych dostawców końskiego paliwa, zatem potomkowie Stefana postanowili, że minifortunę wpłacą na konto i będą żyć z odsetek. Żeby nie płacić tzw. podatku Belki od zysku z oszczędności, postanowili część odsetek przeznaczyć na nagrodę w konkursie, który zaczęli organizować. Kwota ta zależna była od aktualnego kursu dolara i koniunktury na światowym rynku handlu obligacjami. Nie była ona duża, zwykle jednak wystarczała na pokrycie kosztów dojazdu, zakwaterowania i wyżywienia, pod warunkiem, że laureat stołował się w jadalni studenckiej „Pikolo”.

W jednej z edycji tego konkursu postanowił wziąć udział Dżak, kierując się prorocstwem Miłosza. Wiedział, że wygra ale mimo to czuł drobną niepewność. Myślał: „A co, jeżeli to wszystko sobie tylko uroiłem?”

Szybko jednak tłumił ową wątpliwość. Teraz, gdy miał czarny garnitur i kapotę, cylinder i laskę, nie miał już odwrotu, musiał być wieszczem. Zresztą jakoś nie widział siebie w roli kasjera na kasie w jakimś sklepie. A tylko to mógł robić po studiach fizjologii polskiej, na które się zapisał. Czekał zatem cierpliwie na kopertę z zaproszeniem po odbiór nagrody.

Samospełniające się prorocтва mają to do siebie, że się spełniają, a zwłaszcza te, których autorem był Czesław Miłosz. Dlatego tydzień po tym, jak Dżak wysłał w zalakowanej kopercie siedem swoich rymowanek na konkurs o nagrodę Kościotrupków, zapukał listonosz do drzwi. Nareszcie dotarł oczekiwany list. Uradowany Dżak poszedł do kuchni, by nad czajnikiem otworzyć kopertę. Zawsze tak traktował listy, w przekonaniu, że lasy należy chronić. Dlatego otwierał je za pomocą pary wodnej, by ich nie uszkodzić i móc ponownie wykorzystać kopertę. Otworzywszy ją ostrożnie, wyjął ze środka list i przeczytał:

„Niniejszym, zapraszamy pana na uroczystą galę wręczenia nagród. Galę poprowadzi Tomasz Cammel. Obowiązuje strój wieszca...” – Dalej było standardowe bla, bla, bla, którego normalni ludzie nie czytają, ale Dżak nie był już zwykłym, normalnym człowiekiem. Dlatego też czytał cały tekst korespondencji do końca, a kiedy skończył zaczął od nowa lekturę tym

razem uzupełniwszy ją o głośne odczytanie nagłówka i stopki z papieru firmowego, na którym napisany był ów list.

- Od kogo to? – zapytał zaciekawiony Adamski, który właśnie przyszedł do kuchni zrobić sobie kanapkę z salcesonem.

- Ubieraj się – odpowiedział Dżak – Jedziemy po nagrodę.

- Jaką nagrodę?

- Zobaczysz, ubieraj się – ponaglał, starannie chowając list do koperty.

- Nigdzie nie pojedę, póki mi nie powiesz co to za nagroda – odpowiedział Atomizer i usiadł na taborecie tyłem do swojego przyjaciela.

- Nie rozumiem co się z tobą ostatnio dzieje. Stałeś się taki dziwny, inny niż byłeś – dodał z wyrzutem nadąsany. Dopiero wówczas Dżak zorientował się, że jego kochany poczuł się zaniedbany, niedopieczony, a nawet opuszczony. Podeszedł do niego, położył mu dłonie na ramionach, zaczął go delikatnie masować, mówiąc:

- Wiem, że ostatnio było nam ciężko. Ale zobaczysz, teraz będzie lepiej, będziemy bogaci. Będę występował w telewizji. No już nie gniewaj się.

Adamski lubił jak się go prosi. Szczególnie uwielbiał w taki sposób przekomarzać się z Dżakiem. Udawał nadąsana primabalerinę, którą należy udobruchać. Zwykle taka zabawa kończyła się obietnicą kupienia lizaka i szaloną orgietką w alkwie, dlatego też i teraz Atomizer złagodniał. Odwrócił się do przyjaciela i spoglądając mu w oczy zapytał:

- A kupisz mi coś za tą nagrodę?

- Kupię ci, kupię – odpowiedział z uśmiechem Dżak.

- A co?

- Kupię ci lizaka i zapłacę za hosting i domenę twojej strony internetowej.

- Hurra! – krzyknął uradowany Adamski i zaczął ścisnąć przyjaciela. W jego oczach pojawiły się łzy szczęścia.

- Dobrze, dobrze, już przestań. Musimy się spieszyć, bo nam pociąg ucieknie – powiedział Dżak, starając się opanować radość ukochanego.

Po minucie chłopcy wystrojeni stali już w drzwiach wyjściowych. Dżak przebrany za Wokulskiego, Atomizer całkiem zwyczajnie: dres Nike, na nogach buty firmy Adidas, łańcuszek z tombaku na szyi i czapeczka z daszkiem z logo Reebooka. Już mieli wychodzić, gdy nagle Dżak powiedział:

- Może dotkniemy się pisiorami? Jestem trochę spięty.

- A ile mamy czasu do pociągu? – zapytał Atomizer.

- Niewiele, ale tak na szybcika. Bez żadnych uczuć.

- Okej.

Minęła kolejna minuta i chłopcy, zapinając rozporki, stali już na przystanku linii 103 w oczekiwaniu na autobus. Jeden rozmyślał o samospełniającym się proroctwie, drugi o własnej stronie internetowej i o tym, że wreszcie spełni się jego marzenie bycia adminem – panem życia i śmierci wirtualnych userów. Żaden z nich nie zauważył przyglądającej się im uważnie grubej dziewczynki. Była to poetka Lusja Szczurek, która marząc o karierze wieszczą, nigdy w życiu nie opuściła żadnego konkursu poetyckiego. Także i ona zmierzała do tego samego celu, co dwaj przyjaciele. Ich drogi miały się skrzyżować w przedziale pociągu, w którym odbyli wspólną podróż do miejsca, o którym wspominał Miłosz w swoim proroctwie.

6

Chłopcy wygodnie rozsiadli się w przedziale i czekali na odjazd pociągu. Wykupili miejsca w pierwszej klasie, bo organizatorzy konkursu im. Kościotrupków wszystkim zaproszonym zwracali kosztą podróży. Postanowili, że nie będą sobie żałować. Kiedy pociąg ruszył przystąpili do akcji. Pierwszy zaczął Adamski, który wyciągnąwszy z kieszeni czerwony scyzoryk, zaczął odkręcać popielniczkę.

- Na pewno się przyda – z diabolicznym uśmiechem na twarzy powiedział do Dżaka. Po chwili, tym samym scyzorykiem zaczął odkręcać aluminiowe wieszaki na ubrania.

- One też się przydadzą.

Dżak tylko chwilę siedział beczynn timer, trenując pozę artysty-wieszczka obojętnego na zło indywidualne. Uważał on bowiem, że prawdziwego artystę nie powinna obchodzić jednostkowa tragedia, ale co najmniej zagłada na miarę holokaustu. Jednak czysto ludzki instynkt dał o sobie znać.

- Teraz ja, teraz ja! – krzyknął do Atomizera, wyciągając rękę po scyzoryk. A był to oręż niezwykle. Kiedyś kupili go na spółkę, by grać razem w pikuty. Ale z czasem odkryli, że ma więcej niż jedno ostrze i uczynili z niego przedmiot naukowych dociekań. Długo medytowali, lecz to Adamski wydobył na światło dzienne prawdziwą tajemnicę scyzoryka. To on, po wielomiesięcznych oględzinach stwierdził, że scyzoryk ma nie tylko dwa ostrza, ale także otwieracz do konserw, miniśrubokręt, nożyczki, piłę do drewna i wykałaczkę. Jednak prawdziwym przewrotem kopernikańskim w pojmowaniu istoty scyzoryka jako takiego było odkrycie, które poczynił Atomizer po pół roku od momentu zakupu nożyka. Odkrył wówczas rzecz niebywałą: scyzoryk posiada lupę. Od tego czasu chłopcy postanowili, że scyzoryk mimo, że został zakupiony wspólnym sumptem, teraz będzie należał do Adamskiego. Któregoś razu nawet ów gadżet o mały włos nie stał się powodem rozłamu w ich związku. Po tym, jak już ustalili, kto będzie powiernikiem tego ostrza, usiedli przed telewizorem. Pech chciał, że emitowano wówczas serial o Makgajwerze, który miał identyczny scyzoryk, co Adamski. Wówczas ujawniła się po raz pierwszy zazdrość Dżaka o popularność w mediach. Chciał odebrać nożyk swojemu przyjacielowi. Próba ta się jednak nie udała, bo zainspirowany serialem Adamski, za pomocą scyzoryka i przy użyciu pustej butelki po mleku, pudełka zapalek oraz tabliczki czekolady, konstruował właśnie swój pierwszy w życiu helikopter.

Adamski niechętnie rozstawał się ze swoim ulubionym gadżetem. Dlatego podając go Dżakowi zapytał nieufnie:

- Ale mi go oddasz?

- No pewnie. Chcę go tylko na chwilę pożyczyć.

- Obiecujesz? – zapytał Atomizer, chcąc się upewnić co do właściwych intencji przyjaciela.

- Obiecuję – odparł Dżak i dodał – Jak chcesz, to mogę nawet przysiąc.

- Przysięgnij.

- Na co? – zapytał Dżak.

I nie wiadomo, jakiej przysięgi zażądałby Adamski, bo ich rozmowę przerwała niska, pulchna dziewczynka, która z łomotem otworzyła drzwi do ich przedziału pytając:

- Czy tu wolne?

Chłopcy skamieniali. Dopiero po chwili Adamski zareagował:

- Taaaa – powiedział niechętnie.

- Tu jest wolne – i wskazał na siedzenie przy wejściu do przedziału.

Dżak pomyślał w duchu: „Kurwa, na chuj tu się ten babsztyl przyplątał. Ma cały pociąg do dyspozycji, a musiał właśnie trafić do naszego przedziału. Szlag trafił intymność”. I kiedy

sobie uświadomił, że rytualne szatkowanie tapicerki siedzeń nie wypaliło, ogarnęła go wściekłość. Nie dał jednak po sobie tego poznać. Usiadł przy oknie i obserwował uważnie grubaskę, gdy ta z trudem wciągała ciężkie walizy i torby do przedziału. Szarpała się z nimi jakąś chwilę, próbując najcięższą wtaszczyć na górną półkę. Pociła się przy tym niemiłosiernie, a chłopcy z uciechą podziwiali jej zmagania. W końcu odezwał się Adamski:

- Spróbuj na trzy, czte i ry.

- Jak to? – zapytała grubaska, ocierając pot z tłustego, pokrytego grubą warstwą kremu Nivea, czoła.

- No, my ci będziemy kibicować i skandować „trzy, czter i ry”, a ty spróbuj w tym czasie dźwignąć walizę.

- Ale chyba nie dam rady – powiedziała dziewczyna.

- Jak to nie? – wtrącił się nagle Dżak i dodał – Trzeba tylko w siebie uwierzyć. Musisz mocno wierzyć w siebie, wierzyć w sukces, w to, że ci się uda. Powtarzaj sobie: jestem wielka, jestem wspaniała, jestem wielka. Poza tym – kontynuował – walizka jest z twojej kategorii wagowej, macie równe szanse.

- He, he, he – zaśmiał się szydyczko Atomizer, puszczać porozumiewawczo oczko do Dżaka. Zawsze był pełen uznania dla precyzji i siły dowcipu przyjaciela. Wiedział, że jeżeli Dżak coś powie, to już powie i nie było żadnego zmiłuj się.

Dziewczyna, jako że zawsze brała za dobrą monetę rady ludzi obcych, postanowiła posłuchać Dżeka. Przykucnęła i objęła walizkę ramionami. Wstrzymała oddech i zaczęła rwanie. Wielkie krople potu wystąpiły na jej czoło. Twarz poczerwieniała z wysiłku.

- Hyyyyyp, hyyyp, pffffff – sapała, próbując dźwignąć walizę, lecz bezskutecznie.

- Dawaj, dawaj – dopingowali ją wspólnie chłopcy

- Na trzy czte i ry. Teraz, teraz! – krzyczeli.

Po kolejnych trzech nieudanych próbach rwania, grubaska, całkowicie wyczerpana, siadła bezradnie na podłodze obok walizy.

- Nie dam rady – zapała.

- E tam, masz po prostu złą technikę – powiedział Adamski i dodał:

- Musisz szerzej rozstawić stopy.

Dziewczyna jednak nie miała ochoty na dalsze próby. Cały czas ciężko oddychając powiedziała:

- Szkoda, że tu nie ma żadnego dżentelmena.

O ile Adamskiego nie wzruszyły te słowa, tak Dżak zareagował gwałtownie.

- Jak to nie ma? Ja jestem dżentelmenem!

Następnie szybko wstał, założył cylinder, zarzucił na plecy czarną kapotę a do ręki wziął laskę.

- Teraz chyba widać, że jestem dżentelmenem.

Grubaska spojrzała na niego obojętnym wzrokiem i powiedziała:

- Gdybyś był dżentelmenem, to pomógłbyś mi z tą walizą.

- I tu się właśnie mylisz – powiedział Dżak. – Dżentelmeni nie są od noszenia walizek, ale od brodzenia po kolana w sadzawkach w poszukiwaniu nenufarów. Żaden prawdziwy dżentelmen – kontynuował – nie zniży się do tego by dźwigać walizki. To przecież takie przyziemne, takie prozaiczne. Niegodne dżentelmena. Poza tym, mógłbym sobie skórki pozadziierać, a nie ma nic bardziej hańbiącego dla dżentelmena niż zaniedbane paznokcie czy zadarte skórki. Powiedz sama szczerze, czy ty widziałaś kiedyś dżentelmena, który by miał dłonie jak wieśniak?

- Ale moja mama mówiła mi...

- Porzuć te staroświeckie przesady – przerwał jej Dżak. – Odrzuć je i zwróć się ku mądrości prawdziwej, która jest w słowach moich. Ja mam zawsze rację, bo jestem dżentelmenem a dżentelmen nigdy nie kłamie.

Grubaska całkowicie skołowana wpatrywała się to w Dżaka, to w Adamskiego. Nie wiedziała co ma powiedzieć. Atomizer zaś pomyślał w duchu: „Ach ten Dżak, on jak coś powie, to już powie i nie ma zmiłuj się”

7

Godzina za godziną włókł się pociąg do Krakofa. Monotonie podróży urozmaicał starszy pan z „Warsa”, który toczył przed sobą wózek nieustannie dopytując się pasażerów w przedziałach, czy może skuszą się na herbatę serwowaną w plastikowym kubeczku po 28 pln za sztukę. W atrakcyjnej cenie oferował także słone paluszki (72 pln/paczka). Ani jednak Atomizer, ani Dżak nie skusili się na owe rarytasy. Byli odporni na owe iście szatańskie pokusy, niczym małe jesuski na pustyni. Tylko grubaska każdorazowo, gdy mijał ich przedział mobilny bufet zdradzała zainteresowanie.

Historia rodzaju ludzkiego dowodzi, że gdyby nie kobiety, mężczyźni siedzieliby sobie teraz beztrzesko w raju u samego stwórcy, popijając z nim wino, kontemplując wspólnie piękno stworzenia z bezpiecznej oddali. To przecież pierwsza na świecie istota z waginą uległa pokusie, zerwała jabłko i było już po sprawie.

I także tym razem, to dziewczyna – trzeci pasażer przedziału – uległa pokusie, która miała fatalne skutki dla Dżaka i Adamskiego.

Zagadnęła ona kelnera z „Warsa”:

- Czy są kanapki?

- Tak. Jakie sobie pani życzy?

- A jakie macie?

- Mamy pyszne kanapki z dżemem i czosnkiem, oraz ze słoniną i paprykarzem. Które podać?

Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę. Następnie sięgając po portfel odpowiedziała:

- Wezmę dwie ze słoniną.

- Się robi, droga pani – odpowiedział kelner podając kanapki. – Należy się dokładnie dwieście złotych polskich.

Przyjaciele do tej pory z obojętnością przyglądali się całej transakcji, powtarzając sobie w duchu: „Umysł ponad ciałem, umysł ponad ciałem”. Ale na widok tłustych kawałków słoniny, coś w nich wstąpiło. Jak opętani rzucili się na wózek z jedzeniem i nie zważając na protesty kelnera rozpoczęli ucztę. Po kilku minutach bufet był już pusty a dookoła wały się papierki po batonikach. Dżak, klepiąc się po brzuchu, powiedział do Atomizera:

- Ale dobre, co nie?

- No – odpowiedział Adamski, przeżuując ostatnią porcję słoniny.

Obu ogarnęło uczucie błogiej senności. I już mieli zasypiać, gdy ocucił ich głos kelnera:

- Należy się panowie trzy tysiące dwieście dwadzieścia pięć złotych i osiemnaście groszy.

Dżak sięgnął do kieszeni spodni, następnie zaczął szperać w czarnej kapocie. Wreszcie spojrzął na Adamskiego i powiedział:

- Dzisiaj ty stawiasz.

- Ty jak coś powiesz, to już powiesz – odpowiedział Atomizer, w przekonaniu, że jego przyjaciel żartuje. – Ja przecież nie mam ani grosza.

- Panowie – wtrącił się kelner – Jeżeli nie zapłacicie, to wezwę ochronę i zrobi się nieprzyjemnie.

- Proszę mnie nie straszyć – odpowiedział stanowczo Dżak. – Jestem arystokratą i wypraszam sobie takie rzeczy.

- No właśnie, on jest arystokratą i wyprasza sobie takie rzeczy – dodał Atomizer. – A ja jestem jego przyjacielem i też wypraszam sobie takie rzeczy.

- W takim razie sami się panowie o to prosiliście – powiedział kelner i przez radiotelefon wezwał ochronę. Po chwili zjawili się czterej panowie wagi superciężkiej, w mundurach i wojskowych butach.

- Jakiś problem – zapytali kelnera. Ten im opowiedział całe zdarzenie, o tym jak to огоłocono z kanapek i słodczy jego wózek i o tym, że sprawcy owego spustoszenia nie mają zamiaru

zapłacić. Tym czasem w przejściu zrobiło się zbiegowisko. Ciekawscy pasażerowie innych przedziałów wyszli, by obserwować ciąg dalszy akcji. Chłopcy stali w drzwiach otoczeni z każdej strony przez ochronę i zaczęli się tłumaczyć.

- Dosyć cackania, płaciecie czy idziecie myć kible w całym składzie? – zapytał ostatecznie najgrubszy z ochroniarzy.

- Ale, ale... – jękał się Dżak – Ja protestuję!

- My protestujemy! – wtórował mu przyjaciel.

I nagle z tłumu gapiów wyłoniła się postać. Był to pan o miłej aparycji, w dobrze skrojonym garniturze, za aktówką w rękę. Podszedł do chłopców osaczonych przez ochroniarzy, i wręczając im swoją wizytówkę powiedział:

- Dzień dobry, nazywam się Prowident, Rysiek Prowident. Reprezentuję samego siebie. Ja – kontynuował – jako taki, udzielam tzw. pożyczki z uśmiechem, na dowolny cel. Nie wymagam zaświadczeń o dochodach, ani żyrantów. Gwarantuję, że każdy przy odrobinie szczęścia jest w stanie ją spłacić dzień przed śmiercią. Reflektujecie? – mówiąc to uśmiechnął się do chłopców, a na równiutkiej klawiaturze jego śnieżnobiałych zębów pojawił się błysk.

Normalny człowiek kazałby się pocałować panu Ryśkowi w dupę i poszedł umyć kible. Jednak nie Dżak. On przecież był arystokratą, dżentelmenem. Podpisał szybko co trzeba i nawet nie przeczytał tych świstków. Dwustuttrzydziestostronicowa umowa kredytowa napisana była tak drobnym drukiem, że przeczytanie jej wymagało nakładu pracy laboratorium NASA i zaangażowania do tego peryskopu Hubla. Kiedy Dżak oddał pióro, którym sekundę wcześniej składał zamaszty podpis na ostatniej stronie umowy, pan Rysiek zapłacił za wszystko kelnerowi. Chłopcy odetchnęli z ulgą i zbiegowisko się rozeszło.

Dżak nie zdawał sobie sprawy ile kosztował go ten podpis. Nie wiedział, że aby spłacić ową pożyczkę będzie wbrew własnym przekonaniom występować jako statysta w telewizyjnym tok-szoł pt. „Łasskotki z gwiazdami”, że będzie przedmiotem drwin, że reżyser będzie kazał mu godzinami szczyrzyć zęby, że jego dialogi zredukowane zostaną do uśmiechu, z którym to na twarzy będzie musiał siedzieć przez całe nagranie. Dziś sprzedał swą duszę diabłu.

Znowu tylko we trójkę podróżowali w jednym przedziale do Krakofa. Grubaska coś tam czytała, chłopcy beztrąsko rozmawiali. Jednym słowem wszyscy udawali, że nic się nie wydarzyło. Po jakimś czasie w przedziale zrobiło się cicho i gdyby nie stukot kół pociągu, cisza ta byłaby absolutna. Jako, że z czasem robi się bardzo niezręcznie, gdy w towarzystwie pojawiają się takie przerwy milczenia, Adamski postanowił zagaić gadkę:

- Ty, a jak ty masz na imię? – zwrócił się do grubaski.

- Jestem Lusią – odpowiedziała – Lusią Szczurek.

- A gdzie jedziesz?

- Do Krakofa na konkurs.

- Jaki konkurs?

- Konkurs im. Kościotrupków

Dżak gdy to usłyszał skamieniał. Dotarło wówczas do niego, że wcale nie musiał być jedynym, do którego Miłoz przemówił. Postanowił, że nie zdradzi się i wypyta najpierw dokładnie grubaskę, w której teraz widział konkurentkę. Poszedł się odlać.

8

Kap, kap, kap – ostatnie krople moczu lądowały w miejscu swojego przeznaczenia. Jako, że torowisko nie należało do równych, to na wybojach kilka kropelek ułało się Dżakowi na wyglansowane czarne lakierki. Otrzepawszy siusiaka, Dżak zapiął rozporek a lakierki wytarł w tylną część nogawek, czyli tak jak to się zwykle robi w takich sytuacjach. Przed wyjściem z kibla Dżak pomyślał: „Jakie to szczęście, że umiem sikać na stojąco. Nigdy bym nie usiadł na tak obleśną deskę. A fuj!” – wzdrygnął się i wyszedł, nie spuściwszy wody. Wracając do swojego przedziału zastanawiał się o co najpierw zapytać grubaskę, jak upewnić się, że Miłosz tylko do niego przemówił ale w taki sposób, żeby ta nie nabrała podejrzeń.

- O czym my to rozmawialiśmy? – zapytał Dżak wchodząc do przedziału.
- Tak sobie beztrzesko pitoliliśmy – odpowiedział mu Adamski. Grubaska zaś w milczeniu czytała jakąś gazetę. Oczywiście nie umknęło to uwadze bystrego Dżaka.
- Ekhm, ekhm – odkaslnął - Co tam czytasz?
- Nic takiego – odpowiedziała, starając się zbyć natręta, który przed chwilą zachwiał jej wiarą w wszelkiej maści dżentelmenów.
- No powiedz, nie bądź taka – mówił Dżak, przysuwając się do niej, chcąc zmniejszyć dystans do ofiary.
- A łe! – skwitowała grubaska i czytała dalej.

Dżak zorientował się, że musi użyć podstępu. Postanowił rozegrać małą scenkę z przyjacielem, w nadziei, że i grubaska włączy się do dyskusji, a wówczas będzie mógł ją bez przeszkód wy badać.

- Czy nie sądzisz – zwrócił się do Adamskiego - że współczesna poezja polska odczuwa istotny brak anachronizmów?
- Że co? – odparł zaskoczony Atomizer.

Dżak dyskretnie szturchnął przyjaciela nogą, dając mu sygnał, żeby ten kontynuował rozmowę, a nie udawał idiotę, chociaż zdawał sobie sprawę, że jego przyjaciel do szczególnie bystrych i odczytanych nigdy nie należał.

Dżak zresztą sam nie miał nawyku czytania. Jediną książką, którą przeczytał był „Pan Tadeusz”. Mimo, że była to jedyna lektura szkolna, którą przeczytał od deski do deski, to zawładnęła ona jego umysłem do tego stopnia, że postanowił nauczyć się jej na pamięć. Opanował nawet teorię trzynastozgłoskowca, którą wykorzystywał w niektórych rozmowach codziennych. Ale prawdziwą satysfakcję dawał mu trening trzynastozgłoskowca na dozorczyni, która grabiła liście przed blokiem. Upominał ją:

„Na zachód jeszcze liście nie zgrabione
świecą się ponuro, żółtawo czerwone”

Dopiero, gdy Dżak puścił oko do Adamskiego, ten się zorientował, że nie chodzi tu rozmowę o poezji polskiej czy anachronizmach, ale o wyrafinowaną pułapkę, którą właśnie jego przyjaciel zastawiał na nieświadomą zbliżającego się niebezpieczeństwa ofiarę, w tym przypadku grubaskę, która dzieliła z nimi przedział. Postanowił włączyć się do gry.

- Tak Dżak, masz rację – odpowiedział i dodał – Poezji polskiej brakuje anachronizmów, kostiumów, lasek robionych w pośpiechu gdzieś w bramach, cylindrów, sygnetów, czarnych i przydługich garniturów. Jednym słowem, polskiej poezji brak ampuła awangardy spod znaku zielonej wróżki.

„Jakiej kurwa zielonej wróżki? Jakiej ampuła?” – pomyślał Dżak, ale nie dał po sobie poznać niezadowolenia z przebiegu rozmowy i spoglądając na grubaskę kontynuował:

- No właśnie, o to chodzi, że wszystkiemu winna zielona wróżka i ampluła, bo awangarda rezygnując z usług wróżbiarskich zielonej wróżki, odcięła się definitywnie od przeszłości, rezygnując z ampluła, poezja zmieniła się w antyawangardową i antyanachroniczną.

Atomizer zorientował się, że plan Dżaka polega na wprowadzeniu do rozmowy nowych pojęć, w nadziei, że któreś z nich zainteresuje do tej pory obojętną i ciągle zaczytaną grubaskę. Postanowił użyć pojęcia klucza, które nieraz usłyszał w programie telewizyjnym „Pegaz”.

Adamski w ogóle niechętnie oglądał telewizję. Przekonał się tylko do dwóch programów: pierwszym był serial o Makgajwerze. Oglądał go tylko, by czerpać inspiracje do swej twórczości jako właściciel czerwonego szczyryka. Drugim programem był właśnie „Pegaz”. Dowiedział się o nim przypadkowo z reklamy poprzedzającej serial. Skusiła go nazwa. Jako, że od niepamiętnych czasów lubił bawić się w wojsko i jako dziecko biegał po osiedlu z drewnianym karabinem krzycząc do przechodniów:

- E, e, e, e, e, e, e.

lub:

- Pif paf, pif paf.

Później w szkole średniej jego ulubionym przedmiotem było „Przysposobienie Obronne”. To jedyne czterdzieści pięć minut, których nie żałował w procesie własnej edukacji. Tyle ciekawych rzeczy się dowiadywał i zawsze dziwił się, dlaczego jego rówieśnicy robią lekcje z matmy w czasie, gdy pan mówi o skutkach wybuchu nuklearnego, czy o sposobach zabezpieczenia przed oparzeniem fosforem białym. Szczególnie interesowały go zajęcia praktyczne na tych lekcjach. Pan wówczas rozdawał wszystkim karabiny i każdy mógł je dotykać. Któregoś razu pan powiedział:

- Przedmiotem dzisiejszej lekcji będzie atak gazowy i sposoby ochrony przed takim atakiem. Proszę zapisać temat lekcji: „Ochrona Pe-Gaz”.

Właśnie dlatego „Pegaz” był dla Atomizera taki kuszący. I nawet poświęcił się, czekając do późnych godzin nocnych by zobaczyć jeden z odcinków tego programu. Walcząc z sennością, przecierając oczy wilgotną szmatką, doczekał się w końcu. Zdezorientowała go na początku zajawka programu. Był to jakiś koń ze skrzydłami. Ale pomyślał sobie: „To pewnie nowe logo polskiego lotnictwa wojennego”

I zaczął oglądać, w nadziei, że być może podadzą nowe metody ochrony przeciwgazowej. Jednak w „Pegazie” nie padło ani jedno słowo o gazie musztardowym, za to co chwilę pani prowadząca, w dużych okularach, pytała zaproszonych gości o estetykę, ci natomiast opowiadali coś o postmodernizmie. Adamski raz nawet policzył ile razy pojęcie „postmodernizm” pojawi się w trakcie jednego programu. Okazało się, że dwóch gości programu wraz z panią prowadzącą potrafią w ciągu dziesięciu minut czterdzieści osiem razy użyć pojęcia „postmodernizm”. To dało mu do myślenia. Od tego czasu, był niemal pewny, że postmodernizmem jako pojęciem-kluczem można nakręcić każdą rozmowę.

Odpowiedział zatem Dżakowi:

- Postmodernizm daje tu wiele możliwości. Rzeczywistość w ujęciu postmodernistycznym, zwłaszcza poezja, określana predykatem: postmodernistyczna, jest poezją postmodernistyczną i jako taka mieści się nie tylko w kanonach postmodernizmu samego, ale wykracza poza postmodernizm sam.

Był to strzał w dziesiątkę. Grubaska do tej pory zaczytana, nagle oderwała się od lektury. I zapytała:

- Czy w poezji postmodernistycznej jest miejsce dla rozważań o kondycji człowieka we współczesnym świecie?

Dżak jak nigdy do tej pory, teraz był dumny z przyjaciela. Bez niego nigdy nie udałoby mu się wciągnąć dziewczynę do rozmowy. A tak bardzo przecież chciał ją wybadać. Teraz już nic nie stało na przeszkodzie.

9

- Poruszasz teraz ważne zagadnienie – powiedział Dżak do grubaski. – Pytanie o *conditio humana* – kontynuował – od zawsze jest obecne w tradycji kultury śródziemnomorskiej.

Dziewczynę, gdy to usłyszała, zamurowało. Dopiero po chwili wykrztusiła z siebie:

-Ty, ty, ty znasz łacinę?

- No.

- Ja cię sunę – powiedziała, głosem pełnym podziwu.

- Znam jeszcze inne języki – zaczął przechwalać się Dżak.

- Jakie? Jakie? – pytała niecierpliwie grubaska. Zawsze uważała, że ktoś, kto zna dużo języków musi być mądry. Ale w jej przekonaniu nikt nie mógł być mądrzejszy od papieża, który znał wszystkie języki świata.

- Znam angielski. Z niego miałem pionę przez cały ogólniak.

- Ale fajosko, a inne znasz?

- Znam też niemiecki, chociaż czasami mi się mylą rodzajniki.

- Niemiecki to fajny język – powiedziała dziewczyna i dodała – To język największych poetów. Powiedz coś po niemiecku.

- Eee, nie lubię się przechwalać – odparł Dżak, próbując się wymigać.

- No powiedz, nie bądź taki. Plizzzz!

- No dobra – zgodził się Dżak, widząc, że się nie wymiga i bez zająknięcia powiedział - Kom na hałze kinder machen.

- Jaaaaa! – z wyraźnym podziwem krzyknęła dziewczyna. – Czy umiesz też pisać po niemiecku?

- Kiedyś napisałem jedno słowo. To był tytuł jednego z moich wierszy: „Die Elfriede”.

Oczy grubaski wlepione były w tym momencie w siedzącego obok Dżaka. „Jaki on jest mądry i na dodatek pisze wiersze z niemieckimi tytułami” – myślała. Po chwili milczenia powiedziała:

- Wiesz, ja też piszę wiersze.

Dżak tylko czekał na tego typu wyznanie. W końcu cała misterna intryga, służyła temu by jak najwięcej dowiedzieć się o tej pasażerke i zarazem upewnić się co do tego, że tylko on jest spadkobiercą dziedzictwa Miłosza. Dlatego patrząc prosto w oczy dziewczynie, która cały czas trzymała w rękach gazetę zapytał:

- A skąd wiesz, że piszesz wiersze?

Zadał jej to samo pytanie, które onegdaj usłyszał od Adamskiego. Pamiętał doskonale swoją odpowiedź, że jest wieszczem a wieszcz jak już coś pisze, to tylko wiersze i nic innego. A wieszczem był przecież dlatego, bo Miłosz mu o tym powiedział. Spodziewał się zatem, że odpowiedź grubaski na to pytanie, pozwoli mu ostatecznie upewnić się, co do własnej i niepowtarzalnej roli, jaką miał odegrać na arenie polskiej poezji.

Dziewczyna chwilę się zamyśliła nad odpowiedzią, następnie odłożywszy gazetkę na bok, sięgnęła do jednej z waliz i wyjęła z niej deseczkę, na której był wypalony jakiś napis i podała ją Dżakowi, mówiąc:

- Sam przeczytaj.

Dżak odczytał na głos:

„Nagroda dla Pani Lusi Szczurek, za zajęcie trzeciego miejsca w konkursie poetyckim: O DĘBOWĄ DESECZKĘ, na wiersz o patelni teflonowej, organizowanego corocznie przez Gminny Ośrodek Kultury w Bardzomatejwsi.

Jurorzy:

mgr Danuta Zbuta – nauczycielka języka polskiego
 inż. Janusz Bezbuta – dyrektor nadleśnictwa w Bardzomałejwsi i fundator nagród.
 ks. Tadeusz Wsandałach”

Dżak oniemiał jak to przeczytał. Spojrzał na Adamskiego w nadziei, że ten cokolwiek z tego zrozumiał. Atomizer jednak był równie zdziwiony, co on.

- A tu inna nagroda – powiedziała nagle dziewczyna, wyjmując z walizki tym razem dyplom.
 - Może też przeczytaj na głos.

Dżak odłożył deseczkę, wziął dyplom i poprawiwszy okulary odczytał:

„Za zajęcie pierwszego miejsca w konkursie poetyckim na najlepiej zrymowany przepis na ciasto drożdżowe, dla Pani Lusi Szczurek...”

Nie dokończył czytania. Trzymając cały czas dyplom w rękach całkowicie oniemiały spojrzął na dziewczynę. Ta siedziała dumna jak paw. Nie było już śladu po tej nieśmiałej i nieporadnej grubasce, która wprosiła się do nich do przedziału. Teraz miał przed sobą prawdziwą Lilith, pewną siebie Walkirię, dumną i wyprostowaną feministkę, kobietę, która wie czego chce od życia. Całkiem zdezorientowany tą niespodziewaną odpowiedzią, wpatrywał się w jej rozpalone oczy.

- Chcesz, to ci inne pokaże. Mam cały worek nagród – powiedziała grubaska, schylając się do walizki po kolejne trofea.

- Nie, nie – odpowiedział Dżak. – Nie trzeba, ale powiedz mi jak to się ma do tego czy jesteś poetką czy nie?

- To ty nie wiesz? – zapytała zaskoczona. – Przecież żeby być polskim poetą trzeba wygrywać konkursy poetyckie i to jak najwięcej konkursów.

- To pewnie też jedziesz na konkurs im. Kościotrupków do Krakofa? – zapytał zrezygnowany już Dżak.

- No, a skąd wiedziałeś?

Dżak już nie odpowiedział na to pytanie. Nagle posmutniał i odsunawszy się od grubaski przytulił się do Adamskiego. Na nim mógł zawsze polegać w trudnych dla siebie chwilach, zawsze mógł liczyć na stalowe ramię przyjaciela, które tylko dla niego miękło. „Co będzie jeżeli to nie ja wygram, tylko ona? Ma przecież tyle dyplomów, całą pierdoloną walizkę nagród!” – myślał rozgoryczony. Nie chciał już dalej rozmawiać o poezji, o poetach o wieszczach polskich. Nie chciał nawet wspominać Miłosza. Wiedział jednak, że nie wypada tak nagle skończyć rozmowę, bo dżentelmeni tak nie robią. Dlatego już czysto kurtuazyjnie zapytał grubą poetkę:

- A co tam czytasz?

Dziewczyna, zapiąwszy walizkę z nagrodami, wzięła gazetkę do rąk i pokazując okładkę Dżakowi odpowiedziała:

- To najnowszy numer „Bravo Girl”, tyle ciekawych rzeczy można się dowiedzieć o gwiazdach estrady. Chcesz? – podała gazetę Dżakowi.

- Nie, dziękuję, ja sobie napiszę.

- Nie to nie, łaski bez – powiedziała grubaska i otworzyła pisemko tam, gdzie wcześniej skończyła.

I tym oto sposobem sytuacja w przedziale wróciła do punktu wyjścia. Trzy osoby razem w przedziale, ale każda osobno. Atomizer zaczął dłubać w nosie. Luisia zaczytała się w kolejne sensacyjne doniesienie o kroczu Britnej Spirs. Smutny Dżak, wpatrując się co chwile w okno, pisał kolejny wierszyk o tym, że kilka metrów przed Krakofem Głównym dopija flaszki coli i o tym, jak mu jest smutno w życiu, zwłaszcza po tym, jak się dowiedział, że nie tylko on jest

poetą. Jednak głupcem byłby ten, kto pomyślał w tej chwili, że nasz bohater się poddał. Otóż nie, przeciwnie. Zanim wspólnie wysiedli z pociągu, Dżak postanowił, że użyje wszelkich metod by wygrać konkurs im. Kościotrupków.

10

Pociąg zatrzymał się z gwizdem na dworcu centralnym w Krakowie. Luscia zaczęła szarpać się z walizkami w kierunku wyjścia, Atomizer z Dżakiem dzielnie jej sekundowali. Jeden przez drugiego podpowiadali jak najlepiej chwycić walizkę, jakiej techniki użyć, by ciężarem ciała zrównoważyć masę bagażu. Dżak nawet opowiedział jej na pocieszenie pewną mądrość o panu, który onegdaj zażądał właściwego punktu oparcia by poruszyć całą ziemię. Po kilku minutach wykaraskali się z wagonu. Znaleźli się na jednym z peronów dworca. Zzianą grubaska, Dżak w czarnej pelerynie, w cylindrze i laseczką w dłoni, Atomizer w dresie wspólnie podziwiali socrealistyczną architekturę tego miejsca.

- Piękna faktura kamienia – odezwał się jako pierwszy Dżak, wskazując laseczką na granitową posadzkę. – Ile to stóp próbowało ją zniekształcić, ucywilizować a mimo to, kamień nie poddał się władczyemu zapędowi człowieka. Pod przymusem zamknięty w formę prostokąta dzięki pile diamentowej w kamieniołomie, dalej pozostaje taki pierwotny i dziki. Jest w nim tyle z rousseauńskiej estetyki, tęsknoty do natury, do tego, co pierwsze. Taaaa... doprawdy, to takie wzruszające.

- Jejciu, ale ty jesteś wrażliwy – powiedziała zachwycona grubaska. Nigdy do tej pory nie słyszała, żeby ktokolwiek mógł powiedzieć tyle zdań wielokrotnie złożonych na temat posadzki, a przecież uczestniczyła w wielu konkursach poetyckich, na których poznała wielu polskich poetów. – Ty jesteś prawdziwym poetą! – skwitowała.

- On już tak ma – powiedział Adamski. – Od momentu zauroczenia fakturą tapety, stał się innym człowiekiem.

Adamski zamyślił się. Przypomniało mu się właśnie owo fatalne zdarzenie z Monią Fryzjerką a przed oczami pojawiła mu się sylwetka przyjaciela siedzącego na stołku, wgąpionego w ścianę.

- Moi drodzy – odezwał się Dżak po chwili. – Prawdziwy poeta odczuwa świat synaptycznie. Nie po to regularnie chodzę do manikiurzystki, nie po to wydaję całe kieszonkowe na maseczki żywieni przeciwko zmarszczkom skórnym, nie po to dbam o pergaminową fakturę skóry by była ultradelikatna, żeby w takich sytuacjach jak ta nie zauważać świata.

- A co to znaczy „synaptycznie”? – wtrąciła się nagle Luscia.

- Jeszcze nie wiem, ale to mądre słowo i bardzo mi się podoba. Poza tym, ja bardzo, ale to bardzo lubię mądre słowa.

- A ja też znam mądre słowa! – radośnie powiedział Adamski.

- To powiedz jakies? – poprosiła Luscia.

Adamski zastanowił się chwilę i odpowiedział:

- Egzystencjalizm.

Gruba Luscia całkowicie oniemiała z wrażenia. Teraz miała stuprocentową pewność, że oto los rzucił jej wyzwanie. Na swej drodze spotkała dwóch, niebywałych ludzi, prawdziwych geniuszy, wśród których jeden był poetą. Od zawsze marzyła by kogoś takiego spotkać. Jej marzenie ma źródło w teleranku, który z pasją jako dziecko oglądała w każdą sobotę. Najbardziej lubiła program „5-10-15”, a szczególnie, gdy pojawiała się w nim Lampa Elektronowa. Tyle wówczas nauczyła się mądrych rzeczy. Zresztą nigdy już później tyle wiedzy nie zaabsorbowała, co właśnie w trakcie sobotnich wyścigów o tytuł Megamózga, którym się z wypiekami na twarzy przyglądała. Właśnie od tej pory zrodził się w niej irracjonalny pęd ku wiedzy, ale także podświadoma potrzeba brania udziału we wszelkich konkursach poetyckich.

Kiedy doszła do względnej równowagi duchowej, po szoku poznawczym jakie wywołało nagłe pojawienie się dwóch, obcych jej do tej pory słów. Westchnęła:

- Też bym chciała być taka jak wy.

Adamski uśmiechnął się dumnie, natomiast w Dżaka wstąpiła nadzieja. Mimo tego całego worka trofeów, którym chwaliła się przed chwilą grubaska, to jednak on jej zaimponował.

- Czy mogę się z wami kolegować? – zapytała Lusia.

- Hmm, no nie wiem – odpowiedział Adamski. – To Dżak jest tu szefem, on ma najwięcej do powiedzenia. Jest najmądrzejszy w całym świecie, bo jest wie...

Dżak przerwał mu perorę na swoją cześć gwałtownym kuksańcem w bok. Nie chciał się zdemaskować. Wolał w oczach grubaski uchodzić póki co za zwykłego poetę, nie zaś za wieszczka. Grubaska jednak nie zauważyła gestu. Spoglądając maślanym wzrokiem na chłopców powiedziała błagalnie:

- Weźcie mnie do swojej bandy.

Adamski, który zrozumiał istotę dyskretnego ciosu w żebro, nie odpowiedział nic tylko spoglądał na Dżaka. Ten właśnie upajał się znanym mu z eskapady na wieś uczuciem. Proszalna poza Lusi oraz jej błagalne: „weźcie mnie do swojej bandy” przywołały w jego pamięci obraz lizuski Andronii i tego miłego dreszczyku oraz gęsiej skórki, które pojawiały się zawsze, gdy przebywał w otoczeniu lizusów. Jednak w tym całym upojeniu pojawiła się iskra rozsądku. Dżak postanowił skorzystać z sytuacji. Pomilczał trochę, dając do zrozumienia, że niby się waha i te sprawy, by po chwili powiedzieć:

- No dobra, ale pod warunkiem, że postawisz nam kawę.

- Hurra! – krzyknęła uradowana Lusia. – Jaką chcecie? Ze śmietanką i z cukrem, czy zwykłą czarną?

- My pijemy tylko fulwypas: czyli kawę z wszystkimi dodatkami, wliczając w to ciastko z kremem i blacha sernika na wynos – powiedział Dżak.

- Zgoda.

I tak oto w trójkę udali się do dworcowej kawiarenki, w której gruba Lusia pozostawić miała część życiowych oszczędności. Nie było ważne, że marzenie o własnym M-1 oddaliło się o kolejne dziesięciolecie. Bo w tej chwili liczył się tylko udział w bandzie. Gdyby miała się zadłużyć, oddać do komisji wszystkie swoje dyplomy, puchary, drewniane tabliczki, które wygrała w konkursach poetyckich, gdyby przyszło jej się prostytuować do końca swoich dni, to i tak zapłaciłaby każdą cenę by być w bandzie Dżaka.

11

Chłopcy rozsiedli się wygodnie przy stoliku. Jedli ciastka z kremem, popijali kawkę. Dżak pił ją z dziwną manierą. W jednej dłoni trzymał filiżankę cały czas w powietrzu, w drugiej trzymał, także w powietrzu, podstawkę tuż pod filiżanką. Dodatkowo odchyłał mały paluszek prawej ręki i aż cud, że naczynie z logo „PSS-Społem” nie wypadło mu z rąk a kawa nie wylała się na spodnie garnituru z Tesco. W tym czasie grubaska z trudem taszczyła swoje walizki do kawiarni. Pokonała dystans w trakcie, gdy chłopcy opróżnili filiżanki gdzieś tak do połowy. Ciężko sapiąc, usiadła przy stoliku i zapytała:

- Coś mnie minęło? O czym rozmawialiście?

- A tak sobie rozmawiamy – powiedział Dżak. – Właściwie to rozmawialiśmy o twoich nagrodach. Jakim cudem ich aż tyle zdobyłaś?

- Dobra chłopaki – powiedziała Lusja pochylając się lekko nad stolikiem, tak jakby miała zdradzić za chwilę największy sekret swojego życia. – Teraz jak już jestem w waszej bandzie, to mogę wam powiedzieć, ale musicie mi obiecać, że nikomu tego nie powiecie.

- O B I E C U J E M Y – powiedzieli razem chłopcy, przysuwając się do Lusi, tak by nie uronić krztyny z tego sekretu, który nieoczekiwanie zdecydowała się im zdradzić.

Grubaska rozejrzała się dyskretnie na boki, by przekonać się, że nikt ich nie obserwuje a nie daj boże podsłuchuje. Przekonawszy się, że nie zwrócili na siebie uwagi osób postronnych zaczęła opowiadać szeptem:

- Kiedy postanowiłam zostać poetką, to pierwsze co rzuciło mi się w oczy, to to, że w ośrodku kultury tam gdzie mieszkam, organizowane są konkursy dla poetów. Ciekawa byłam jak wyglądają polscy poeci, więc kilka razy z ciekawości poszłam na taki konkurs. Siadałam na widowni, słuchałam rymowanek, biłam brawo. Nigdy jednak nie pozwolono mi zostać do końca. Zawsze po części oficjalnej publiczność wypraszano, natomiast poeci zostawali w środku i coś się tam zawsze działo.

- A co takiego? – przerwał jej Adamski.

- Nie przerywaj, zaraz ci powiem – odparła ściszym tonem Lusja i kontynuowała. – Któregoś razu postanowiłam zakraść się od strony zaplecza, by przez okienko podglądać co oni tam wyprawiają. Zobaczyłam wówczas, że piją wódkę, biegają na golasa, śmieją się. Byłam normalnie w szoku. Kiedyś nawet jeden poeta, taki z długimi włosami to nawet wymiotował, a jedna z pań nauczycielek polskiego w naszej podstawówce, która była przewodniczącą žiri, trzymała mu włosy, żeby sobie nie zarzygał. Bardzo to mi się nie spodobało, oj bardzo! Przestałam więc chodzić na konkursy, ale ciągle pisałam swoje wiersze. Nazbierałam ich całą szufladę. Później zapełniłam biurko, a kiedy kończyło się miejsce w meblościance i nie miałam już nawet gdzie bieliznę upchać, zdecydowałam poszukać sobie odpowiedniego medium, innego niż regały i szuflady, do przechowywania tekstów. Tak oto odkryłam komputer i internet.

- Internet? – po raz kolejny przerwał jej Adamski, spoglądając porozumiewawczo na Dżaka. Ten wiedział, o co chodzi. Bezbłędnie zinterpretował niepewność w oczach przyjaciela. Ale mrugnął mu porozumiewawczo, żeby ten nic nie mówił o swoich pasjach komputerowych, żeby pozwolić Lusi wygadać się do końca.

- No, internet – powiedziała dziewczyna. – Ale mało tego. Okazało się, że w internecie można znaleźć informacje o różnych konkurach poetyckich, w różnych miastach. Szukałam tych ogłoszeń z mozołem, ale tak żeby organizowane były jak najdalej od miejsca, w którym mieszkam. Nie chciałam mieć nic wspólnego z tymi przebrzydłymi orgiami, które się działy w naszym GOK-u. I wysyłałam swoje wiersze do innych miast, w różne krańce Polski. Nawet do najmniejszych wsi, na takie konkursy, o których nikt nie słyszał. Dlatego często byłam ich jedynym uczestnikiem oraz laureatem trzech pierwszych miejsc. Z czasem jednak znudziło mi się poszukiwanie ogłoszeń i ułożyłam program komputerowy, który sam wyszukuje

ogłoszenia i sam wysyła moje wiersze na te konkursy. Całkowicie automatycznie, jak w fabryce. I tak oto zdobywam wszystkie swoje nagrody. Fajnie co nie?

Adamski z Dżakiem w milczeniu dopijali kawy. Nic nie powiedzieli. Ale to wówczas w ich głowach wykuł się plan kolonizacji internetu. Był on piekielnie prosty: Adamski, spec od informatyki, skonstruuje portal poetycki, Dżak jak na Dżaka przystało, będzie robił w nim za jedyne szefa i wieszca.

12.

Chłopcy wyszli z kawiarni. Każdy trzymał w ręku blachę sernika. Dżak wziął ten najdroższy, z galaretką i rodzynkami. Nie dlatego, żeby mu galaretka czy rodzynki szczególnie smakowały, ale z całkiem innego powodu: ten sernik był najdroższy.

Jednym z elementów traumatycznego dzieciństwa, który odcisnął piętno na psychice dorosłego Dżaka, był chleb z cukrem. A wiedzieć należy, że peerelowska rzeczywistość, w której dorastał, nie rozpieszczała dzieci z rodzin hrabiowskich. Ród Menelów mimo, że nie posiadał genealogii arystokratycznej, to przecież miał w swej historii kobietę, która zmywając naczynia otarła się o przedsionek stajni rodu Konięcpolskich. Być może władza ludowa przeoczyłaby ten fakt, a ojciec młodego wówczas Dżaka, awansowałby w strukturach partii na stanowisko pierwszego sekretarza, gdyby nie pewien epizod.

Otóż pewnego razu inżynier Menel senior został zaproszony na uroczysty raut, który zorganizowano by uczcić wybudowanie pierwszego w Europie suchego doku remontowego dla statków dalekomorskich. Dyrektorzy stoczni oraz partia chcieli jakoś uczcić to bezprecedensowe w skali światowej wydarzenie i świętować triumf socjalistycznej inżynierii nad stęchłą imperialistyczno-kapitalistyczną technologią. Owo kolejne zwycięstwo na froncie walki o socjalistyczny świat postanowiono naleźycie, po proletariacku uczcić: czyli sto półlitrówek polskiej wyborowej na trzydziestu chłopca, wliczając w to kilka słoików śledzi, trzy cebule, dwa bochenki chleba no i ogórki kiszone w liczbie 12 (słownie: dwanaście sztuk). Prawdopodobnie inż. Menel wytrzymałby ów piekielny wódczono-śledziowy maraton, jednak zajął złą pozycję – że tak powiem – startową.

Chcąc się przypodobać dyrektorowi generalnemu, postaci o wielkich wpływach w partii, usiadł tuż obok niego, by w którymś momencie delikatnie zasugerować, że przydałoby mu się większe mieszkanie. Przeoczył wówczas ważną rzecz. Otóż generalnym nie zostawało się wówczas ze względu na zasługi czy względy merytoryczne. Socjalistyczna droga awansu zawodowego grubą kreską odcinała się od konwencji rządzących karierą zawodową w świecie kapitalistycznym. Wprowadzono jedno i tylko jedno kryterium: kto więcej może wypić wódki, ten ma mocniejszy łeb, zatem: to łebski gość, ergo: człowiek mądry.

Po szóstym czy siódmym toaście na cześć rewolucji, Menel senior jeszcze się dobrze czuł, przynajmniej tak opowiadał małżonce na drugi dzień. Panowanie nad sobą tracił miał, gdy towarzysz dyrektor wznosił czterdziesty toast za nowy plan pięcioletni, w którym stocznia zobowiązała się wykonać replikę Titanica. Wówczas to, po wychyleniu do dna kieliszka nie opanował torsji i wyrzygał się towarzyszowi dyrektorowi na buty. Gdy ten to zauważył, powiedział do inż. Menela:

- Towarzyszu inżynierze, słabo wam?

- Hik, hik, nieee, hik, hik – wybełkotał w pijackiej czkawce Menel i ponownie zwymiotował, tym razem rzygając na spodnie generalnego.

- Chłopie! – powiedział generalny wyraźnie poirytowany postawą swego podwładnego - Co ty odpierdalasz?

- Ja... hik ... ja.. hik, hik, nie jestem...hik... żadnym...hik.. kurwa... hik...chłopem. Jestem hrabią... hik. – powiedział inż. Menel i stracił przytomność.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie bierze serio pijackich deklaracji czy też wyznań. Ale przecież pojęcie „zdrowych zmysłów” należało do wokabularza świata zachodniego, którym z oczywistych względów gardziła władza ludowa. Towarzysz dyrektor, przedstawiciel wiecznie czuwającej partii, zanotował w swoim czarnym notesiku następującą uwagę:

„Towarzysz inż. Menel, podczas uroczystości partyjnej, wzgardził płodami chłopów i rodzimym alkoholem. Manifestując swoją pogardę dla socjalistycznej gospodarki zwymiotował dwa razy na przedstawiciela władzy, czyli na mnie, w osobie: towarzysza

dyrektora generalnego, oraz na wykrzykiwał wrogie hasła, podkreślając swoją odrębność klasową (pilnie sprawdzić)”

Dalszy ciąg wypadków był do przewidzenia. Menel obudził się z potężnym kacem, w władzy natomiast obudziła się wątpliwość, co do robotniczego pochodzenia inż. Menela, które jako nastolatek zadeklarował w podaniu na studia. Sprawdzono zatem dyskretnie kroniki chrztu i okazało się, że wśród potomków rodu Menelów była nie tyle hrabina, co pomywaczka u stangreta hrabiny Koniecpolskiej. Wydano wówczas tajną dyspozycję o sygnaturze RN-23/SB/2-A/MO/UB, w której polecono zdegradować Menela do roli zamiatacza placu. Powodem, dla którego to zrobiono, nie była wydumana hrabiowska genealogia, niezgodna w doktryną rządów proletariackich, ale kłamstwo. Władza uznała, że inż. Menel skłamał, co do swego pochodzenia. Kłamstwo zaś w oczach ówczesnej władzy uchodziło za element w najwyższym stopniu reakcyjny i demoralizujący.

Od tego czasu rodzina Menelów z trudem wiązała koniec z końcem. Obniżka pensji zdegradowanej głowy rodziny, odbiła się głównie na menu. Już nie było niedzielnej pieczeni z wieprzowej karkówki, z deputatu mięsnego. Przy wspólnych obiadach, spędzanych przed talerzami pomidorówki, dominowało wymowne milczenie. Mały wówczas Dżak nie rozumiał istoty zdarzenia i ciągle domagał się a to słodyczy, a to znów zabawek, które tato zawsze przynosił do domu. Łatwo sobie wyobrazić tragizm takich sytuacji, w których mały Dżak pytał:

- Tatusiu, a co mi dzisiaj kupiłeś?

albo:

- Tatusiu, kupisz mi paczkę pod choinkę?

Bezradny ojciec w takich chwilach dusił w sobie pretensje do samego siebie, żał do systemu władzy, a następnie żał do całego świata, w którym nie mógł zarobić na zabawki czy czekolady dla dziecka. Jedyne małżonka, matka Dżaka, miała w sobie więcej woli. To ona wieczorami, gdy Dżak zasypiał w malutkim łóżeczku, pocieszała męża:

- Nie przejmuj się tak. Jeszcze będzie dobrze. Zobaczysz – mówiła – jak Dżak dorośnie to nam pomoże.

Zaiste to dzielna kobieta. Ten niebывały hart ducha miała w sobie od urodzenia. Była prostą chłopką, wychowaną na wsi wśród krów, które pasła czytając sobie książki dla zabicia czasu. Zawsze chciała mieć dużo dzieci, ale zakochała się w inżynierze z dużego miasta, który skutecznie wybił jej wielodzietność z głowy. Nie przekonał go argument, że im więcej dzieci, tym później lepiej w życiu. Dzieci przecież pomagają swoim rodzicom, przynajmniej tak się dzieje na wsi. Najstarszy syn przejmuje ojcowiznę, a reszta mu dzielnie pomaga.

Pamięta jak dziś jego oświadczyły w parku. On przyszedł z kwiatami i pudełkiem czekoladek od Biklego, ona miała na sobie czerwoną sukienkę. Był maj. Ona, przytulając się do ukochanego, powiedziała:

- Kocham cię, chcę mieć z tobą dużo dzieci.

On powiedział jej wówczas:

- Też cię kocham. Ale wiesz, miasto to nie jest wieś. W mieście nie trzeba spalać kalorii w akcie prokreacji, licząc, że nakład energetyczny potrzebny w celu spłodzenia potomka, zostanie przez niego w przyszłości zrównoważony. Jedno dziecko nam wystarczy kochanie.

Ona wtedy nie rozumiała nic z tych mądrych inżynierskich słów. Tak bardzo go kochała, kochała go ślepo. Jednak w tej chwili, gdy mąż został zdegradowany, pokazała co to znaczy wiejski hart ducha. Nie tylko potrafiła pocieszyć męża i dodać mu otuchy, ale zaspokoić głód słodyczy synka. Wymyśliła ona następujący frykas, mianowicie odkrajała pajdę chleba, polewała górną część wodą, a następnie posypywała go cukrem. Tak oto zrodził się peerelowski przebój kulinarny o nazwie „chleb z cukrem”. Szkoda, że wówczas nie opatentowała tej potrawy, ale nie myślała o tym. A nawet gdyby pomyślała, jako dumna

reprezentantka bezinteresownego chłopstwa polskiego, nigdy nie zdecydowałaby się na zbijanie fortuny kosztem biedy. Mniejsza o to. W każdym razie zawsze, gdy Dżak dopominał się o cukierka, mama podawała mu chleb z cukrem, który utrwalił się w głowie chłopca, jako symbol troski rodzicielskiej, oraz znak epoki, w której przyszło mu spędzić dzieciństwo.

Jednak ta ascetyczna potrawa niezbyt długo cieszyła się popularnością w domu państwa Menelów. Z czasem Dżak zaczął wybrzydzać i marudzić, by w końcu zapalać szczerą odrazą do chleba z cukrem, który z taką troską przygotowywała mu mama. Obiecał sobie, że nigdy w życiu tego nie będzie go jadł, nie zje też innych słodczy, które będą nosiły najmniejsze choćby znamiona ascezy warsztatu cukierniczego. Dlatego zadowalał się tylko wykwintnymi tortami, najbogatszymi ciastami, nadziewanymi czekoladami. Innymi słowy, zaczął kierować swoje preferencje kulinarne w stronę luksusu. Luksus kojarzył mu się jednoznacznie: to co drogie, to jest smaczne.

Podziwiając najdroższy sernik Dżak czekał z Adamskim na to, aż Lusia zapłaci rachunek i do nich dołączy. Czekala ich jeszcze długa droga do hotelu, w którym mieli spędzić noc. Musieli dobrze wypocząć, jutro bowiem wybierali się na galę konkursu im. Kościotrupków.

13

- Już zapłaciłam, możemy iść – powiedziała Lusia podchodząc do chłopców.
- No to chodźmy – zdecydował Dżak i jako pierwszy skierował się ku wyjściu z dworca. Lusia chciała iść tuż za Dżakiem, ale Adamski złapawszy ją za ramię powiedział:
- O nie, ty na końcu.
- Ale dlaczego?
- Dlatego, że w naszej bandzie obowiązuje odpowiednia hierarchia. Dżak jest szefem dlatego idzie pierwszy, ja jestem jego zastępcą i idę jako drugi, a ty jesteś nowa. Nowi idą zawsze na końcu.
- Ja go w pałę! – powiedziała z pewnym podziwem w głosie grubaska. – Ale u was panuje porządek.
- Ordnung mus zajn – wtrącił się niespodziewanie Dżak, używając swej nienaganej niemczyzny. Chciał się kolejny raz popisać przed nową członkinią bandy, aby utrwalić swój wizerunek, jako niekwestionowany autorytet. Nagle stało się coś niespodziewanego. Otóż do Dżaka podszedł jakiś podróżny, starszy pan w szarym prochowcu, z walizką w rękę i zapytał:
- Schprechen Sie deutsch?
- Skonsternowany Dżak nie wiedział co odpowiedzieć. Nie zrozumiał nic z pytania. Jednak nie chciał wyjść na ignoranta w oczach członków bandy. Udał najpierw, że nie zauważył jegomościa, który najwyraźniej był obcokrajowcem z zachodu.
- O! Patrzcie jaki ładny sufit – powiedział do Adamskiego i Lusi, wskazując końcem laski na sklepienie budynku dworca. Adamski popatrzał w górę, Lusia natomiast powiedziała:
- Dżak, ten pan cię o coś pyta.
- Jaki pan?
- Ten, który stoi tuż obok ciebie, po prawej stronie.
- Dżak nie popatrzał w prawo. Odwrócił się w lewo i skierowawszy czubek laski w okno dworca powiedział:
- Albo zobaczcie, jakie ładne okna tutaj mają. Tyle w nich piękna. Są takie realistyczne, że aż socrealistyczne. Doprawdy zdumiewająca jest ta estetyka chłopsko-robotnicza. Z rozmysłem zaprojektowano je tak, żeby gołębie, symbole pokoju, mogły sobie na nich nie tylko przysiąść, szukając chwili wytchnienia w swej odwiecznej tułaczce, ale nawet uwić gniazdo, założyć rodzinę czyli stworzyć podstawową komórkę społeczną rodu ptasiego.
- Ułożywszy naprędce mowę ku czci okien dworcowych, którą wyrecytował członkom bandy, by odwrócić uwagę od zajścia z nieznanym podróżnym, Dżak modlił się w duchu: „Idź sobie człowieku. Proszę, idź.” Nie docenił jednak niemieckiej cierpliwości. Pan bowiem jak stał, tak stał. Co więcej, pan powtórzył pytanie:
- Sprechen Sie deutsch?
- Lusia, jako że była najnowszym nabytkiem bandy, nie nawykła jeszcze do zachwyty nad stolarką okienną. Nie to, żeby nie zaimponowała jej perora Dżaka. Przeciwnie. Jednakże było w niej jeszcze trochę człowieczeństwa, coś z chrześcijańskiego miłosierdzia. Oczywiście, to uczucie, jak u wszystkich poetów-wieszczów, tak i u niej zaniknie z czasem. Jednak w tej chwili miała go wystarczająco dużo, by zwrócić uwagę Dżakowi. Powiedziała:
- Dżak, ten pan cię o coś pyta.
- „Po chuj ja cię wzięłam do swojej bandy!?” – zaklął w myśli Dżak i widząc, że się nie wymiga, że nie uda mu się splawić obcojęzycznego natręta i że będzie musiał skonfrontować swoją znajomość języka obcego z obcokrajowcem z krwi i kości, z udawanym uśmiechem na twarzy odwrócił się do nieznanego i powiedział:
- Bite?
- Wunderbar! Sie sprechen deutsch. Vielleicht können Sie mir sagen, wo finde ich hier Fahrplan?

Dżak nie zrozumiał z tego ani słowa. No może poza jednym: „deutsch”. To pozwoliło mu bezbłędnie zidentyfikować nację interlokutora. Pomyślał sobie: „Ty przebrzydły germańcu! Od wieków ciemniycie naród polski! To przez takich jak ty Konopnicka musiała napisać „Rotę”. Teraz zagałęś swego krwiożerczego, krzyżackiego parol na mnie, na spadkobiercy dziedzictwa Miłosza! Chciałbyś mnie skompromitować! Oj nie dam się ja tobie tak łatwo bratku! Popamiętasz mnie jeszcze, tak jak Guderian polską konnicę w trzydziestym dziewiątym!” Nie dał jednak po sobie nic poznać i z apodyktyczną pewnością w głosie odpowiedział:

- Ja, ja. Volkswagen gut auto.

- Wie bitte? – zapytał zdziwiony podróżny.

- Kom na chałze kinder machen, arbajt macht fraj – bez zająknięcia odpowiedział Dżak, uśmiechając się miło do starszego pana. Był to tylko pozór, ponieważ w tej chwili wyczerpał się zasób jego niemieckojęzycznego wokabularza. Ku zdumieniu Dżaka, pan zamiast odejść, zaczął się mile uśmiechać do niego. Po chwili nieznajomy chwycił go delikatnie pod ramię i powiedział:

- Willst du lieber in Klo oder in Hotel? Und sag mal wie viel? Ich habe zwanzig Euro dabei, reicht das?

Całkowicie zaskoczony reakcją nieznajomego, Dżak postanowił zachować zimną krew i kontynuować lingwistyczny pokaz. Motywacji dodawały mu wyrazy uznania na twarzach członków jego ekipy. Nie mógł ich rozczarować. Jako, że nie znał więcej niemieckich słów odwołał się do swojej inteligencji. Postanowił pokombinować. W ostatnim zdaniu usłyszał jedno znane mu słowo: „hotel”. Po chwili namysłu odpowiedział:

- Ja, ja Hotel gut.

Kiedy spostrzegł, że ani Lusia ani Adamski nie zorientowali się, że odpowiedź „hotel gut ja, ja”, była produktem jego lingwistycznego instynktu, a w zasadzie niczym innym jak wariacją na temat: „ja, ja. Volkswagen gut auto”, odetchnął z ulgą. Zastanawiał się jednak cały czas, dlaczego nieznajomy ciągle trzyma go pod ramię i dlaczego ciągle się tak miło uśmiecha?

- Also, gehen wir – powiedział starszy pan i pociągnął Dżaka delikatnie ku wyjściu. Oczywiście nie zaprotestował, chociaż mama wielokrotnie go przestrzegała, żeby nie zadawał się z nieznajomymi. Musiał dalej grać, bo stawką w tej grze była rzecz najważniejsza: jego autorytet.

Tak oto już we czwórkę zmierzali ku wyjściu. Na początku szedł Dżak pod rękę ze starszym panem, za nimi był Adamski. Gruba Lusia z tobołami wlekła się na samym końcu. To właśnie wówczas zakiełkowało w niej ziarenko buntu wobec hierarchii w bandzie. Zapytała Adamskiego:

- Atomizer, dlaczego ten pan idzie z przodu razem z Dżakiem? Przecież on jest nowy i powinien iść za mną.

Adamski chwilę się zastanowił i powiedział:

- Bo on jest obcokrajowcem.

To wyjaśnienie nie było dostatecznie przekonujące dla Lusi. Zaczęła drażnić temat:

- No i co z tego, że obcokrajowiec? Jako nowy, powinien być na końcu.

Atomizer zatrzymał się, odwrócił do Lusi i powiedział:

- Słuchaj, obcokrajowcy mają pierwszeństwo, bo znają języki obce. To mądrzy ludzie i dlatego oni mogą iść na przędzie. Ten pan, który idzie z Dżakiem zna niemiecki. Wiesz jaki on musi być mądry? – zapytał retorycznie i kontynuował – Może nie tak mądry jak Dżak, który zna nie tylko perfekt niemiecki, ale angielski i łacinę, ale też mądry. A ile ty języków znasz? – zapytał na koniec Lusię i nie spodziewając się od niej odpowiedzi, odwrócił się i zaczął iść w kierunku oddalającego się tandemu Dżak-podróżny.

Grubaska nie miała innego wyjścia, jak tylko zaakceptować wyjaśnienie Adamskiego i pogodzić się z losem póki co ostatniej w bandzie. Podniosła z ziemi walizki i powoli dochodziła do wyjścia z dworca.

14.

Był krakowski typowy dzień, jaki zwykle o tej porze roku mógł dziać się tylko w Krakowie. Na starym rynku gołębie dokarmiane okruszkami krakowskiego chleba, robiły swoim dobrodziejom śliczne, krakowskie kupy na głowy. Należy wiedzieć, że o ile w innych częściach Polski ptaki prozaicznie wysrywały się na ludzi, tak w Krakowie, mieście królów i poetów, ptaki defekowały śliczną, misternie uformowaną w drobne zawiniątko kupą o niebywałej wręcz fakturze i konsystencji, tylko na głowy przechodniów. Nikt im nie miał tego za złe. Przeciwnie. Ludzie sami prowokowali ptaki do tego. Powszechnie wierzone, że dzień rozpoczęty z gołębiim kałem na głowie, to dzień udany. Jako, że każdy człowiek chce mieć przynajmniej raz w życiu szczęście, dlatego Krakuf, ze względu właśnie na owe kupy gołębie, stał się mekką, do której zmierzali nieudacznicy z całego świata, w poszukiwaniu dnia szczęśliwego. Znaleźli się tacy, którzy zbili fortuny na tych nieszczęśliwcach. Sprzedawali za bająnskie sumy naiwniakom z całego świata hermetycznie pakowane kupy, robione domowym sposobem, które nie miały nic wspólnego z metabolizmem ptaków krakowskich. Należy wiedzieć, że tylko ekspert lub rodowity mieszkaniec Krakofa był w stanie rozpoznać w tym przypadku oryginał od falsyfikatu. Laik-turysta nie miał żadnych szans. Dlatego wielu to kupowało. Na szczęście władze miasta szybko zauważyły, że ten niecny proceder może zaszkodzić wizerunkowi Krakofa w świecie i szybko zabroniły tego rodzaju handlu. Na mocy decyzji rady miasta, kupy gołębi krakowskich stały się dobrem narodowym, z których każdy mógł korzystać za darmo i do woli. Sprzedaż kup została zakazana.

Jednak najbardziej osobliwy stosunek do finalnego produktu metabolizmu owych szlachetnych ptaków krakowskich mieli poeci. Każdy polski poeta poczytywał sobie za punkt honoru wytarzać się w gołębiich odchodach. Dominowało uzasadnione skądinąd przekonanie, że krakowskie guano pozwala osiągnąć taki stan świadomości, na którym to co jednostkowe rozplywa się w tym, co kosmiczne i na odwrót. Właśnie w ramach tego światka powstało powiedzenie: „wiersz trzyma się kupy”, które następnie uległo dehermetyzacji i upowszechnieniu jako związek frazeologiczny: „trzymać się kupy”. Dlatego też całymi tłumami poeci wyruszali na stary rynek w poszukiwaniu gołębiich odchodów, aby następnie udać się do mrocznych piwnic i tworzyć swoje najwybitniejsze dzieła.

Ale nie tylko ze względu na gołębie odchody Krakuf był miastem niezwykłym. Tylko tutaj wiatr, wbrew swej naturze wcale nie wiał, lecz recytował wiersze największych poetów. Tylko tutaj każdy, szanujący się obywatel miasta zawsze miał w kieszeni tomik poezji. Tylko w tym mieście trawa rosła idealnie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni względem podłoża. Poza tym panował tu niebywały spokój, sielanka pól elizejskich, po których przechadzali się poeci, różnej maści artyści i ci, którzy szukali szczęścia. I wydawać by się mogło, że w tym miejscu, jak w innym na ziemi, bezwzględna siła grawitacji straciła swoją moc. Tyle tu było natchnienia w okolicy, że odnosiło się złudzenie lewitacji nie tylko przechodniów, ale nawet krakowskich koszy na śmieci.

Właśnie takie okoliczności przyrody przywitały Dżaka, nieznanego pana, Adamskiego oraz Lusię. Stali oni chwilę w głównym wyjściu dworca krakowskiego, podziwiając miasto poetów, artystów. Oto oni w samym środku cesarstwa natchnienia.

- Ach! – westchnął głośno Dżak, zwracając twarz ku słońcu jak na prawdziwego wieszczą przystało.

- Ach! – zawtórował mu Adamski tak na wszelki wypadek, żeby jego najlepszy przyjaciel nie był osamotniony w wzdychaniu.

- Ach! – westchnęła także Lusia, która widząc wzdychających chłopców, jako nowa członkini bandy, postanowiła się dopasować.

Tylko starszy pan, który trzymał cały czas Dżaka pod rękę, nie westchnął, lecz uśmiechając się powiedział:

- Gleich Junge, wirst du aber schreien.

W tym czasie ptaszki sobie ćwierkały, trawa na trawniku przed dworcem rosła w swoim tempie, chmury leniwie sunęły po nieboskłonie. Nic nie zakłócało owej sielanki krajobrazu. No może za wyjątkiem zwartego oddziału prewencji policji, który zniemacka otoczył całą czwórkę.

- Stać! Policja! Nie ruszać się! Ręce do góry! – wykrzyknął gruby osiłek w mundurze policyjnym i kominiarce na twarzy, celując do nich z karabinka bojowego.

Lusia skamieniała. Natychmiast rzuciła walizki i bez sprzeciwu wykonała polecenie.

Atomizer z Dżakiem także nie kryli zaskoczenia. Tylko starszy pan, który im towarzyszył wydawał się jakby mniej zaskoczony. Dżak uniósł ręce i powiedział z paniką w głosie:

- Ależ panowie, to jakieś nieporozumienie.

- Dokumenty! – wykrzyknął zakamuflowany grubas.

Wszyscy członkowie bandy natychmiast zaczęli szperać po kieszeniach, w poszukiwaniu dowodów osobistych. Dżak trochę się zaszportał w długiej, czarnej kapocie, ale przebrnąwszy przez labirynt fałdek, zakładek, kieszeni zewnętrznych i wewnętrznych, także odnalazł etui z dokumentami. Starszy pan zaś stał nieruchomo.

- A pan! Pańskie dokumenty! – policyjnym tonem powiedział do niego ten sam grubas.

- On jest Niemcem – powiedział przestraszony całym zajściem Dżak.

- Acha! – powiedział szef oddziału i po niemiecku zwrócił się do starszego pana:

- Papiere bitte.

Pan rozpiął prochowiec. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął brązowy, skórzany pugilares. Chwilę w nim szukając, podał dokument tożsamości policjantowi. Ten, zapoznawszy się wcześniej z personaliami Dżaka, Adamskiego i Lusi, skoncentrował całą uwagę na obcokrajowcu.

- Pan Adolf Kinderficker von Analverkher – odczytał na głos stojącemu tuż obok innemu policjantowi i dodał:

- Sprawdź w bazie.

W czasie, gdy personalia były sprawdzane w policyjnej bazie danych, cała czwórka stała otoczona kordonem policji. „Czy my jesteśmy jakimiś przestępcami?” – pomyślał Dżak. „Czy my jesteśmy jakimiś terrorystami?” – pomyślał Adamski, wiedząc, że jego przyjaciel także w tej chwili myśli i nawet w myśleniu nie chciał go pozostawiać samemu sobie. Lusie, jako świeża w bandzie również oddała się procesowi refleksji. Pomyślała: „Ale ten pan z policji jest mądry, tak samo jak Dżak. Też zna języki obce! Mój mąż musi być policjantem, oni wszyscy są tacy mądrzy!”

Policja polska, której funkcjonariusze znani są na całym świecie, jako istoty o niebywale analitycznych umysłach, i tym razem się spisała. Sprawdzenie personaliów trwało zaledwie trzy godzinki. W tym czasie spojrzenia zakamuflowanych oficerów prewencji, skierowane były czujnie na otoczoną grupkę. Szef oddziału, grubas, jako że na kursie policyjnym zawsze celował na zajęciach psychologii behawioralnej, starał się wysledzić najmniejszy choćby grymasik na twarzach Dżaka, Lusi, Adamskiego i starszego pana. Nieustannie analizował każdy gest, dokładnie lustrując wzrokiem reakcje ciała. Dokładnie przyglądał się dłoniom całej czwórki, czy się nie pocą, czy nie są zacisnięte. Liczył też w pamięci oddechy zatrzymanych do kontroli. Wiedział, że jeżeli któryś z nich kłamie lub ma cokolwiek do ukrycia, to musi się zdradzić. A należy wiedzieć, że oficer dowodzący, który kierował tą akcją, był znany w środowisku policyjnym pod pseudonimem: „Wariograf Niedozrobieniawchuja”, ponieważ nikt go jeszcze nie oszukał.

W końcu odezwał się głos krótkofalówki:

- Menel, Szczurek, Adamski czyści. Niemca zatrzymać.

15

Dżak wraz z pozostałymi członkami swej bandy biernie obserwował jak zamaskowani funkcjonariusze policji zakuwają starszego pana w kajdanki i prowadzą do radiowozu.

Kiedy policyjne polonezy z piskiem opon odjechały w nieznanym kierunku, a tym samym krakofskie ampuła wróciło do względnego constans zaburzonego przed chwilą interwencją zwartych oddziałów prewencji, Atomizer powiedział:

- Ciekawe, co przeskrobał.

- Ciekawe, ciekawe – zawtórowała mu Lusia, która nijak pojąć nie mogła, dlaczego taki mądry człowiek, znający obce języki został aresztowany.

Dżak jako przywódca bandy zawsze starał się nie tylko wyjaśniać istotę zjawisk atmosferycznych, które budziły lęk u podwładnych, ale rozstrzygać wszelkie dylematy swych poddanych. I tym razem stanął na wysokości zadania.

- Moi mili – powiedział – Ten cały incydent można wyjaśnić na kilka sposobów. Jednak najbardziej prawdopodobna interpretacja tego zdarzenia, musi uwzględnić stosunki polsko-niemieckie sięgające czasów Jagiełły i Zakonu Krzyżackiego a zwłaszcza dzieje Juranda i historię dwóch, nagich mieczy. Jak zapewne wiecie w historii świata odgrywaliśmy zawsze rolę pozytywnych bohaterów. Jednak jeżeli chodzi o casus Juranda i dwóch nagich mieczy, było zgoła inaczej. Otóż Jurand, który na stale mieszkał w Spychowie, wybrał się pewnego razu na polowanie, na dzika. Szedł sobie tak przez las i nawoływał: „cip, cip, taś, taś! Dziki, gdzie jesteście?!”. Żaden dzik jednak nie odpowiedział na owo nawoływanie. Jurand słynął w całej okolicy z tego, że jak wracał z polowania, to tylko ze zdobyczą. Tym razem jednak nie było żadnego dzika, którego skóra mogłaby zdobić jego izbę. Słowem: zero dzika na horyzoncie. Nadchodził zmierzch. Jurand stracił nadzieję na to, że uda mu się upolować choćby warchlaka. Zrezygnowany usiadł przy ognisku i zaczął kombinować, jak tu się wytłumaczyć mieszkańcom Spychowa z tego, że wraca bez soczystego zwierza na swej szpicie. Różne pomysły przychodziły mu do głowy. Jednak, żadna z wymówek, które sobie naprędce konstruował nie wydawała mu się przekonująca na dłuższą metę. Mógłby oczywiście powiedzieć, że dziki emigrowały na zachód w poszukiwaniu żołądki, ale kto by mu w to uwierzył? I kiedy tak bezskutecznie rozmyślał przed rozpalonym ogniskiem, polska duma i honor dały o sobie znać. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że za wszelką cenę musi obronić honoru Polaka-łowcy, Polaka-żywiciela, Polaka-wojownika. Wówczas to posunął się do ostateczności. Wyjął żarzące się polana z ogniska i wypalił sobie oczy. Uznał wówczas, że to będzie najbardziej przekonujące wyjaśnienie: oto on, któremu źli Krzyżacy wypalili oczy, aby ten nie mógł dostrzec i upolować dzika. Nie przewidział tylko jednego, że jako ślepiec może nie odnaleźć drogi powrotnej do Spychowa. Po krótkim: pssss, pssss, było już po sprawie.

- Dżak, proszę cię, to takie okrutne! – przerwał mu nagle Lusia, krzywiąc się z obrzydzenia.

- Okrutne, czy nie – odpowiedział Dżak – tak się stało. Jurand już był ślepy. Próbował trafić do domu, ale nie bardzo wiedział, w którą stronę iść. Szedł więc na ślepo...

- Hehehe – przerwał mu szyderczym śmiechem Adamski, który pojął istotę dowcipu w tej całej opowieści i dodał: - Szedł po omacku.

- Na ślepo i po omacku – potwierdził Dżak. – Co więcej – kontynuował - Jurand cały czas się potykał o różne korzenie to kamienia, tak, że po jakimś czasie wyglądał jak obstrzępiony dziad. Pewnie byłby zginął w labiryncie leśnych ścieżek, gdyby nie rycerz zakonu Krzyżackiego, którego spotkał na drodze. Był to najmłodszy potomek rodu von Jungingen, który zmierzał do komturii w Malborku. Prawdziwy zapaleniec i jeszcze idealista. Wierzył w krzyż wyszyty na swoim białym płaszczu i wszystkie wartości, które reprezentował. Dlatego zlitował się niczym miłosierny Samarytanin nad owym żebrakiem, i podał mu dwa nagie

miecze, by ten mógł się na nich wspierać i co chwilę stukać nimi o siebie, by ktoś go usłyszał. Jurand bez zastanowienia przyjął te dwa nagie miecze i obiecał, że odda, jak tylko trafi do domu. Młody von Jungingen powiedział wówczas: „Trzymam cię za słowo” i odjechał w swoją stronę. I tak oto Jurand, podpierając się na owych mieczach i co chwilę nimi stukając, w końcu zwrócił na siebie uwagę polskich rycerzy, którzy orszakiem przemierzali słowiańskie knieje w poszukiwaniu kłusowników. Ulitowali się oni nad rodakiem i postanowili odwieźć go prosto do Spychowa. Wypytywali go po drodze o przyczynę jego ślepoty. I właśnie wtedy Jurand wymyślił historyczne kłamstwo. Nie chcąc wyjść na idiotę, który dokonał samookaleczenia by ratować honor Polaka-żywiciele, łowcy itp., powiedział, że to źli Krzyżacy otoczyli go w pięćdziesięciu, że trzydziestu ośmiu położył trupem, lecz w obliczu przeważających sił wroga skapitulował, a ci w zemście za poległych braci wypalili mu oczy. Na koniec dali mu dwa nagie miecze, jako cyniczny gest pogardy dla kaleki. Właśnie ta historia, mimo że zmyślona, stała się prolegomeną do wojny Polski z Zakonem Krzyżackim. Kiedy w 1410 r., nieopodal Grunwaldu, pałający żądzą zemsty za oczy Juranda, polscy rycerze rozgromili armię Zakonu, przywieźli Jurandowi jako trofeum żywego von Jungingena, tego samego, który onegdaj pomógł mu w lesie. Jurand wówczas był już świadomy skutków swego oszustwa. Targały nim wyrzuty sumienia, które odbierały mu dobry sen. Jednak do końca grał swoją rolę. Kiedy rzucono mu do kolan związanego rycerza, powiedział mu, że mu wybacza i żeby puszczono go wolno. Młody von Jungingen miał wówczas powiedzieć: „Panie, a gdzie te dwa miecze, które obiecałeś oddać, jak trafisz do domu?”. Jurand nic nie odpowiedział, młodego rycerza zaś wygnano bez owych mieczy. Jednak niemiecka skrupulatność dała o sobie znać kilkanaście wieków później. Jeden z ministrów kultury Niemiec, zaczął domagać się zwrotu zagarniętego mienia Krzyżackiego od rządu polskiego.

- Ale jak to się ma do tego naszego Niemca, którego przed chwilą aresztowano? – zapytała Lusia.

- No właśnie? – poparł ją Adamski.

- Ależ wy jesteście niedomyślni – odpowiedział z politowaniem Dżak – Czy nie zwróciliście uwagi na uprzejmość tego pana, czułość i opiekuńczość, gdy prowadził mnie pod rękę? Czy nie zrozumieliście tego, co mówił?

- No wiesz, Dżak, przecież tylko ty znasz języki obce – powiedziała Lusia, lekko poirytowana uwagą na temat swej ignorancji.

- Fakt – odpowiedział Dżak i dodał – Ale przecież mogliście już z jego zachowania wywnioskować, że to jest jakiś inny rodzaj Niemca.

- A to dlaczego? – zapytał tym razem zdziwiony Atomizer.

- Dlatego, że Niemcy, to barbarzyńcy śmierdzący piwem, którzy w wolnych chwilach robią z ludzi mydło...

- No wiesz! – przerwała mu stanowczo Lusia – To takie niepoprawne politycznie, co właśnie teraz mówisz i takie krzywdzące dla innych.

- Masz rację – powiedział po krótkiej chwili namysłu Dżak – Niektórzy z nich w wolnych chwilach piszą wiersze i opery, ale generalnie, to kombinują jak z ludzi zrobić mydło. Ten jednak był inny. Był schludnie ubrany, ogolony, wyperfumowany i o nienaganych manierach.

- Coś w tym jest – przytaknął mu Adamski, który właśnie przypominał sobie lekcję historii, na której omawiano temat drugiej wojny światowej.

- Jestem przekonany – kontynuował Dżak – że ten Niemiec, którego właśnie aresztowano, to potomek von Jungingenów, który przyjechał do Polski by odebrać dwa nagie miecze pożyczone onegdaj przez jego praszczura Jurandowi, by ten odnalazł drogę do domu.

Lusia już nic nie powiedziała. Nie była do końca przekonana tym wyjaśnieniem, ale nie chciała więcej dociekać w obawie, że Dżak może odebrać jej wątpliwości za próbę naruszenia, a nie daj boże, obalenia jego autorytetu jako przywódcy. Milczał też Atomizer. On też nie był zadowolony z interpretacji zdarzenia, którą przedstawił jego najlepszy przyjaciel. Jednak jego milczenie miało inne źródło niż w przypadku Lusi. Atomizer liczył na boski seks w pokoju hotelowym, dlatego nie chciał, aby jego przyjaciel popadł w depresję, której powodem mogło być pytanie sceptyka. Wiedział, że Dżak ma skłonność do takich stanów dlatego, powodowany potrzebą zaspokojenia własnej chuci, zdusił w sobie wszelkie wątpliwości i wezwał taksówkę, która zawiozła ich prosto do hotelu.

16

Z okien taksówki cała trójka podziwiała krajobraz krakofskich kamieniczek i ulic. Mimo, że od dworca głównego do hotelu, w którym Dżak miał zarezerwowane miejsce było jakieś dwa kilometry, to przebiegły krakofski taksówkarz wybrał trasę okrężną. Z przepisową prędkością najpierw pojechali na przedmieścia, aż do miejsca, w którym kończyła się miejska infrastruktura a zaczynał wiejski krajobraz pól i łąk. Następnie z powrotem do centrum, a później znowu na przedmieścia tylko z innej strony. W ten oto sposób Dżak, Adamski i Lusia zwiedzili Krakuf dosłownie wzdłuż i wszerz. A warto dodać, że o ile powiedzenie: „trzymać się kupy” wywodzi się z bohemy artystów krakofskich, tak „przebyć/przemierzyć coś wzdłuż i wszerz” zostało ukute w ramach korporacji taksówkarzy tego miasta. Ten sposób obwożenia klientów stał się z czasem powszechny w innych częściach kraju a następnie został odgapiiony przez zagranicznych taksówkarzy.

Oprócz niebywałych walorów poznawczych, taki sposób przemieszczania się taksówką miał jedną wadę. Chodzi mianowicie o koszt takiej eskapady. Nierzadko bowiem zdarzało się, że pasażerowie obwiezieni po całym mieście, nie mieli pieniędzy by zapłacić za kurs. W takich sytuacjach taksówkarze nie okazywali litości nierzetelnym płatnikom. Tłukli ich niemiłosiernie i często wywozili do lasu, zostawiając w całkowitej głuszy na pastwę komarów, wilków czy czegoś w tym rodzaju. Na szczęście w tym przypadku chłopcy, mimo że byli bez grosza, wzięli do swej bandy Lusię. A ta, czego dowód dała już w kawiarni dworcowej, gotowa była do wszelkich wyrzeczeń by wkupić się w łaski chłopców.

Po dwugodzinnej przejażdżce taksówka podjechała w końcu pod hotel. Barczysty taryfiarz, z sumiastym wąsem pod nosem i grubą, złotą bransoletą na lewym nadgarstku, odwrócił się do pasażerów na tylnym siedzeniu i powiedział:

- Już jesteście. Należy się 928 zł.

- Ona zapłaci – odpowiedział Dżak, odwracając głowę w kierunku Lusi.

Lusia bez wahania wyciągnęła z kieszeni portfel. Grzebiąc w nim chwilę, spojrzała na taksówkarza i powiedziała:

- Kurde, forsa mi się skończyła. Nie mam pieniędzy, ale gdyby zechciał pan przyjąć jedną z moich nagród w zamian – to mówiąc, schyliła się do torebki, którą miała między nogami i wyjęła z niej kryształowy pokal z wygrawerowaną inskrypcją.

- Sobie chyba jaj robisz skarbenku – powiedział taksówkarz, a na jego twarzy pojawił się złowrogi grymas.

- Ale proszę pana... – chciała coś powiedzieć Lusie, gdy nagle przysunął się do niej Adamski i zaczął coś szeptać do ucha. W tym czasie taksówkarz cały czas przenikliwym wzrokiem lustrował Lusię, oczekując należności z kurs. Po chwili Atomizer odsunął się od Lusi i razem z Dżakiem wysiadł z taryfy.

- Słuchaj rybko – powiedział stanowczym tonem kierowca do Lusi – Jak jest? Płacisz czy wpierdol?

Lusia całkowicie spokojna odpowiedziała:

- Zrobię panu laskę.

Lusia nigdy sama nie wpadłaby na tak brawurowy pomysł, by w zamian za forszę, zaoferować zrobienie laski. Myli się także ten, kto sądzi, że to Atomizer był inicjatorem owej koncepcji: „laska za szmal”, bo właściwym akuszerem tego rozwiązania, był nie kto inny, jak Dżak we własnej osobie. To on wymyślił teorię: „jeżeli chcesz coś osiągnąć w życiu, to rób laski”. Atomizer tylko nieznacznie zmodyfikował ową koncepcję, po czym po cichu, do ucha, odpowiedział Lusi, by zrobiła laskę taryfiarzowi. Lusie nie była aż tak naiwna, by zgodzić się na taką propozycję, ale Atomizer zdradził jej, że pierwotnie jest to wymysł nie jego, ale Dżaka. Jako, że Lusie uważała przywódcę bandy za bezwzględne idola, za wyrocznię

orzekającą o tym, co białe a co czarne, uznała takie rozwiązanie, za bardzo dobre. Z tego powodu bez żadnych wątpliwości i zahamowań zaproponowała robienie laski barczystemu taryfiarzowi z sumiastym wąsem.

- Rybeczko – powiedział do Lusi taksówkarz, z lubieżnym uśmiechem na twarzy – To będzie bardzo dłuuuuga laska.

I zaczął rozpinać rozporek. Lusia zaciskając drobniutkie, kobiece piąstki, ze łzami w oczach przystąpiła do dzieła. Nie to, żeby bolały ją migdałki czy tchawica, lecz dlatego, że właśnie w tej chwili odbierała jedną z ważniejszych lekcji od życia. Uświadomiła sobie, że nigdy nie zostawi przyjaciół na lodzie, że dla przyjaźni jest w gotowa na najwyższe poświęcenia. Uświadomiła sobie także, że w życiu nie ma nic za darmo, że za wszystko trzeba będzie prędzej czy później zapłacić. Był też pełna podziwu dla uogólnienia teoretycznego: „żeby coś w życiu osiągnąć trzeba robić laski”, którego autorem był Dżak. Myślała z uznaniem: „Ile to badań, eksperymentów empirycznych musiał on przeprowadzić, by na ich podstawie wprowadzić taką teorię?”.

Gdzieś po trzech kwadransach wysiłku oralnego, zaczęła ją boleć szczęka. Spoglądała co chwilę do góry na twarz taksówkarza, by upewnić się czy wystarczy. Ten jednak miał cały czas zamknięte oczy i całkowicie nie zauważał jej znaczących spojrzeń. Postanowiła zapytać:

- yyyche aaana, yyy uuussz yystay? – wybełkotała, tak jakby miała kluski w buzi. Chciała zapytać: „Proszę pana, czy już wystarczy?”. Nie posiadała jeszcze tej zdolności starożytnych mówców ateńskich, którzy uczyli się sztuki wymowy z kamieniami w ustach. Była jednak na dobrej drodze.

Taksówkarz nie otwierając nawet oczu, dzielił ją z liścia w głowę, mówiąc:

- Stul pysk! Nie rozpraszaj mnie! Widzisz, że się koncentruję!

Po czym chwycił obiema dłońmi głowę dziewczyny, by nadać jej właściwy rytm, zwiększyć tempo: „góra-dół”.

Po kolejnym kwadransie Lusia nie czuła już szczęki, ale gdy zaczynało się kolejne piętnaście minut jej laskoróbstwa poczuła nagle dziwne ciepło w ustach i usłyszała głosne:

- Maryyyyy! Kochaaaaam cieeeee!

Był to krzyk taksówkarza. Lusia początkowo myślała, że panu coś się stało. Spojrzała w obawie do góry na twarz jegomościa. Ta była wykrzywiona grymasem rozkoszy. Lusia przerwała czynność, przełknęła to, co miała w ustach i zapytała:

- yyy juz oooge yść? – chciała zapytać: „czy już mogę iść?”, jednak cały czas czuła bezwład w szczęce po tym morderczym maratonie i miała pewien problem z wymową. Taksówkarz zapinając rozporek odpowiedział:

- Żeby mi to było ostatni raz! Wysiadaj!

W tym czasie Dżak z przyjacielem stali przed wejściem do hotelu i czekali na Lusię. Kiedy zobaczyli, jak wysiada z auta i że taryfiarz nie goni jej z nożem w rękę, odetchnęli z ulgą. Widzieli już, że wszystko poszło gładko. No może nie całkiem gładko dla samej Lusi i jej szczęki, ale mimo wszystko. Lusia podeszła do chłopców, trzymając się za żuchwę powiedziała powoli i tym razem wyraźnie:

- Chłopcy.... dla was zrobię wszystko

- Jak było? Jak wrażenia? – zapytał niecierpliwie Dżak.

Lusia masując nadwreżone mięśnie twarzy, powiedziała:

- Z tych wrażeń, to mi szczęka opadła.

Tak oto w Krakowie, stolicy natchnienia, cudownych górien gołębich, życzliwych taksówkarzy, mieście poetów i artystów, zrodziło się nowe powiedzenie: „z wrażenia szczęka opada”. Jednak to nie miejscowi byli jego autorami, ale właśnie dzielna Lusia, nieznaną do tej

pory poetka, która w oparciu o teorię Dżaka stworzyła słynne w całej Polsce powiedzenie. Był to jej własny wkład w rozwój substancji duchowej narodu, który uczynił ją sławną.

17

Kiedy wspólnie weszli do hotelu, Dżak najpierw podszedł do recepcjonisty.

- Nazywam się Menel i mam tu rezerwację – powiedział.

Pracownik hotelu spojrział uważnym okiem na komicznie ubranego młodzieńca, tak jakby dziwił się, że ktoś w takiej wyświechtanej, czarnej kapocie, z laską w dłoni mógłby mieć rezerwację w tak ekskluzywnym hotelu.

- Czy mógłby pan to sprawdzić? – ponaglił go zniecierpliwiony i wyraźnie poirytowany ową obdukcją Dżak.

Recepcjonista pomyślał w duchu: „Skąd się biorą na świecie tacy kosmici? Czy ten człowiek nie ma w domu lustra?”. Jednak zasady etykiety powstrzymały go przed wezwaniem ochrony i wyproszeniem takiego i podobnych mu jegomości, przed upewnieniem się czy faktycznie nie posiadają rezerwacji w hotelu.

- Już sprawdzam – odpowiedział spokojnym tonem i wystukał nazwisko Dżaka na klawiaturze komputera. Po chwili sprawdzania w bazie danych powiedział:

- Przykro mi proszę pana, ale nie dokonano rezerwacji pokoju na nazwisko Menel.

- To niemożliwe – powiedział zaskoczony Dżak – Proszę jeszcze raz sprawdzić.

- Czy mógłby pan powtórzyć nazwisko? – poprosił recepcjonista.

- M E N E L – powiedział głośno i wyraźnie Dżak.

- Niestety, nie posiadam rezerwacji na takie nazwisko – odpowiedział kulturalnie pan z recepcji. I dodał:

- Być może pomylił pan hotele.

Skonsternowany Dżak bezradnie spoglądał na recepcjonistę. Nie wiedział, co ma zrobić. Odwrócił się do Atomizera i Lusi w poszukiwaniu wsparcia intelektualnego. Lusia jednak w tym czasie ciągle masowała mięśnie żuchwy, a jego najlepszy przyjaciel, trzymając ręce w kieszeniach podziwiał wewnątrz luksusowego holu. Nagle zaświtał mu w głowie pomysł. Szperając po kieszeniach czarnej peleryny, wydobył z niej kopertę i wyjął zaproszenie, które dostał od sekretarza konkursu im. Kościotrupków. Przejrzał je pośpiesznie, poczym podał recepcjoniście, mówiąc:

- O, proszę pana, tutaj mam zaproszenie, na który jest wyraźnie napisane, że mam rezerwację w hotelu Hilton, czyli u was.

Pracownik hotelu z uwagą przeczytał karteczkę.

- Faktycznie, jest mowa, że organizatorzy zarezerwowali pokój w Hiltonie, jednak dla pana Dżaka Mehnela i osób towarzyszących – powiedział recepcjonista wyraźnie akcentując literkę „h” w nazwisku. Dżak ściszym głosem powiedział:

- Proszę pana, ale to ja jestem ten Mehnel tylko, że nie używam tego nazwiska. Zmieniłem je sobie na Menel.

- Hmm – zdumiał się pan z recepcji i dodał – A dlaczego?

- Z kilku powodów. Po pierwsze, nazwisko Mehnel jest niemieckie a ja przecież jestem Polakiem. Nie godzi się Polakowi być w Polsce Niemcem. Po drugie, literkę „h” już mój tatuś wydrapywał z dowodu osobistego żyletką. Zawsze powtarzał: „Synku, to ‘h’ jest nieme, nie ma zatem większego sensu, żeby nieme ‘h’ szpeciło tak wymowne nazwisko”. Kontynuuję zatem ową rodzinną tradycję wydrapywania literki „h”. Po trzecie i to jest najważniejsze, nie wiem czy pan wie, ale jestem wieszczem.

- Ale co to ma tego? – zapytał recepcjonista. Nie zaskoczyła go deklaracja chłopca, który twierdził, że jest wieszczem. Przecież co trzeci klient hotelu mu o tym oznajmiał, zatem przywykł już do podobnych wyznań, uznając je za folklor Krakofa. Zdziwiło go powiązanie wieszczostwa z literką „h”.

- Czy wie pan kim był Czesław Miłosz? – zapytał Dżak.

- Był wieszczem.

- No właśnie, a czy wie pan jak naprawdę nazywał się Miłosz?
- Miłosz nazywał się Miłosz.
- A właśnie, że nie. Otóż Miłosz nie nazywał się Miłosz, ale Milosch. To jego prawdziwe nazwisko.
- Skoro Miłosz, to nie Miłosz ale Milosch, to dlaczego Miłosz jest Miłozsem a nie Miloschem? – zapytał zdziwiony recepcjonista.
- I tu dochodzimy do sedna sprawy. Milosch i Miłosz to dwie różne nazwy tej samej rzeczy – powiedział Dżak – Wiadomo, że każdy wieszcz jest bardzo mądrym człowiekiem. Czy tak?
- Jak żeby nie? – potwierdził w dziwnej manierze recepcjonista. A należy wiedzieć, że człowiek ten znudzony podawaniem kluczy, wiecznym uśmiechaniem się do gości hotelowych, studiował nocami dialogi Platona. Marzył skrycie o karierze filozoficznej. O tym, że któregoś razu stanie się sławnym na cały świat krakofskim Sokratesem. Uwielbiał on tę postać, a w szczególności sokratejską maieutykę, w której się wprawiał trenując na gościach hotelowych. Bawiło go zakłopotanie na twarzach gości, kiedy prowadząc według reguł maieutycznych rozmowę, przekonywał ich w końcu, że poranna kawa, którą zamawiali do pokoju na śniadanie, wcale nie była kawą a najdroższym szampanem.
- Czy Miłosz był wieszczem? – zagadnął Dżak?
- Nie było inaczej! – potwierdził recepcjonista
- A zatem – kontynuował Dżak – skoro zgodziliśmy się co do tego, że Milosch, jako Miłosz był bardzo mądry, to przyznasz mi także, że jego mądrość, jako, że był bardzo mądry, nie miała żadnych granic?
- Na Zausa, prawdę rzeczesz.
- A widzisz! – powiedział Dżak – Skoro mądrość ta była bez granic uznać należy, że mądrość ta, jako bezgraniczna, obejmowała swoim zakresem nie tylko to zdarzenia przeszłe, ale całą przyszłość. Na to się chyba i ty zgodzisz i ja?
- Tak jest.
- Skoncentrujmy się w tej chwili na wiedzy o zdarzeniach przyszłych. Zgodzisz się zapewne co do tego, że Milosch przewidział to, że będzie wieszczem i że zrobi wszystko, by wyjść swojemu przeznaczeniu na przeciw?
- Zaiste!
- A jak uważasz – zapytał Dżak – czy w Polsce, kraju ksenofobów genetycznych, może być wieszczem jakiś obcokrajowiec?
- Nie.
- A czy nazwisko Milosch jest pochodzenia polskiego?
- Nie, na Zeusa!
- Zatem – kontynuował Dżak – skoro Milosch wiedział, że stanie się wieszczem i wiedział, że w Polsce wieszczem może być tylko Polak, to czy nie sądzisz, że zmienił nazwisko na Miłosz tak, by nikt nie miał wątpliwości co do jego pochodzenia?
- Też bym tak zrobił, gdybym wiedział, że będę wieszczem! – odparł recepcjonista.
- No właśnie. Dochodzimy teraz do sedna. Otóż ja też wiem, że będę wieszczem i dlatego, jak każdy szanujący się polski wieszcz, spolszczyłem swoje nazwisko z Mehnel na Menel. Dzięki tej amputacji o literkę ‘h’, bez przeszkód mogę być tym, kim mam być.
- A skąd pan wie, że będzie wieszczem? – zapytał lekko zdezorientowany wywodem gościa recepcjonista.
- Wiem to, ponieważ jestem wieszczem, a jak już się wspólnie zgodziliśmy, wiedza wieszcza jest bezgraniczna.

Recepcjonista zdumiał się lekko. W jego głowie pojawiła się rozterka: „Ale przecież każdy może powiedzieć o sobie, że jest wieszczem. Czy to od razu musi oznaczać, że nim jest?”. Nie zapytał jednak Dżaka skąd wie, że jest wieszczem, bo znałby odpowiedź. Dżak po raz

kolejny odwołałby się do niszczącego argumentu: wieszcz wie wszystko i tym samym zapędziliby się w dalszej rozmowie w ślepią uliczkę. Odwołał się natomiast do swej wiedzy na temat systemu filozoficznego Platona. Pomyślał: „Skoro idee są te same, wieczne, niezmiennie i boskie, to nieważne jak je będziemy nazywać, to i tak będą ideami. Zatem czy on się nazywa Mehnel czy Menel, niczego to nie zmieni. Niech mu będzie! Potraktuję go po platońsku!”. Poczym podał Dżakowi klucze do pokoju. Chłopiec odebrał je z wyraźną ulgą, wypełnił stosowne rubryczki, odwrócił się do członków swej ekipy i powiedział:

- Chodźmy! Załatwione. Pokój numer 106.

Kiedy cała trójka zbliżyła się do windy, recepcjonista-platonik zawołał głośno do Dżaka:

- Proszę pana, może to pana zainteresuje.

- Co takiego? – zapytał Dżak.

- W pokoju 105 zameldował się profesor Vitalij Willg. Przyjechał wczoraj, prosto ze Lwowa i też na konkurs im. Kościotrupków.

- Aha! To ciekawe – odpowiedział chłopiec. Wkrótce jednak miał się przekonać, że prof. Willg nie jest dla niego całkowicie nieznaną postacią, że już go kiedyś spotkał, w przedziale pociągu, którym jechał ponatchniewać się na wieś.

18.

Dżak, przy pomocy karty magnetycznej, otworzył drzwi pokoju i powiedział:

- Zapraszam.

Lusia z Atomizerem bez słowa weszli do środka. Dżak zapalił światło i usiadł na fotelu, który znajdował się w centralnym miejscu lokum.

- Jak wam się podoba? – zapytał.

- Super! – powiedział Adamski nie skrywając zachwytu. Bardzo podobał mu się nie tylko kolor tapety, ale przede wszystkim olbrzymich rozmiarów telewizor, który stał w kącie pokoju.

- Bosko! – odpowiedziała Lusia – A gdzie będziemy spać?

- Ja razem z Dżakiem w sypialni, a ty możesz przekimnąć na kanapie – natychmiast odpowiedział Adamski.

- Ale chłopcy nie śpią razem – powiedziała nieśmiało dziewczyna, jakby się wstydziła powiedzieć wprost, że tylko pedzie wspólnie sypiają. Na to odpowiedział jej Dżak:

- My od lat wspólnie sypiamy...

- Ale to niehigieniczne – przerwała mu Lusia.

I wówczas Dżak postanowił powiedzieć dziewczynie prawdę. Może nie całą, bo pominął wątek o wspólnym sensie filmu porno. Wiedział bowiem, że nie może dłużej ukrywać swoich preferencji seksualnych, zwłaszcza przed nowo immatrykulowaną członkinią bandy.

- Wiesz, jestem gejem – wyznał jednym tchem.

- Ty, gejem? – zapytała z niedowierzaniem Lusia.

- Tak, jestem gejem. Stuprocentowym, młodym gejem. Jako gej golę sobie włosy na kłacie, starannie wrywam pęsetą włoski odybytnicze. Podmywam się po każdej udanej kupie. Używam zapachowego i niezwykle delikatnego papieru toaletowego. Używam także najdroższych maseczek na twarz, na dłonie. Perfumuję się najdroższymi wodami kolońskimi...

- Eeee, ale mnie bajerujesz – przerwała mu Lusia i dodała:

- Gdybyś był prawdziwym gejem, to nie nosiłbyś tej dziwacznej peleryny i garnituru z Tesco. „Ale mnie zagięła!” – pomyślał Dżak, lecz nie dał zbić się z pantałyku.

- Może i nie wyglądam na geja – odpowiedział – ale zapewniam cię, że nim jestem.

- Co ty mi tu za farmazony wciskasz – powiedziała Lusia uśmiechając się z politowaniem.

- Przysięgam ci na Jezusa Chrystusa, cierpiącego na krzyżu, na jego matkę Marię przenaajświętszą, na Tomasza z Akwinu i wszystkich innych doktorów kościoła, że jestem gejem! – zaczął się zaklinać Dżak.

- Phi! Też mi przysięga! – powiedziała Lusia – Przysięgnij na jakiegoś obcokrajowca, a nie na Polaków!

- Ale przecież Jezus Chrystus to obcokrajowiec, tak jak jego matka. Tomasz z Akwinu też – odparł zaskoczony Dżak.

- Ale z ciebie kłamczuszek. Ti, ti, ti bobasku! – rzekła Lusia grożąc Dżakowi z przekąsem palcem wskazującym i dodała:

- Wszyscy wiedzą, że Jezus Chrystus był Polakiem. A wiesz dlaczego?

- Dlaczego? – zapytał zdziwiony Dżak.

- Bo mówił po polsku. Zresztą jego matka Maryja, jako królowa Polski, też przecież jest Polką i na pewno mówiła po polsku.

Dżak zdumiał się. Ten argument Lusi wydawał mu się być przekonujący. Był kilka razy w kościele na mszy i faktycznie wszyscy, którzy tam byli, włącznie z księdzem modlili się do Boga, Jezusa i Maryi po polsku. Byłoby przecież bezsensowne, prosić po polsku trójcę świętą o cuda, gdyby choćby jedno z nich nie znało języka polskiego. Pomyślał: „Może Lusia ma rację?”. Nie chciał dalej kontynuować dyskusji na temat narodowości Chrystusa, jego ojca i

matki, bo nie miał wówczas dostępu do google, z którego to w przyszłości wielokrotnie będzie korzystał, czerpiąc argumenty przeciwko swym krytykom. Póki co, wolał się nie blamować. Odpowiedział:

- No dobrze, w takim razie przysięgam na Majkela Dżaksona, Frediego Merkiurego i Karla Lagerfelda, że jestem gejem.

Całej tej rozmowie uważnie przysłuchiwał się Adamski. Nie zabierał on głosu do tej pory, ponieważ uważał Dżaka za niezrównanego sofistę i retora, który jest w stanie obalić każdy argument. Siedział na sofie przed telewizorem i dzielnie sekundował swojemu najlepszemu przyjacielowi. W myślach jednak cały czas sobie wyobrażał te wszystkie brzydkie rzeczy, które będzie mu robił, gdy pójdą razem spać. Teraz jednak wstał, wyjął ręce z kieszeni i powiedział:

- Wy tu sobie pogadajcie, a ja pójde się umyć.

Kiedy Dżak zobaczył, że jego kochanek Adamski wyszedł z pokoju, ze został sam na sam z grubą Lusią, powiedział szeptem:

- Dobrze, powiem ci prawdę. Tylko nie mów tego nikomu, zwłaszcza Adamskiemu.

Dziewczyna pokiwała głową, dając znak, że się zgadza.

- Nie jestem gejem. Wymyśliłem to sobie, żeby być sławnym poetą – powiedział smutno Dżak, chowając twarz w dłonie. Chciał ukryć te emocje, które były mu do tej pory nieznanne. Pierwszy raz bowiem otworzył się przed kimś, kto jeszcze nie tak dawno był mu całkowicie obcą osobą.

- I po co ten cały cyrk? – zapytała grubaska.

- Nawet nie wiesz jak ciężko się dzisiaj przebić w jakimś wydawnictwie. Sama zobacz, w tej twojej gazetce, którą czytałaś w pociągu, co drugie słowo to „seks”, co czwarte to „wagina”. Na okładce ogolona cipa Britnej Spirs, obok gołe cycki Paris Hilton. Nikt już nie chce dzisiaj czytać normalnych książek, normalnych wierszy. Ludzie pragną sensacji i wydawcy o tym wiedzą. Dlatego postanowiłem być pierwszym poetą-gejem, który nie skończył trzydziestu lat. To był jedyny sposób by cokolwiek wydać. Musiałem się poświęcić. Zdradzę ci także, że piszę też swoją książkę o pornograficzno-prowokującym tytule: „Barbi. Traktat o lali”. Mam nadzieję, że dostanę za nią jakąś nagrodę...

Dżak zaczął cicho płakać. Lusia nie wiedziała co ma powiedzieć. Czy pocieszyć? Czy może dodać otuchy? Czy może zwyczajnie pójść za głosem instynktu macierzyńskiego, który podpowiadał jej, żeby zwyczajnie przytulić Dżaka do swej wydatnej, kobiecej piersi. W końcu, po chwili milczenia powiedziała:

- A co z Adamskim?

- Kiedyś mu powiem, że mam dość tłustej wazeliny, która brudzi prześcieradła. Nie znoszę jak mi się ono przykleja do pleców. Póki co, nie chce mu mówić o tym, nie chcę go zranić. On jest taki młody, taki naiwny.

Nagle otworzyły się drzwi do pokoju, a w nich stanął ubrany w hotelowy szlafrok Atomizer. Buchała od niego jeszcze para, był świeżo po kąpieli. Powiedział do Dżaka i Lusi:

- No dobrze, już późno. Jutro dokończycie rozmowę. Dżak, chodźmy spać.

Dżak wstał z fotela, cały czas patrząc w podłogę tak, by jego przyjaciel nie zorientował się, że przed chwilą płakał. Podał rękę Adamskiemu i powiedział:

- Chodźmy.

Lusia odprowadziła wzrokiem chłopców do drzwi sypialni. Kiedy się zamknęli pomyślała: „Biedny ten Dżak. Ale z drugiej strony, to sam tak chciał. A zresztą, chuj mu w dupę!”. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo prorocze okazały się być tej nocy jej myśli dla Dżaka.

19

Krakofskie poranki mają w sobie tyle mistyki, tyle uroku, któremu żadna wrażliwa dusza oprzeć się nie zdoła. Dlatego też cała trójka zakwaterowana w pokoju 106 zbudziła się wraz z pierwszymi promieniami porannego słońca. Jako pierwszy łazienkę zajął Atomizer. Dżak ustąpił mu pierwszeństwa, znając poranne rytuały swego przyjaciela. Wiedział, że Adamski rozpoczyna dzień od kupy porannej. W tym czasie Lusia, trochę zaspana a właściwie niedospana, gdyż przez pół nocy wysłuchiwała jęków i stęków dochodzących z sypialni chłopców, o ciężale gramoliła się z sofy.

- Dżak, o której zaczyna się ta cała impreza u Kościotrupków? – zapytała ziewając.

Dżak poprawiając różowy szlafrok, który właśnie miał na sobie, odpowiedział:

- Według planu, to o osiemnastej, ale wyjedziemy ze dwie godziny wcześniej, żeby się nie spóźnić. – Następnie podszedł do drzwi łazienki, drepcząc niecierpliwie w miejscu, zapukał i powiedział:

- Pospiesz się. Ja też muszę!

Lusia miała jeszcze o coś zapytać, jednak i w jej przypadku fizjologia dała o sobie znać. Poczula najpierw niepokojący ruch w jelitach, następnie odchyliwszy się lekko na bok, na prawy pośladek puściła cichego, dyskretnego bąka zwanego pospolicie cichaczem. Łazienka była jednak cały czas okupowana przez Adamskiego, w kolejce zaś stał Dżak. Nie było szans by wytrzymała, by doczekała na swoją kolej. Sytuacja wydawała się być beznadzieja. Jednak nie miała zamiaru się tak łatwo poddać. Powtarzając sobie w duchu: „Myśl o czymś innym! Myśl o czymś innym!”, z całych sił zacisnęła pośladki. Zwieracze do tej pory nigdy nie odmówiły jej posłuszeństwa, ale kiedyś mógł nastąpić ten pierwszy raz i tego miała świadomość. Mimo usilnych starań, mimo nieustannego powtarzania: „Jestem poetką, elitą ducha! Niech duch zatriumfuje nad materią!”, nie potrafiła opanować organicznego pędu, który zwykle o poranku miał swój finał na muszli klozetowej. Kiedy parcie się wzmogło i zdawało osiągać bezwarunkowe apogeum, Lusia postanowiła porozmawiać o czymkolwiek z Dżakiem w nadziei, że jej mózg zajęty rozmową zapomni o perystaltycznych sygnałach.

- Dżak, a dlaczego nie można kichać z otwartymi oczami?

- Nie wiem – odparł pospiesznie Dżak, który podobnie jak Lusia był w sytuacji podbramkowej.

- Ale... – Lusia chciała coś powiedzieć, jednak szef bandy przerwał jej:

- Weź nic do mnie nie mów! – i kolejny raz zapukał do drzwi łazienki, by ponaglić Adamskiego. Ten nie miał zamiaru jeszcze wychodzić. Dżak widząc, że nie ma wyjścia, pośpiesznie udał się do wyjścia, mówiąc do Lusi:

- Zaraz wracam.

Lusia została sam na sam w zmaganiu się z własnym organizmem. Dżak tym czasem zapukał do drzwi pokoju 105, w którym, o czym poinformował go recepcjonista, miał zameldować się prof. Vitalij Willg. Otworzył mu starszy pan, także ubrany w hotelowy, różowutki szlafrok. Z charakterystycznym lwowskim „l”, zapytał:

- Słucham pana?

Bez pardonu, bez żadnego „ale”, nawet się nie przywitawszy, Dżak wpadł do pokoju i zamknął się w łazience. Na szczęście układ pomieszczeń, zgodnie ze standardami Hiltona, był taki sam w każdym z pokoi. Dlatego Dżak bez zbędnej zwłoki, która kosztować go mogła reputację, znalazł się w intymnym odosobnieniu.

To, co się zdarzyło później owiane jest tajemnicą. Niektórzy uważają, że Dżak zaprzyjaźnił się prof. Willgiem, a początek tej przyjaźni miał swój początek w toalecie pokoju 105. Inni twierdzą, że młody, polski wieszcz wykorzystał potrzebę fizjologiczną, jako pretekst do poznania jednego z jurorów w konkursie im. Kościotrupków, by zapewnić sobie zwycięstwo.

To jednak wydaje się mało prawdopodobne, ponieważ prof. Vitalija Willga Dżak poznał znacznie wcześniej, gdy wybrał się na wycieczkę na wieś. Wszyscy biografowie, mimo różnic w domysłach na temat zdarzenia w pokoju 105, zgadzają się co do jednego: Dżak po opuszczeniu pokoju prof. Willga, przez dwie godziny masował mięśnie zuchwy.

Ale do rzeczy. Po zmaganiach z kupą poranną sytuacja w pokoju unormowała się. Lusia siedziała na sofie, polerując swoje konkursowe trofea, Dżak zadumany spoglądał w okno, Adamski oglądał MTV na ekranie wielkiego telewizora. Wszystko wydawało się być jak było jeszcze kilkanaście godzin temu. Jednak to tylko pozór. Bowiem młodzi poeci zrozumieli jedną ważną rzecz: można być superwieszczem oraz laureatem miliona konkursów poetyckich; można w wierszach zmagać się z duchami najlepszymi; można mieć rekomendacje Miłoszów i mu podobnych, jednak to nie zwalnia z bycia człowiekiem. Najpotężniejsza nawet aura duchowo-natchnieniowa blednie w konfrontacji z cielesnością, z potrzebami organizmu. Wówczas to każdy, nawet sam Miłosz, musiał skapitulować przed koniecznością uformowania stolca. Świadomość tego, która z mocą augustiańskiej iluminacji objawiła się Dżakowi i Lusi, zachwiała ich dotychczasowymi wyobrażeniami na temat polskiej elity ducha. „Jak to możliwe, że Miłosz pierdział?” – nieustannie powtarzał sobie w duchu Dżak wpatrzony w okno. Nagle wydarzyło się coś, co nie miało jeszcze precedensu w historii związku Dżak-Adamski. Mianowicie, Atomizer wyłączył telewizor, odwrócił się tak, by widzieć Lusię i najlepszego przyjaciela, podrapał się po jajkach i powiedział:

- Zawsze mnie dziwiła ta dehumanizacja poetów i wieszczów, która widoczna jest zwłaszcza po ich śmierci. Zdumiewające jest to, że tacy Mickiewicz, Słowacki, Norwidy, Miłosze przedstawiani są niemalże jako bóstwa. Żaden biograf nigdy nie napisał, że tego a tego dnia, po czereśniach popitych surową wodą, ten a ten miał sraczkę. Nikt nie odważył się przedstawiać owych postaci jako ludzi, tylko jako eteryczne substancje duchowe. Jest w tym coś z feuerbachowskiej alienacji, pragnienia uwolnienia się człowieka od czasu, cielesności, od praw fizyki w celu stworzenia istoty doskonałej, duchowej, która nigdy nie przeminie. Nie wiem – kontynuował Adamski – czy jest to wynikiem gatunkowego lęku przed tym, co po śmierci, czy może strachu przed samą śmiercią jako taką, że ludzie tworzą nie tylko nieśmiertelne ułudy, lecz przede wszystkim antyorganiczne konstrukcje, które nazywają Miłoszami, Słowackimi, Mickiewiczami itp. Jedno jest jednak pewne wszyscy poeci czy wieszczę, to ludzie z krwi i kości.

Dżak i Lusia oniemieli, zwłaszcza Dżak, który od lat przyjaźnił się z Atomizerem i nigdy wcześniej nie słyszał, żeby Adamski był w stanie wykrztusić z siebie zdanie wielokrotnie złożone. Wiedział, że interesuje się on komputerami, informatyką, ale nigdy by go nie podejrzewał o to, że w swoim wokabularzu posiada takie słowa jak: dehumanizacja, feuerbachowska alienacja, antyorganiczna konstrukcja. Nie chciał jednak roztrząsać teraz tego nagłego wzbogacenia się intelektualnego przyjaciela. Miał bowiem ważniejszy problem na głowie: zbliżała się gala wręczenia nagród w konkursie im. Kościotrupków.

Zbliżała się pora obiadu. Cała trójka zamówiła jedzenie do pokoju. Jedli w milczeniu. Dżak koncentrował się przed galą rozdania nagród w konkursie im. Kościotrupków. Chciał dobrze wypaść zwłaszcza, że jak został poinformowany imprezę ma poprowadzić Tomasz Camel. Lusia zastanawiała się, co na siebie włożyć, Atomizer nie myślał w ogóle. Po obiedzie, także w milczeniu, opuścili pokój.

- Pojedźmy tramwajem – odezwała się jako pierwsza Lusie. Nie chciała, aby powtórzyła się sytuacja z dnia poprzedniego. Do tej pory miała zakwasy po tym, jak musiała oralnie uregulować opłatę za przejazd taryfą.

- Zwariowałaś? – odpowiedział Adamski – Dżak ma jeździć jakimś tramwajem? Coś ci się pomieszało! Sama jedź tramwajem. Dżak i ja bierzemy taksówkę.

Dziewczyna zrezygnowana spuściła bezradnie głowę i pomyślała: „Znowu, kurwa, znowu. Nie dam rady tak dwa dni pod rząd”. Jednak, nie chcąc narazić się na wykluczenie z bandy odpowiedziała smutnym głosem:

- No dobrze, skoro chcecie.

I kiedy już miała wezwać gestem ręki taksówkę, która stała przed wyjściem z hotelu, Dżak powstrzymał ją stanowczym gestem i powiedział:

- Nie. Nie pojedziemy taksówką. Pojedziemy tramwajem. Doskonale ciebie rozumiem.

Nie wiadomo jaka była przyczyna takiej reakcji Dżaka. Młodzieniec ten, przywykły do luksusów, tym razem zdecydował się zaoszczędzić Lusi czterdziestu pięciu minut laskoróbstwa za przejazd. Jedni uważają, że ma to związek ze zdarzeniem w pokoju nr 106, inni zaś dopatrują się w tym chrześcijańskiego miłosierdzia. Koniec końców cała trójka: ucieszona Lusja, masujący mięśnie zuchwy Dżak, oraz zaskoczony decyzją przyjaciela Adamski, udali się na przystanek tramwajowy.

20

Podróż tramwajem nie trwała długo. W przeciwieństwie do taksówek, krakowskie tramwaje jeżdżą po racjonalnie wytyczonych trasach. Cała trójka wysiadła na ulicy Intellectus Vaginalis. Lusia jako, że z natury była niebywale ciekawska zaczęła się uważnie rozglądać dookoła. Ujrzawszy szyld z nazwą ulicy powiedziała:

- Ale dziwna nazwa.

A następnie, zwracając się już tylko do Dżaka, zapytała:

- Dżak, co to znaczy: Intellectus Vaginalis?

Lusia od czasu, gdy usłyszała o condito humana wiedziała, że szef bandy zna perfekcyjnie łacinę. W zasadzie, to nie wyobrażała sobie, by po tej ziemi stapał kiedykolwiek lepszy łacinnik niż Dżak. Nawet aura Cyclerona bladła w konfrontacji z talentami lingwistycznymi Dżaka Menela. Jediną postacią historyczną, która kiedykolwiek mogła się mierzyć z gwiazdą D. Menela, był włoski geniusz: Picco de la Mirandola, o czym była głęboko przekonana.

Po chwili namysłu, w której Dżak obserwował uważnie tabliczkę z nazwą ulicy, odparł:

- Hmm, ale to jest źle napisane. „Intellectus” powinno być napisane przez cztery „l”, czyli „Intellllectus” a nie „Intellectus”.

- Hehehehe – zaśmiała się Lusia – Ale głupki w tym Krakofie wymyślają nazwy ulic. Ale co to znaczy „Intellllectus Vaginalis”?

- Czy chciałabyś przekład linearny czy może poetycki? – odpowiedział Dżak.

- Taki i taki, ale na początek linearny.

Zanim Dżak zaczął wyjaśnienia upewnił się, czy aby Adamski jest w bezpiecznej oddali. Nie chciał, by jego przyjaciel usłyszał to, co za chwilę miał powiedzieć. Kiedy ujrzał najlepszego przyjaciela przy witrynie kiosku ruchu, gdzie stał wpatrzony w kolorowe okładki pism komputerowych, ściszone głosem powiedział:

- Intellllectus Vaginalis, to synonim kobiety. Dosłownie, w przekładzie na polski oznacza: „intellllect waginalny”.

- Ale jaki ma związek „intellllect waginalny” ze kobietą? – zapytała zdziwiona Lusia.

- Widzisz, żeby odpowiedzieć na to pytanie, należy najpierw rozpatrzyć, co to jest kobieta w ogóle?

- To proste – odpowiedziała – Kobiety mają piersi.

- Doprawdy, naiwne jesteś dziewczę. Czy uważasz, że piersi czynią z człowieka kobietę? Czy ty kiedykolwiek słyszałaś o ginekomastii?

- A co to takiego?

- Nigdy nie widziałaś facetów, którym rosną cycki?

- Nie widziałam – odparła zdziwiona Lusia.

- A Marka Kondrata nie widziałaś? To taki aktor polski, mężczyzna, któremu urosły cycki większe niż twoje.

Lusia trochę zawstydzona złapała się w okolicy biustu, tak jakby chciała się upewnić, co do rozmiarów własnych piersi. Po chwili powiedziała:

- No to co, jak nie cycki, świadczy o tym, że człowiek jest kobietą?

- Nic innego, jak tylko wagina, zwana: cipą, bobrem, muszelką, pizdą, ślimakiem a w skrajnych przypadkach nawet kapiszonem. To ten organ, w odróżnieniu od cycków, które można sfalszować wszczepiając pod skórę poduszki silikonowe, jest nie do podrobienia.

- Ale robią przecież operacje tym transwestytom... – przerwała mu nagle dziewczyna.

- Robią, jasne, że robią. Ale przecież, choćby nie wiem jak utalentowany był chirurg, to i tak nie uda mu się byka przerobić na jałówkę i odwrotnie.

- No tak – przyznała mu rację. – Ale jak to się ma do intellllectu waginalnego?

- Skoro już wiemy, że cechą charakterystyczną kobiety jest to, co ukrywa pod majtkami, to aby właściwie rozszyfrować sens intelllllektu waginalnego, należy zdekonstruować samo pojęcie intelllllektu, w szczególności odkryć sens czterech „l” w zapisie...

- No właśnie – przerwała mu po raz kolejny Lusia. – Przecież intelekt pisze się przez jedno „l”, a nie cztery.

- Ha! Widzisz, bo to nie jest taki zwykły intelekt, tylko jego waginalna odmiana. Dlatego w zapisie są cztery „l”.

- A czym się różni intelekt kobiecy od intelektu w ogóle, żeby mu zaraz dodawać te „l”? – dociekała Lusia.

- Powiem ci, ale obiecaj, że się nie obrazisz za to, co usłyszysz – postawił warunek Dżak.

- Zgoda.

- Kobiety są generalnie bardzo głupie. Po części jest to wynik uwarunkowania biologicznego, po części zaś kulturowego. Z jednej strony mają mniej fałdek na powierzchni szarej mózgu, po drugie od wieków szkolone były tylko do prostych prac, takich jak gotowanie, opieka nad dziećmi czy sprzątanie. Nigdy, w żadnej kulturze mężczyźni nie zabierali ich ze sobą na polowania, nawet w charakterze pomocnic. A wiesz dlaczego?

- Dlaczego?

- Dlatego, że były tak głupie, że łąpały się w pułapki, które mężczyźni zakładali na dziką zwierzynę, a tym samym niweczyły wszelkie starania zdobycia pokarmu dla całego plemienia. Dlatego też ludzie, aby przeżyć zdecydowali się na jedyną i słuszną formę porządku społecznego, w którym dominować mieli mężczyźni. Tak powstało społeczeństwo patriarchalne

- Oj! Chyba przesadzasz! – powiedziała stanowczym tonem Lusia. – Przecież istniały kiedyś społeczeństwa matriarchalne.

- Hehehehe – zaśmiał się szyderczo Dżak. – Wiesz co jest jedynym spadkiem pozostałym po tej formacji, jej darem dla cywilizacji, jej wkładem w rozwój świata?

- Co?

- Wenus z Willednorfu, taka figurka, która ma wielkie cocy i parę mitów o Amazonkach. Oprócz tego nic.

Lusia się zasmuciła. Uzmysłowiła sobie, że w tym przypadku Dżak ma rację. Faktycznie oprócz brzydkiej, prymitywnej figurki z wielkimi cycami, kilkoma historyjkami o Amazonkach, które odcinały sobie jedną z piersi, by lepiej strzelać z łuku, społeczeństwo matriarchalne nie pozostawiło po sobie nic. Dżak kontynuował:

- W przeciągu kilku tysięcy lat trwania kultury ludzkiej, kobiety zawsze wykazywały się bezgraniczną głupotą ale jednocześnie talentem do prac prostych. Dlatego też nikt się nie dziwił, nawet one same, gdy któregoś razu baba zyskała przydomek głupka dialektycznego.

- A co to takiego? – zapytała zdziwiona Lusia.

- Głupek dialektyczny, w odróżnieniu od zwykłego głupka, którym może być także mężczyzna, jest pojęciem stosowanym tylko w odniesieniu do kobiet. Głupek dialektyczny, to głupi głupek. W dwudziestym pierwszym wieku, pojęcie to ewoluowało. Nie mówi się już o kobietach jako dialektycznych głupkach, ale jako superdialektycznych głupkach. Czyli: o najgłupszych z głupich głupków głupkach. Stąd wyprowadzono właśnie owe cztery „l”. Mógłbym cię zanudzić teraz ewolucją fonetyczną literki „l” w „l”, ale to już nazbyt złożona historia.

- Oj, Dżak, moim zdaniem trochę się zagalopowałeś – powiedziała dziewczyna.

- No to udowodnij mi, że się mylę.

- Wiesz, być może masz rację. Być może tak było, że rola kobiety ograniczała się do opieki nad dzieckiem, prania, gotowania i sprzątanania. Ale to wszystko wina tych kajdan, którymi społeczeństwo patriarchalne krępowało rodzaj żeński. Przecież emancypacja kobiet, cały ruch feministyczny dopiero niedawno wyzwolił nas z tych stereotypów, w których byliśmy

zamknięte. Teraz mamy równouprawnienie, kobiety kierują bankami, latają w kosmos, zdobywają nagrody Nobla...

- Nagrody Nobla? – przerwał jej Dżak. – Hahahaha! Przecież liczba kobiet-laureatek tej nagrody waha się w okolicach promila, błędu statystycznego.

- No to co z tego, ale kobiety także zdobywają Nobla – ripostowała Lusia.

- Wiesz, powiem ci coś, skoro już o nagrodzie Nobla zaczęłaś mówić. Prawda jest taka, że żadna z kobiet, które dostała ową nagrodę, nigdy by jej nie dostała, gdyby nie pomoc faceta.

- Jak to? – zdziwiła się dziewczyna.

- Tak to. Zresztą sama wymień jakąś noblistkę, żeby nie było, że sam dobieram przykłady by poprzeć swoją teorię – zaproponował Dżak.

- Na przykład Maria Skłodowska-Curie, Wisława Szymborska, Jelinek. Czy mam więcej wymieniać?

- No to patrz i płacz: Maria Skłodowska nie dostała Nobla jako Skłodowska, ale jako Skłodowska-Curie. Gdyby nie Piotr, jej mąż, który odwalił za nią całą robotę z radem, nigdy by o Nobla się nawet nie otarła. Wisława Szymborska ma bardzo przystojnego, młodego asystenta bardzo seksi. I to dzięki niemu pisze te wszystkie cudowne wiersze o miłości, którymi urzekła jurorów. Jelinek jak była mała, była odwiedzana przez tatusia w swojej sypialni, stąd pomysł na te wszystkie dramaty, które pisała. Gdyby nie tatuś sapiący jej w nocy pod kołdrą, jak była dzieckiem, zapewniam, że skończyłaby jako nauczycielka.

Lusia zamilkła. Przypominała zbitego psa. Spuściła głowę, zgryzła wargi, bowiem właśnie w tej chwili Dżak uświadomił jej coś, na co wcześniej nigdy nie zwróciła uwagi. „To nie może być prawdą! To nie może być prawdą!” – powtarzała w myślach. Usiłowała znaleźć w pamięci choćby jeden przykład, który mogłaby przeciwstawić teorii Dżaka i jego wyjaśnieniom na temat intelllaktu waginalnego. Nic jej nie przychodziło do głowy. Dopiero po kilku chwilach wewnętrzny bunt i wyparcie ustąpiło na rzecz akceptacji. Dotarło do niej, że ona, podobnie jak wszystkie kobiety, między nogami zamiast penisa ma waginę. Zatem nie pozostaje jej nic innego, jak tylko uznać wyjaśnienie i argumenty szefa bandy za prawdziwe, co oznaczało pogodzenie się z prawdą.

Tym czasem Dżak zawołał Adamskiego, który ciągle przyglądał się gazetkom o komputerach w witrynie kiosku. Kiedy ten podszedł, Dżak poszperał w kieszeniach czarnej kapoty i wyjął po chwili plan miasta. Powodowany wrodzoną przezornością zaopatrzył się weń jeszcze przed wyjazdem. Wiedział, że może się przydać. I jak się okazało, nie mylił się. Spojrzawszy jeszcze raz na zaproszenie, odnalazł adres, pod który miał się udać. Następnie przez chwilę lustrując mapę, wskazał laseczką kierunek marszruty i powiedział do członków bandy:

- Idziemy. Tędy.

21

Odcinek drogi, który ich dzielił od przystanku tramwajowego przy ul. Intellectus Vaginalis a Miejskim Domem Kultury, w którym miała odbyć się uroczysta gala rozdania nagród, nie był długi. Przynajmniej tak to wyglądało na mapie. Dlatego też tempo owej eskapady było jak najbardziej turystyczne. Cała trójka szła powoli, podziwiając zabytkowe kamienice. Po kilkunastu minutach milczenia, jako pierwsza odezwała się Lusia:

- Ale tu jest pięknie. Cudowna panorama stworzenia boskiego.
- To nie ma z Bogiem nic wspólnego – powiedział Dżak. – To raczej ludzie wybudowali te stare kamienice, a nie aniołki.
- Ale przecież, gdyby Bóg nie stworzył człowieka takim jakim jest, ten nigdy nie potrafiłby zbudować tak pięknych domów – odpowiedziała Lusia.
- E tam! – wtrącił się nagle Adamski – Pierdolisz farmazony! Boga nie ma. Równie dobrze możesz wierzyć w czerwone krasnoludki.
- Jak to!?! Dlaczego bluźnisz? – oburzyła się dziewczyna. – Gdyby Boga nie było, nie byłoby całego świata, nas też by nie było.

Zapadła cisza. Adamski rozpoznał w tonie głosu Lusi apodyktyczny brak sprzeciwu odnośnie kwestii istnienia Boga. Nie widział zatem sensu dalszej dyskusji, tym bardziej, że najprawdopodobniej zakończyłaby się ona niszczącym argumentem żeńskim. Na pytanie „Dlaczego uważasz, że Bóg raczej jest niż go nie ma?” usłyszałby od towarzyski podróży: „Bo tak!”. Nie chciał trwonić czasu na takie pogaduszki, tym bardziej, że znaleźli się w okolicy Empiku. Zamierzał sobie w nim pobuszować, tym bardziej, że ta sieć sprzedaży czasopism i książek oferowała klientom możliwość darmowej lektury. Każdy mógł sobie wejść do Empiku, usiąść na wygodnej, skórzanej sofie i całkowicie za frajer poczytać gazetki czy książki, bez konieczności ich zakupu.

Inne podejście miał Dżak. W młodzińcu tym od jakiegoś czasu załęgła się pozytywistyczna potrzeba pracy u podstaw, oświecania ciemnego luda. Podobnie jak Atomizer i on zdawał sobie sprawę, że dyskusje z kobietami na tematy inne niż kulinarne, kończą się albo spazmatycznym szlochom, albo ucieczką do mamusi, albo jeżeli interlokutorką była kobieta niezwykle odcytana, argumentem feministycznym: „Bo tak! I koniec.” Świadomość tego jednak go nie odstraszała. Przeciwnie. Działała nań motywująco. Dżak bowiem lubił wyzwania.

Kiedy Atomizer wszedł do Empiku, Dżak odezwał się do Lusi:

- Pewnie wierzysz w Boga.
- Oczywiście, że tak! – odpowiedziała, z pełnym przekonaniem.
- Dlaczego wierzysz?
- Nie wiem, wierzę i tyle.

Dżak zastanowił się chwilę nad kolejnym pytaniem i w końcu zapytał:

- Skąd wiesz, że Bóg istnieje? Przecież go nie widać?
- Ale czy to, że czegoś nie widać oznacza, że tego nie ma? – ripostowała filozoficznie Lusia.

O mały włos Dżak nie skapitulował przed tym argumentem. Kiedyś, gdy był mimowolnym świadkiem dyskusji studentów filozofii na uniwersytecie, w którym studiował, podsłuchał, że najgorsze są pytania istnieniowe oraz wątplenie podstawowe. Nie poddał się jednak i zagadnął z innej strony:

- Dobrze. Zgoda, załóżmy, że Bóg jest.
- Nie ma co zakładać – odpowiedziała dziewczyna. – Bóg jest i koniec gadki.
- To opowiedz mi coś o tym Bogu – zaproponował przebiegle Dżak. Chciał znaleźć jakiś punkt zaczepienia w teorii Lusi na temat istnienia Boga, by następnie móc dowieść jej fałszywości.

- Bóg jest wszechmocny – powiedziała Lusia, kierując swój wzrok ku krakowskiemu niebu i jakby trochę się rozmarzyła. Przypomniała w tej chwili trochę którąś tam świętą. Wszystkie one – przynajmniej tak je zapamiętał z średniowiecznych obrazów Dżak – wyglądały jak amerykańska Statua Wolności skrzyżowana z gwiazdą porno. Były jednocześnie wyniosłe, monumentalne, ale na twarzach zamiast nobliwej powagi, miały często grymasy takie jak aktorki filmów xxx, w trakcie szczytowania. Dżak, jako że umysł jego charakteryzował się niebywałymi cechami analitycznymi, szybko pojął istotę świętych kobiet. W jego przekonaniu źródła tych świętości leżały w niezbadanej i niezbadanej w sposób naukowy, fizjologii kobiecej. W szczególności w tajemnicy orgazmu. Uzmysłowił to sobie, gdy któregoś razu w telewizji zobaczył reportaż o zakonie żeńskim. Jego zdaniem, w tym przypadkowym zbiorze brzydkich babsztyli z wąsami, nie było nic ze świętości, natomiast jedno, co rzucało się w oczy, to nachalna potrzeba i pragnienie orgazmu. Wszystkie one nie miałyby w życiu poza murami zakonu, na męża. Wszystkie były tak brzydkie, że żadne znieczulenie estetyczne w formie trzech litrów wina/wódki czy czegokolwiek nie pomogłoby. Nawet w całkowitych ciemnościach, ich wąsy, owłosienie na klatce piersiowej i nogach stanowiłoby dla potencjalnych śmiałków rodzaju męskiego barierę nie do pokonania.

Z łatwością wyobraził sobie, o czym owe baby, zakute w cały dzień w czarne fartuchy, myślą po nocach. Jakie to fantazje odbierają lub dominują ich sny. Zjawiska tego nie mogły ukryć, dlatego orgazm uznały za świętą ekstazę. To jest cała tajemnica świętości.

Dżak nie sądził, by Lusia z takim dogmatycznym podejściem, dała wiarę jego na wskroś racjonalistycznej teorii. Postanowił wykorzystać słabość jej argumentu o boskiej wszechmocności. Zapytał:

- Co to znaczy, że jest wszechmocny?

- Wszystko?

- Tak.

- No to jak może wszystko, to poproś Boga, żeby w ciągu minuty spadł deszcz? – zaproponował Dżak. Miał on w zanadru jeszcze inny argument przeciwko boskiej wszechmocności. A mianowicie: jeżeli Bóg jest wszechmocny, to niech stworzy taki kamień, którego nikt nie zdoła podnieść. Nikt – czyli nawet on sam. Jeżeli stworzyłby taki kamień i nie mógłby go podnieść, to znaczy, że jest słabiutki, bo nie może podnieść kamienia. Ergo: nie jest wszechmocny. Jeżeli by jednak mógł podnieść taki kamień, to nie byłby wszechmocny, bo nie stworzył kamienia, którego nikt, nawet on sam, podnieść nie zdoła. Innymi słowy: tak czy siak, Bóg okazałaby się finalnie cieniem. Mimo oczywistej mocy logicznej tego argumentu, Dżak postanowił, że nie będzie go testował na swojej rozmówczyni. Nie był aż tak naiwny, by wierzyć, że kobiety umysł zdoła pojąć rudymenty logiki. Po drugie, wielokrotnie Lusia dała mu sygnał, że lubi czytać. Tak ostentacyjnie obnosiła się przecież w przedziale pociągu z gazetką. I być może знаła ten argument z lektury pięćdziesięciu kilku tomów dzieł zebranych Lenina i mogła przygotować sobie nań odpowiedź, której Dżak nie potrafiłby obalić.

Lusia zamiast powiedzieć, że prośba o deszcz w ciągu jednej minuty jest zbyt błaha, spojrzała ponownie w niebo, wyciągając do góry dłoń w proszalnym geście zawołała:

- Panie Boże wszechmogący, spraw by zaczęło padać.

Dżak spojrzał na zegarek. Było pięć po siedemnastej. Następnie spojrzał na dziewczynę i powiedział:

- No to czekamy do sześć po.

Upłynęła minuta, w której Lusia nieustannie spoglądała w niebo wyczekując choćby najmniejszej kropelki boskiej wilgoci na swojej twarzy. Dżak w tym czasie spoglądał to na Lusię, to na niebo, to na zegarek. Oczywiście deszcz nie spadł.

- No widzisz – powiedział do Lusi. – Ani śladu deszczu. Zatem nie jest on wszechmocny ten twój Bóg.

- Dżak, plizzzzz! Dajmy mu jeszcze minutkę – poprosiła Lusia.
 - Zgoda, nie będę sknerą. Dam mu jeszcze trzy minuty.
 - Ale ty jesteś dobry i wyrozumiały – powiedziała z uznaniem Lusia, uśmiechając się do niego.
- Jednak w trakcie tych kolejnych minut także nie spadł deszcz. Ani jednej kropelki. Jak na złość na niebie nie było najmniejszej chmurki.
- Czas się skończył – powiedział Dżak.
 - Nie rozumiem! – mamrotała Lusia. – Nic z tego nie rozumiem! Prosiłam Boga o deszcz, o rzecz zwykłą. Nie o to, żeby cudownie rozmnożył ryby czy chleb. Nie o to, by przemienił krew w wino. Nie o to, by zmartwychwstała moja babcia. Prosiłam go najzwyczajniejszy deszcz, a ten nic.
- Stała załamana ze wzrokiem spuszczone w ziemię. Ten prosty eksperyment doszczętnie zdruzgotał jej światopogląd. Uważała do tej pory, że to boska miłość podtrzymuje świat w istnieniu, że to wszechmocny Bóg był sprawcą wszystkich dobrych rzeczy, które się w jej życiu wydarzyły. Zwłaszcza te konkursy poetyckie, które wygrywała. Do tej pory we wszystkim upatrywała się boskiej interwencji, pewnego zamysłu i planu.
- Dżak uważnie obserwował Lusię. Domyślał się jak wielką w tej chwili walkę wewnętrzną toczy dziewczyna. Jakie myśli nią targają. Powiedział:
- Nie przejmuj się tak.
 - Jak się mam kurwa nie przejmować! – krzyknęła. – Przecież ja muszę w coś wierzyć!
 - Jeżeli już musisz w coś wierzyć, to możesz wierzyć w Boga nieistniejącego – zaproponował Dżak.
 - Jak to?
 - To proste. Wyobraź sobie, że Bóg absolutnie nie istnieje i na tym polega jego doskonałość.
 - Ale przecież jak nie istnieje, to go nie ma – odparła zdziwiona.
 - Przeciwnie – powiedział Dżak i kontynuował – Każda rzecz, która istnieje się psuje. Nieprawda?
 - Tak.
 - Nożyczki, które przecież istnieją, po jakimś czasie się psują. Pralka, też istnieje i też się psuje. Zatem to, co istnieje nie jest doskonałe.
 - Hmm... – zdumiała się Lusia – Masz rację.
 - Przyjmij zatem, że Bóg, w którego tak chcesz wierzyć, nie istnieje. Bo gdyby istniał psułby się tak samo jak nożyczki czy pralka.
 - A wiesz, to dobry pomysł.
 - Wiem, że dobry. Oto bowiem masz Boga, w którego możesz wierzyć. Co więcej, Bóg ten się nigdy nie zepsuje, będzie doskonały jako nieistniejący. A gdy kiedyś, komuś przyjdzie do głowy zakwestionować jego wszechmoc, to możesz śmiało odpowiedzieć, że Bóg ten nie istnieje, że wierzysz w Boga Nieistniejącego.
 - Jejciu, ale ty jesteś mądry! – odpowiedziała z zachwytem Lusia. W tej chwili Dżak przywrócił jej sens życia, w którym ważne miejsce zajmowała wiara w Boga. To nic, że Bóg ten od dziś był Bogiem Nieistniejącym. Najważniejsze był, że mogła dalej wierzyć.

22

W tej całej dyskusji na temat Boga, jak to w przypadku każdej debaty o charakterze teologiczno-filozoficznym, Dżak i Lusia zatracili poczucie czasu. Nie wspominając o Atomizerze, który kartkował dziesiąte już czasopismo o nowinkach komputerowo-informatycznych. Spojrzawszy na zegarek Dżak spanikował:

- Kurwa! Spóźnimy się! Leć po Adamskiego.

Lusia natychmiast wbiegła do Empiq, by po chwili wyjść z niego razem z najlepszym przyjacielem szefa bandy. I cała trójka, tym razem już biegiem podążała torem wyznaczonym przez Dżaka. Po dziesięciu minutach morderczego maratonu, głośno zapiąc dobiegli w końcu do Miejskiego Domu Kultury. Był to budynek imponujących rozmiarów, którego główne wejście przypominało trochę fronton świątyni pergamońskiej. Przed wejściem tłoczyli się reporterzy, był nawet wóz przystosowany do transmisji satelitarnych telewizji polskiej. To właśnie on wzbudził zainteresowanie Dżaka, a w szczególności znana w całej Polsce znawczyni sztuki wysokiej Grażyna Torbicka, która chodziła niecierpliwie dookoła wozu transmisyjnego i rozglądała się dookoła jakby na kogoś czekała.

- Poczekajcie tutaj chwilę, zaraz wrócę – powiedział do reszty bandy i już chciał odejść, gdy nagle stanął przed nim wąty chłopaczek z aparatem w rękę i zapytał:

- Cześć, czy mogę zrobić ci zdjęcie?

Zaskoczony Dżak nie wiedział najpierw co odpowiedzieć. Z jednej strony pragnienie sławy podpowiadało mu, żeby wszędzie i przez wszystkich, którzy tego chcą dawać się fotografować. Żeby rozdawać autografy gdzie popadnie. Z drugiej strony nie chciał być fotografowany przez byle kogo, a ten anorektyczny paparazzi, który wyrósł przed nim nagle, jakby spod ziemi, nie wyglądał na kogoś znanego. W każdym razie nie był to Tony Halik. Jednak, jako że nie miał pewności co do tego, czy jest to znany reporter czy może jakiś przypadkowy fan, odparł:

- Zgoda. Tylko najpierw się przedstaw i powiedz, po co ci moje zdjęcie.

- Nazywam się Wró Wróbell i robię fotorelacje z imprez kulturalnych. Ty wyglądasz na poetę w tej czarnej pelerynie, cylinderku i laseczce w rękę. Pomyślałem sobie, że zrobię ci zdjęcie tak na wszelki wypadek.

- Pracujesz dla jakiejś gazety?

- Nie. W redakcjach panują układy. Tylko znajomi czyichś znajomych tam pracują.

- To po co ci moje zdjęcie, jeżeli nie zamierzasz go opublikować? – zapytał zdezorientowany Dżak. Był trochę zaskoczony tym, że ktoś chce jego zdjęcie i nie chce lub też nie ma takiej możliwości, by je wydrukować na okładce wysoko nakładowego czasopisma. Skrycie marzył on, by któregoś razu ujrzeć swoją podobiznę na rozkładówce „Brawo Gerl”. Zdawał sobie sprawę jak bardzo opiniotwórcze jest to czasopismo i jak pomocne może być w karierze.

- Ależ oczywiście, że opublikuję to zdjęcie – odparł Wró. – Umieszczę je na swojej stronie internetowej. Jest bardzo popularna, mam masę odwiedzin.

- Ile ma odsłon? – wtrącił się fachowym żargonem Atomizer, który od jakiegoś czasu uważał się za eksperta informatyki.

- W zeszłym miesiącu było jakieś dwa tysiące odsłon. Nie przespałem kilka nocy, ale się opłaciło – odpowiedział Wró i zaczął szykować swój sprzęt fotograficzny, by zrobić zdjęcie Dżakowi.

Dżak nie miał pojęcia co w slangu informatycznym znaczy „odsłona”, dlatego spojrzął na przyjaciela. Adamski skinął głową, dając znak, że warto, że należy skorzystać z tej okazji. Poprawił kapotę tak, by jej górna część pozostała lekko rozchełstana a tym samym, aby był widoczny kawałek nagiej szyi. Przesunął cylinder lekko na bakier tak, że niby jest całkowicie wyluzowany, że nieobce mu są sesje fotograficzne. Następnie oparł się na laseczce i powiedział do Wróbla:

- Jestem gotowy!

- Jeszcze nie, jeszcze! – krzyknęła nagle Lusią i podbiegła do Dżaka z kosmetyczką w dłoni. Wyciągnąwszy z niej puderniczkę i lusterko, podała je szefowi mówiąc:

- Musisz się jeszcze upudrować, żebyś się nie świecił.

- Faktycznie. Masz rację, dzięki. Ale czy mogłabyś mi pomóc, nie za bardzo się jeszcze znam – poprosił dziewczynę. Dżak zastanawiał się od jakiegoś czasu, czy aby nie zapisać się na jakiś kurs makijażu. Widział nawet kilka razy ulotki porozwieszane na słupach z ogłoszeniami o rekrutacji. Mimo iż zdawał sobie doskonale sprawę, że jednym z podstawowych filarów kariery medialnej jest umiejętność właściwego zaprezentowania się, w którym najważniejszy jest nienaganny wizerunek, to cały czas odkładał swoje wykszolenie w zakresie sztuki szermierki szminką na później. Oczywiście teraz tego żałował. Jednak na szczęście Lusią, jak na prawdziwą kobietę przystało, miała biegle opanowane wszystkie techniki mejkapu. Wprawnym ruchem dłoni poprawiła konturówką usta Dżaka, by nabrały wyrazu i tej nieodpartej erotyki właściwej tylko dla warg wysztyftowanych konturówką. Następnie, nałożywszy grubą warstwę podkładu, zaczęła pudrować twarz wraz z czołem i kawałkiem szyi, który szef bandy wystawił na pastwę nieznanego paparaziego. Dzieło ukończyła czterema machnięciami pędzla, nakładając dyskretną warstwę różu na kości policzkowe chłopca. Oddaliwszy się trochę, by nabrać odpowiedniego dystansu do własnego dzieła, z satysfakcją powiedziała:

- Gotowe!

W tej samej chwili Wróbell stanął przed Dżakiem z włączonym aparatem, z palcem na wyzwalaczu. Już miał go nacisnąć, gdy obiekt fotografowania krzyknął:

- Stop!

- Co się stało? – zapytał zaskoczony paparazzi.

- Nie byłem gotowy – powiedział Dżak i napiąwszy wszystkie mięśnie, które w tej chwili był w stanie zmusić do wydzielania kwasu mlekowego, wciągnąwszy brzuch, pozostając na absolutnym bezdechu wysapał:

- Teraz!

Błysk lampy oślepił na sekundę Dżaka. Chwilowa ślepotą to mała a zarazem konieczna ofiara popularności, którą poniósł bez słowa sprzeciwu. Wró Wróbell tym czasem oddalił się, by poszukać kolejnych ofiar swojej fotograficznej pasji.

- My też zrobimy sobie stronę w internecie – powiedział Adamski do przyjaciela. – Inni potrafią a my nie?

- Jasne, że zrobimy.

Do osiemnastej pozostał jeszcze kwadrans. To bardzo mało czasu dla kogoś, kto się spieszy, kogoś, kto jest zdenerwowany. Dżak miał w planach zapoznanie Grażyny Torbickiej. Cóż mogło być dla niego ważniejszego, niż widok własnej twarzy w którymś tam z programów publicystycznych telewizyjnej dwójki. Byłby przegapił uroczystą galę wręczenia nagród w konkursie im. Kościotrupków, gdyż tak bardzo absorbowwała go smukła sylwetka Torbickiej wbita w długą kieckę z cekinami z wycięciem na plecach. Na szczęście obok była Lusią, która pociągnęła Dżaka za ramię mówiąc:

- Chodźmy, bo się spóźnimy.

- A, tak, tak. Chodźmy.

I tak całą trójką udali się do oświetlonego wejścia. Przepychając się przez tłum gapiów i reporterów do drzwi wejściowych, Dżak miał mieszane uczucia. Myślał: „Kurwa, wieszczę jestem, a tu się muszę tłamsić i przepychać z tą dziczą! Dla mnie powinien być tu jakiś czerwony dywan, a zamiast tego ocieram się o spoconych debili z dyktafonami, mikrofonami i aparatami w łapskach! Co za brak profesjonalizmu w organizacji!”. Targany takimi

myślami, co chwilę oglądał się za siebie, czy aby nie zauważyła go Grażyna. Jednak nijak w tym ścisku i chaosie nie był w stanie jej dostrzec.

Po chwili walki na łokcie z kotłującym się tłumem banda Menela w komplecie dopchała się do wejścia, którego strzegł barczysty ochroniarz z plakietką przyczepioną do kieszeni służbowej marynarki.

- Poproszę o zaproszenie – powiedział do Dżaka.

Chłopiec wyjął z kieszeni biały zwitek i bez słowa podał go ochroniarzowi. Normalnie ochrona zobligowana była do wylegitymowania wszystkich zaproszonych. W celu potwierdzenia tożsamości żądano dodatkowo okazania dowodu osobistego albo prawa jazdy. W tym przypadku ochroniarz zrezygnował z normalnej procedury. Nie dlatego, by znał osobiście młodego wieszczka, ale rzuciwszy wytrenowanym okiem na umalowaną fizjonomię oraz kostium Dżaka pomyślał: „Albo jest to gejsza, albo poeta-pedał. Ale co na tej szerokości geograficznej ma robić gejsza? Eee... to na bank poeta-pedał”. Dlatego bez dodatkowych pytań przepuścił chłopca, wraz z osobami towarzyszącymi.

W ten oto sposób spadkobierca Miłosza wraz z dwójką przyjaciół dotarł w końcu do kresu swej wędrówki. Podskórnice czuł, że właśnie w tej chwili, teraz gdy znalazł się w oświetlonym holu Domu Kultury, rozpęta się piekło – piekło jego własnej sławy. Teraz nie pozostało mu nic innego, jak ogłosić śmierć Dżaka Menela-niewinnego chłopca w okularach i świętować narodziny Dżaka-wieszczka.

Pokonywali kolejne stopnie wielkich schodów z piaskowce, które prowadziły na piętro. Na szczęście droga do auli głównej była świetnie oznakowana. Organizatorzy zadbali w tym zakresie o najmniejszy detal. Bardzo widoczne strzałki w kolorze żółto-czarnym, ponaklejane na ścianach zabytkowego holu, nie dawały najmniejszych szans na zbłądzenie. Nawet ślepiec by trafił. Miało to swój sens. Jak wiadomo żiri konkursu im. Kościotrupków, to osoby wymagające szczególnej troski, a nierzadko wsparcia medycznego. Ażeby sanitariusze i lekarze pogotowia ratunkowego, gdy zajdzie taka potrzeba, bez zbędnej zwłoki dotarli do potrzebującego pomocy, zdecydowano się na taki a nie inny sposób oznakowania.

- Pan Dżak Menel? – dobiegł ich głos zza pleców. Dżak z Lusią odwrócili się, Atomizer zaś całkowicie pochłonięty kontemplacją luksusowego wnętrza nie zareagował. Okazało się, że zagadnęła ich jedna z hostess, ubrana w odpowiedni kostiumik. Była całkiem, całkiem, jak to zwykle z hostessami bywa. Jednak ta różniła się od tych natrętnych babsztyli, które atakowały Dżaka, gdy ten zgodnie z niedzielnym rytuałem spacerował po sklepach i galeriach handlowych w swoim mieście. Dziewczyna nie tylko był schludnie ubrana, ale przede wszystkim kolor jej kostiumu był czarny. Dżak uwielbiał czerń. Kolor ten miał dla niego znaczenie mistyczne i estetyczne. Uważał, że jest on wyrazem niezwykłego stanu ducha, ducha dionizyjskiego, piekielnego, wywołującego taki rodzaj szaleństwa, w którym tworzy się dzieła magistralne. Jeżeli chodzi o estetyczny sens czerni, Dżak był przekonany, że w kolorze tym ukryte jest dyskretne piękno, niezauważalne na pierwszy rzut oka, którego percepcja musi być poprzedzona refleksją o niebywałym ładunku intelektualnym.

Jego umiłowanie czerni znajdowało wyraz w wyglądzie zewnętrznym, zdominowanym przez czarną kapotę, czarny cylinder, czarny garnitur, czarną koszulę a nawet czarną bieliznę. Wielokrotnie był z tego powodu obiektem drwin. Niektórzy, zwłaszcza małe dzieci i pijacy na jego widok wołali: „O! Patrzcie! Batman idzie!”. Dżak jednak zawsze w takich przypadkach był ponad to.

Mało kto wie, że niebywała estyma, którą darzył ten młodzieniec kolor czarny przeniosła się do jego życia intymnego. Dżak był zagorzałym zwolennikiem seksu bezpiecznego, dlatego też kiedy kochał, to tylko za pośrednictwem lateksowej prezerwatywy, ale tylko koloru czarnego. Kupował je zawsze na pobliskiej stacji benzynowej. Któregoś wieczoru, gdy jak zwykle ustawił się w kolejce by kupić czarnego kondoma, pani kasjerka zapytała z ciekawości: „Dlaczego kupuje pan tylko czarne?”. Dżak nie chciał jej tłumaczyć wszystkich niuansów swojej pasji, dlatego odpowiedział wówczas zdawkowo: „Bo czarny wyszczupła”. Od tamtego czasu wszystkie panie z obsługi stacji benzynowej z uwielbieniem w oczach obserwowały go za każdym razem, gdy przychodził po nowe prezerwatywy. Te dziwne spojrzenia zapisywał Dżak na poczet przyszłej sławy, której był pewien. Nie miał on pojęcia o erotycznych fantazjach tych prostych dziewczuch, dlatego nie zwracał uwagi na to, że wszystkie one wlepiły ślepią w okolice jego krocza.

Ale do rzeczy. Po krótkich oględzinach, w trakcie których Menel podziwiał dobry gust hostessy, odpowiedział:

- Tak, to ja.

- W takim razie, proszę za mną. A państwa – i tu zwróciła się do Lusi i Adamskiego, który właśnie teraz zauważył jej obecność – zapraszam na widownię. Macie państwo zarezerwowane miejsca w siódmym rzędzie. Zresztą tam państwa odpowiednio pokieruje obsługa.

Trójka, od jakiegoś czasu nierozłącznych przyjaciół, została rozdzielona. Lusia z Adamskim podążyli drogą, którą wskazywały strzałki, Dżak w milczeniu szedł za hostessą. Zastanawiał się dokąd go prowadzi. Jednak refleksja nad miejscem docelowym w tym przypadku nie trwała długo. Coś zakłócało mu klarowność myśli, mąciło nieustannie, uniemożliwiało proces

myślowy. Kiedy już zaczynał szukać przyczyny owej aberracji we własnej psychice, dopuszczając nawet myśl o nagłym sfiksowaniu, nagle uzmysłowił sobie, że cały czas jego wzrok koncentruje się na pośladkach hostessy. „Taaaaa....” – pomyślał – „Fenomenalne! Model afro-sportowy. Wydatne, ale nie wielkie, otłuszczone z celulitem, przy którym skórka pomarańcza to aksamit. Akurat, akurat!”. Jego przewodniczka, nieświadoma fantazji młodzieńca, pewnym krokiem w milczeniu prowadziła Dżaka. Ale nawet gdyby miała choć cień świadomości tych pragnień, i tak nie zareagowałaby. Była bowiem profesjonalistką. Zresztą tylko takie hostessy zatrudniali organizatorzy konkursu poetyckiego im. Kościotrupków. Z doświadczenia wiedzieli bowiem, że poeci jako istoty niebywale wrażliwe na piękno, nawet zdeklarowani geje, w pewnych stanach upojenia alkoholowego dążą do tego, by niebezpiecznie skrócić dystans między nimi a obsługą. Po kilku skandalach obyczajowych, które nadszarpnęły i tak wątłym zdrowiem schorowanych jurorów, zdecydowano się zatrudnić tylko i wyłącznie hostessy profesjonalistki, które słynęły z niebywalej urody i dobrego gustu, ale przede wszystkim z tego, że nigdy nie umawiają się gośćmi, tudzież nie pozwalają się namówić na nocny spacer przy wtórze słowików w godach. Dżak nie wiedział, że ma do czynienia z profesjonalistką. Cały czas zauroczony pośladkami hostessy wpatrywał się w nie jak zahipnotyzowany. Aż nagle ta racjonalno-oportunistyczna część jego jaźni zabrała głos. „Opamiętaj się! – zaapelował do siebie w myślach – „Jeżeli chcesz być wieszczem, masz być gejem! A ty się wpatrujesz w kobiece pośladki!”. Zaczął ocierać twarz, tak jakby chciał odpędzić wszystkie heteroseksualne myśli i pragnienia. Jednak w tym momencie świat nie był dla niego łaskawy, bowiem urocze, wręcz magiczne pośladki hostessy cały czas pulsowały mu przed oczami. W lewo, w prawo, w lewo, w prawo. Każdy ich ruch rejestrował Dżak, mimo odrazy, którą sobie wmawiał. W pewnym momencie poczuł się tak, jakby wszystkie złe moce zawarły pakt przeciwko niemu, następcy Miłosza. Kiedy jego udręka wydawała się sięgać apogeum, kiedy zaczął wpadać w panikę, przewodniczka nagle zatrzymała się przed małymi drzwiami i powiedziała:

- Proszę, tu jest garderoba. Tu pana przygotowują do wystąpienia.

Następnie otworzyła je i delikatnie wepchnęła Dżaka do środka. Chłopiec, będący w całkowitej rozsypce, ruinie emocjonalnej znalazł się w przestronnym i dobrze oświetlonym pokoju. Na przeciwko niego ustawione były fotele, które przypomniały trochę te, które oglądał w gabinecie dentystycznym. Na ścianach były wielkie lustra. Nie mogąc się jeszcze uwolnić od widma perfekcyjnych pośladków hostessy, rozglądał się chaotycznie po pomieszczeniu, szukając czegoś, choćby najmniejszego detalu, który wyparłby z pamięci obraz kołyszącego się, w rytmie chodu niedawnej przewodniczki, piękna. Nagle uwagę jego przykuł krzyk dochodzący z prawej strony garderoby:

- Kurwa! Więcej żelu na grzywkę! Nie widzisz idiotko, że jest zbyt płaska. Ona ma sterceć, a nie być przylizana!

Postanowił zobaczyć, kto się tak awanturuje. Okazało się, że był to Tomasz Camel, jego ulubiony konferansjer. Jaka była jego radość!. Pomyślał: „Ty mi pozwolisz o nich zapomnieć!”. I rzucił się w kierunku znanego prezentera ze łzami w oczach, krzycząc:

- Tomek! Zbawco!

Następnie zaczął go obejmować, ścisnąć, całować w głowę i policzki, nieustannie powtarzając:

- Uratowałeś mnie! Ocaliłeś! Zbawco mój!

Oniemiały prezenter siedział jak wryty. Po chwili dopiero wybuchnął, gwałtownie zrywając się z fotela:

- Człowieku! Ochujałeś!

- Ależ Tomku....

- Nie jestem dla ciebie żadnym Tomkiem! – warknął zdenerwowany Camel i spoglądając w lustro dodał:

- Kurwa! Całą fryzurę mi zjebałeś ćwoku!
- Próbując samodzielnie doprowadzić grzywkę do pożądanej formy kłął pod nosem:
- Jak ja wyglądam? Mam pięć minut do wejścia, a tu kurwa takie coś na głowie!

Dla Dżaka gwałtowna reakcja prezentera TVP była niezrozumiała. Była radykalnie różna od wyobrażeń, które chłopiec miał w tej kwestii. Dla niego Camel od momentu pierwszego swojego występu na szklanym ekranie był idolem. Zawsze piękny, zawsze zadbany, zawsze w centrum uwagi i zawsze kulturalny. Nie mógł pojąć tego schizofrenicznego wcielenia Tomasza, które na własnej skórze właśnie doświadczył. Nie mieściło się w jego głowie, że jedna i ta sama osoba może powiedzieć: „Proszę państwa, w imieniu telewizyjnej jedynki zapraszam państwa na premierowy odcinek serialu bla bla bla”, a za chwilę, kiedy kamery zgasną wydrzeć się na całe gardło: „Kurwa mać!”.

Zrezygnowany opadł na fotel i oddał się w ręce sztabu specjalistów od wizerunku, którzy dopadli go z każdej strony. Ktoś ścierał rozmazany mejkap z jego twarzy – wcześniejsze dzieło Lusi. Ktoś inny próbował uczesać włosy. Ktoś inny pęsetą regulował brwi. Wszystko to jednak przemknęło niezauważone. Dżak był pogrążony w wewnętrznej rozterce. Znowu w jego myślach pojawiły się pośladki hostessy, które teraz konfrontował z prawdziwym obrazem telewizyjnego idola-prezentera. „Pośladki vs. Camel? 1:0 dla pośladków” – pomyślał.

24

- Proszę państwa, w imieniu organizatorów, członków szanownego žiri, chciałbym serdecznie powitać państwa na uroczystej gali wręczenia najbardziej prestiżowych nagród w dziedzinie polskiej poezji. Konkurs im. Kościotrupków, jak państwo doskonale wiecie, ma bogatą tradycję. Jego laureaci, to dyktatorzy nowych trendów w literaturze i poezji. Główna nagroda, przyznawana co rok, określana mianem poetyckiego Nobla, przyznawana jest najbardziej utalentowanym poetom, którzy nie ukończyli trzydziestego roku życia. Powitajmy gromkimi brawami jurorów – powiedział Tomasz Camel, wskazując na pierwszy rząd, w którym zamiast krzeseł ustawione były w szeregu, jedno obok drugiego specjalistyczne łóżka medyczne, na których leżeli leciwi specjaliści i specjalistki w dziedzinie poezji i teorii literatury. Na auli rozległy się brawa. Goście w strojach galowych z entuzjazmem wiwatowali, niektórzy nawet wstali z siedzeń i krzyczeli:

- Niech żyją! Niech żyją nam kolejne sto lat!

Kiedy burza oklasków ucichła, konferansjer Camel, kontynuował:

- Podziękujemy także sponsorom, bez których uroczystość ta nie mogłaby się odbyć. W szczególności producentowi Geriavitu i Lecytyny w płynie; firmie POLEX, która podarowała dziesięć nowoczesnych łóżek medycznych wraz z zestawami do podtrzymywania życia, oraz mnichom tybetańskim, których mistrzowska technika akupunktury sprawiła, że przez całych jedenaście minut nasi wspaniali jurorzy mogli poruszać kończynami a przez to postawić krzyżyki we właściwe miejsca w rubryczkach, oddając swój głos na wybranego kandydata. No i nie można zapomnieć o formie pogrzebowej HARON, która ufundowała kwiaty i cały wystrój wnętrza. Brawa proszę państwa, brawa.

Publiczność i tym razem posłusznie zareagowała. W tym czasie Dżak, który stał za kulisami nieustannie obserwował Camela oraz jego fantastyczną wręcz umiejętność kierowania ludźmi siedzącymi na widowni. „Jak on to robi? – myślał – Przecież to nie są bezkrytyczni, stadionowi kibole, którymi łatwo sterować, ale śmietanka i elita intelektualna z całej Polski. Wszystkie te panie w powłóczystych kieckach i panowie w smokingach, na jego żądanie gotowi są kulać się po podłodze, albo udawać małpki z cyrku. Muszę się tej sztuczki nauczyć. Na pewno mi się przyda!” – postanowił.

W tym czasie Tomasz, nieświadomy tego, że jest bacznie obserwowany i że jego technika konferansjerki została poddana w tejże chwili szczegółowej analizie, ciągnął zapowiedź:

- Szanowni państwo, zanim nastąpi część artystyczna gali, w której pokaz swych wokalnych umiejętności zademonstruje legenda polskiej sceny muzycznej zespół FASOLKI, chciałbym w imieniu swoim i organizatorów powitać pana profesora Vitalija Willga, który przyjechał do nas aż ze Lwowa. Jest to gość szczególny i już teraz mogę państwu nieoficjalnie powiedzieć, a w zasadzie to zdradzić, że jego głos zdecydował o wyborze laureata nagrody głównej. Ale dlaczego jest to gość szczególny? Zapewne państwo wiedzą, ale na wszelki wypadek przypomnę, otóż profesor Willg swoją przygodę z poezją rozpoczął od przyjaźni z Iwaskiewiczem. Jak sam wielokrotnie powtarzał, cytuję – i tu Camel spojrzął na przygotowaną fiszkę – „Jarek nauczył mnie kochać i rymować”.

Następnie schował karteczkę do kieszeni, po czym zwrócił się do publiczności:

- Proszę państwa, o to on! Nasz zagraniczny gość specjalny, pan Vitalij Willg!

Kiedy szacowny lwowiak wchodził na scenę, przy wtórze hucznych braw w pierwszym rzędzie jurorskim nastąpiło poruszenie. Lekarz w białym kitlu krzyczał:

- Dwadzieścia miligramów adrenaliny w serce!

Obok jednego z łóżek zrobiło się zbiegowisko sanitariuszy i lekarzy. Ktoś ciągnął wózek z defibrylatorem, ktoś inny biegł z kroplówką.

- Szybko! – ponaglał ktoś z ekipy medycznej.

Sala zamilkła. Camel uważnie obserwował wydarzenia w pierwszym rzędzie. Uprzedzono go, że może dojść do takiej sytuacji, jednak nie brał tych ostrzeżeń serio. Nie bardzo wiedział jak zareagować. Czy opowiedzieć jakiś dowcip? Czy może zacząć stepować, żeby tylko odwrócić uwagę widowni od tego dramatycznego zdarzenia.

Zapanowała grobowa cisza. Nagle rozległ się ciągły pisk urządzenia monitorującego pracę serca:

- Beep

- Tracimy go! Tracimy! Defibrylacja trzy razy! – krzyczał któryś z lekarzy.

Publiczność zamarała. W auli słychać było tylko odgłosy pierwszego rzędu oraz charakterystyczny dźwięk ładowania urządzenia defibrylującego. Po chwili rozległo się miarowe:

- Beep, beep, beep, beep

Akcja serca reanimowanego jurora wróciła do normy.

- Uffff – rozległo na sali.

Medycy porządkowali swój sprzęt, a konferansjer zwrócił się do publiki:

- Proszę państwa, właśnie dostałem sygnał z reżyserki, żebyście państwo klaskali jak najciszej i o ile to możliwe, wstrzymali się od spontanicznych okrzyków. Ale, żeby nie zrobiło się całkiem grobowo – zażartował Tomasz Camel – posłuchajmy jednego z songu FASOLEK.

Następnie udał się za kulisy. W tym czasie na scenie pojawiła się kultowa grupa wokalistyczna i zaintonowała:

- Bo fantazja, sialalala, bo fantazja, sialalalaa, bo fantazja jest od tego, aby bawić się sialala, aby bawić się, sialalala, aby bawić się na całego.

Zgromadzeni krytycy literaccy, specjaliści od teorii sztuki i literatury natychmiast podchwycili ton. Po chwili cała sala mruczała:

- Ogórek, ogórek, ogórek sialalala, zielony ma garniturek sialalala.

Gdy FASOLKI zaczęły śpiewać:

- Mój brat wciąż czyta o kosmitach, sialala, gwiazdach planetach i orbitach, sialala, o niczym innym nie chce więcej słyszeć, sialalala, nawet do UFO listy pisze, sialalala.

Jakiś pan w średnim wieku z dziewiątego rzędu poderwał swoją małżonkę do tańca. Rozochoceni sąsiedzi uczynili to samo. O mało co, uroczysta gala wręczenia nagród nie zmieniła się w bal sylwestrowy. Na szczęście w odpowiednim momencie zainterweniował Tomasz Camel. Wszedł na scenę, podziękował dziecięcej formacji wokalne za występ artystyczny i zdawał się nie słyszeć cichego, ale stanowczego głosu publiki:

- Bis, bis, bis.

Chciał coś powiedzieć, ale goście nieprzerwanie domagali się bisu. Uspokoił ich:

- Proszę państwa, to nie jest ostatni występ FASOLEK przewidziany w programie. Proszę o cierpliwość. A teraz przygotujmy się. Nadeszła pora, by poznać nazwiska zwycięzców tegorocznej edycji konkursu im. Kościotrupków.

Wśród zgromadzonych rozległ się szmer. Camel kontynuował:

- Zapraszam na scenę panią Grażynę Torbicką, by odczytała werdykt žiri.

Po tych słowach Grażyna, siedząca w czwartym rzędzie, majestatycznie zaczęła się przeciskać między siedzącymi by wyjść na scenę. Ocierając się o kolana gości, potykając się co chwila o wyglansowane lakierki, starała się pokonać ten tor przeszkód z przyspawanym uśmiechem do twarzy, który trenowała, podglądając go u rodzicielki. Należy dodać, że w rodzinie Torbickiej, zawód prezentera telewizyjnego był dziedziczony. Dlatego już jako mała dziewczynka słynęła z tego, że nieustannie uśmiechając się potrafiła wytrzymać bite siedemdziesiąt godzin. Jednak, jak się okazało później, nie miała takiej pamięci jak mama. Nie potrafiła zapamiętać kolejności audycji telewizyjnych. Zaczynała się tuż po godzinie dziewiątej i nijak nie potrafiła sobie przypomnieć, co będzie emitowane w programie pierwszym po tej godzinie. Mimo to nie chciała rezygnować z kariery w TVP. Z tego powodu

zajęła się czymś mniej ambitnym, a mianowicie publicystyką kulturalną. I tak jej do dziś zostało.

Dobrnąwszy do sceny, pewnym krokiem podeszła do konferansjera i powiedziała:

- Dziękuję ci Tomku – a następnie zwróciła się do gości:

- Proszę państwa, oto werdykt. Pozwolę sobie go odczytać.

Wzięła przygotowaną wcześniej kopertę, która leżała na stoliku i przeczytała:

- Zwycięzcą tegorocznej edycji konkursu im. Kościotrupków, przewagą tylko jednego głosu, jest pan Dżak Menel, który oprócz nagrody finansowej otrzymuje także talon na Poloneza oraz całoroczną prenumeratę miesięcznika „Pani domu”. Zapraszamy pana na scenę.

Dżak nie był zaskoczony werdyktem. Od wyjścia z hotelu miał stuprocentową pewność wygranej. Jednak teraz czuł się trochę stremowany. Nie dlatego, że miał zmierzyć się z kilkuset zaproszonymi gośćmi, nie dlatego, że powie to, co za chwilę powie, ale dlatego, że ma stanąć obok ulubionej prezenterki. Poprawiając czarną kapotę, stukając laseczką w drewnianą podłogę sceny pomału zmierzał w kierunku wiecznie uśmiechniętej Grażyny.

„Muszę się o nią otrzeć! Jeżeli gratulując poda mi swoją dłoń, to nie będę mył się przez siedemnaście lat, żeby tylko się jej zapach nie ulotnił zbyt szybko” – postanowił w duchu.

25

- Gratulujemy panu – powiedziała Torbicka, ściskając prawą dłoń Dżaka, który właśnie w tym momencie doświadczał uroku spoconej dłoni sławnej prezenterki. Oczywiście towarzyszyły temu ciche brawa oraz głośne okrzyki Adamskiego i Lusi, którzy najwyraźniej zapomnieli o wcześniejszej prośbie Camela, by powstrzymać się od okrzyków. Wydzierając się co sił w gardle wołali z widowni:

- Dżak! Dżak! Dżak!

W tym momencie młodzieniec w czarnej kapocie zyskał świadomość, że nie tylko spełniło się proroctwo Miłozsa, ale zrealizowało się jego pragnienie kontaktu fizycznego z Grażyną. Przy wtórze aplauzu trwał w traumie, chłonąc wilgoć spoconej dłoni telewizyjnej idolki. I nie wiadomo jak długo byłby tak stał całkowicie otumaniony tym upragnionym wrażeniem, gdyby nie profesor Willg, który właśnie wszedł na scenę, trzymając w ręku bukiet czerwonych róż, by także przyłączyć się do gratulacji. Podszedł on do Dżaka i wręczając kwiaty powiedział z charakterystycznym lwowskim „I”:

- Gratuluję młodzieńcze – a następnie objął chłopca i pocałował go w manierze brezniewowsko-honeckerowskiej. Jak wiadomo nie jest to całus w stylu „misiaczek”, lecz prawdziwy wyraz szczerego braterstwa i przyjaźni. O ile ustna pieszczota „na misia”, ograniczała się do trzykrotnego pocałowania w policzek (dwukrotne nie wchodziło w rachubę i uznawane jest za pase), tak całus brezniewowsko-honeckerowski nawiązywał do prastarej tradycji. Antropolodzy kulturowi udowodnili, że w dawnych czasach mamki przeżuwały w ustach pokarm, którym karmiły bezzębne niemowlęta. Czyniły to w dość osobliwy sposób, a mianowicie przekazywały go dzieciom z ust do ust, pomagając sobie językiem. Gest ten następnie ewoluował kulturowo. Jako wyraz niebywałego zaufania partnerskiego i troski o drugą osobę, z hermetycznego światka mamek i ich podopiecznych, z biegiem czasu przedostał się do sfery seksu, w której zrobił karierę jako „całus z jęczyzkiem”. Jako taki początkowo powszechnie praktykowany był na terenach obecnej Francji. Nie bez kozery to właśnie Francuzi i Francuski są mistrzami w tego rodzaju pieszczocie. Jednak w dwudziestym wieku, kiedy świat podzielony został tak zwaną żelazną kurtyną, po jej wschodniej części, przywódcy partyjni chcieli jakoś zamanifestować swoją jedność z klasą robotniczą. Nie było bardziej wymownego gestu jedności niż całowanie się z jęczyzkiem. Dlatego też na wszelkich uroczystościach władza całowała się to z samą sobą, to z ludem pracującym, wykorzystując do tego główny organ smakowy, czyli język. Oczywiście proceder ten wiązał się z pewnymi niedogodnościami. Wiadomo, że w socjalistycznej rzeczywistości priorytetem była walka z kapitalizmem, a nie kapitalistyczno-egoistyczne dbanie o samego siebie, a już najmniej jeżeli chodzi o stan własnego uzębienie. Łatwo sobie wyobrazić zatem początkowy opór przed wpychaniem języka w usta władzy, która nierzadko miała spróchniałe zęby. O ile w średniowieczu doskonale funkcjonowała kategoria „odor sanctitatis”, jako konieczna aura otaczająca wszelkiej maści pustelników, cierpiętników i innych kandydatów na świętych, tak światopogląd materialistyczny musiał wymyślić własny patent na nieprzyjemne zapachy. Władza ludowa w tym celu zaprzęgała do pracy najwybitniejsze umysły. Ruszyły koła młyńskie socjalistycznej nauki i po niedługim czasie wymyślono genialny produkt. Srodek, który gwarantował świeży oddech, czyli sławne „Pastylki konferencyjne”, cukierki miętowe koloru zielonego o właściwościach mordoklejących, owinięte w sreberka po dwadzieścia sztuk w opakowaniu. Już jak sama nazwa wskazuje, targetem tego produktu byli uczestnicy wszelkiego rodzaju konferencji, spotkań, na których oprócz tego, że należało coś powiedzieć, to witając się należało całować z jęczyzkiem. W takich sytuacjach „Pastylki konferencyjne” nierzadko zbawiały od traumatycznych doznań.

Profesor Willg, poeta starej daty, jak to ze wszystkimi typami starej daty bywa, z pewnym dystansem, żeby nie powiedzieć: z niechęcią, podchodził do wszelkich wynalazków. Dlatego

nigdy nie zaakceptował „Pastylek konferencyjnych”, mimo iż produkt ten szczylił się tak szlachetnym rodowodem. Jak już całował, to tylko i wyłącznie na żywca, żeby poczuć pełnię smaku i aromatu osoby – w tej sytuacji Dżaka Menela. Skąd mógł wiedzieć, że młodzieniec ów jest bardzo wrażliwy na zapachy? Dziwił się, że obściskiwany i całowany laureat nagrody, może nie to, żeby się wyrywał, ale z odrętwieniem przyjmuje jego pieszczotę. Młodego Menela nie tyle drażnił w tej sytuacji odór tytoniu fajkowego, ale przede wszystkim nienaturalnie gładka powierzchnia akrylu protezy zębowej zacnego jurora, którą eksplorował swoim językiem w tej chwili. „Zaraz puszczę pawia!” – myślał, hamując z całych sił torsje. I właśnie w tej samej chwili, w której miał objawić światu treść żołądka, starszy pan zwolnił uścisk, odsunął się i powiedział:

- Jeszcze raz gratuluje chłopcze – a następnie zwrócił się do gości na auli:
- Oto przyszłość, mili państwo! Młodzieniec ten ma talent! Taki młody, taki niewinny, a jednak w swojej poezji jest archeologiem. Jego innowacyjny wkład do poezji polega na tym, że, i niech mi będzie wolno użyć w tym miejscu obrazowej metafory, odgrzewa stare kotlety.

Publiczność się zaśmiała, rozumiejąc żart mówcy. Ten kontynuował:

- Ale odpowiedzmy sobie na pytanie: czym są owe stare kotlety w poezji? Czy czymś budzącym odrazę? Czy może upragnioną aczkolwiek zapomnianą krainą piękny łąk, okraszonych niebiańskim kwieciami? Wszyscy wiemy jak łatwo jest napisać w wierszu „Kurwa mać i chuj ci w dupę” lub „pierdołę wszystko i wszystkich”, ale proszę państwa, przecież nie od tego są wiersze by się buntować! Prawdziwa poezja, to poezja stepów akermiańskich, to wersy pisane trzynastozgłoskowcem, to miód, który ukoji skolatanę serca.

W tym momencie rozległy się brawa. Vitalij Willg, jako obyty mówca, nie dał się jednak wybić z rytmu perory:

- Poezja, moim najmilsi, musi – i tu powiedział podniesionym tonem – być wtórna. Tak, tak! Nie bójmy się tego słowa „wtórna”. Tylko takie wiersze, w których poeta rozczuła wspomnieniem dawnych chwil, reanimacją zakurzonych form, jest w stanie zmierzyć się z morderczym maratonem świata, który nas otacza.

I ponownie rozległy się oklaski.

- Tyłu młodych poetów – kontynuował Willg – pragnie mierzyć się z Bogiem i przeznaczeniem. Występują oni przeciwko wszelkim wartościom, w szczególności chrześcijańskim. Poeta Menel jest inny. Mimo młodego przecież wieku, jest wewnętrznie bardzo dojrzały, chciałoby się powiedzieć, że jest starcem, szlachetnym próchnem prasłowiańskiego dębu, który przechowuje świadomość dziesiątek generacji wieszczów. Jego konformizm zasługuje na szczególne uznanie. Dlatego tylko on mógł zdobyć główną nagrodę. Proszę państwa, proszę o brawa dla naszego zwycięzcy – zakończył.

Trochę zawstydzony przemówieniem Dżak stał lekko zdezorientowany. Rozglądał się po widowni w poszukiwaniu członków swojej bandy. Aplauz ucichł dopiero, gdy stojąca cały czas obok niego Grażyna Torbicka podeszła do mównicy i powiedziała:

- Drodzy państwo, najwyższa pora by dopuścić do głosu samego laureata tegorocznej edycji konkursu im. Kościotrupków. Oto on! Gwiazda dzisiejszego wieczoru! Pan Dżak Menel!

Dżak spojrział na wszystkich zebranych, poprawił mikrofon przy mównicy. Poszperał w kieszeniach kapoty i wyjął z niej plik kartek. Następnie odchrząknął trzy razy i zwrócił się do zebranych:

- Miałem kiedyś sen. Śnił mi się Czesiek. Ale nie taki zwykły Czesiek, co to po ośmiogodzinnym dniu pracy, wraca do domu odwiedzając po drodze wszystkie knajpy. Ów niezwykły Czesiek powiedział mi: „Będziesz wieszczem”. Kiedy się obudziłem zacząłem pisać wiersze. Siadałem przy biurku i zastanawiałem się, jak pisać wiersze. Wówczas wpadłem na pomysł, który okazał się być strzałem w dziesiątkę. Skoro miałem zostać wieszczem, to pożyczylem dzieła wieszcy i zacząłem pisać tak jak oni. Proste! Nieprawda?

Aula zareagowała śmiechem, traktując tę część przemowy Dżaka raczej jako żart niż najprawdziwszą spowiedź. Ten kontynuował:

- Wiedziałem jednak, że aby być wieszczem nie tylko muszę pisać jak na wieszca przystało, ale wieść wieszczowskie życie. I w związku z tym chciałbym państwu coś wyznać. Proszę państwa jestem gejem.

Na sali zapanowała cisza. Dżak nie dał zbić się z pantafyku i ciągnął:

- Wielu z państwa myśli sobie w tej chwili „Jak to? On jest gejem? Jak poeta może być gejem?”. Jednak czy państwo zastanowiliście się chociaż przez chwilę na tym, kto położył kamień węgielny pod budowę kultury śródziemnomorskiej? Nie kto inny, proszę państwa, jak właśnie geje. Skierujmy nasze myśli ku antycznej Helladzie. Tam niemalże wszyscy poeci i filozofowie byli gejami. Najdawniejsza historia uczy nas, że heteroseksualizm do niczego finalnie nie prowadzi. Jej produktem może być tylko stado domagających się żarcia dzieciaków. A przecież nie o to chodzi! Nie chodzi o prozaiczność! Wieszcz musi patrzeć w słońce, w idee. Dlatego ja postanowiłem podążyć tropem miłości platonicznej, uczucia, które łączy dojrzałego mężczyznę z młodzieńcem, któremu zarost na twarzy się jeszcze nie pojawił, by osiągnąć wyżyny uduchowienia. Produktem takiego związku może być tylko mądrość duchowa, prawda o absolicie.

Lusia słuchająca przemówienia wiedziała, że Dżak kłamie. Potrafiła wczuć się w jego sytuację. Od dłuższego czasu żył on przecież pod niebywałą presją bycia wieszczem. Siedziała pogrążona w empatycznym smutku. Adamski w tym czasie dłużył słonecznik, w który zaopatrzył się jeszcze przed wejściem do krakofskiego Domu Kultury. Na nim wystąpienie przyjaciela nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Reszta gości trwała jednak w absolutnym zdziwieniu. Jedyne poruszenie, którego powodem było wyznanie laureata, było zauważalne w łoży dla reporterów. Każdy z dziennikarzy sposobił się, by jako pierwszy zdać w swojej redakcji relację z sensacyjnego njusa ze świata kultury pt. „Poeta przed trzydziestką gejem!”, który na bank trafi na okładkę. To dopiero było coś, a nie jakiś tam nudny wynik konkursu poetyckiego.

26

Dżak opuszczał scenę. Widownia jednak nie zęgnęła go tak gromkimi brawami, jakimi go nie tak dawno jeszcze witała. Może za wyjątkiem kilku osób, w tym profesora Willga, który zdawał się doceniać szczerść i otwartość wyznania laureata. Jako jedyny wstał, aby okazać uznanie i szacunek poecie w czarnej pelerynie, który ogłosił przed chwilą, że jest gejem.

Dżak spodziewał się takiej reakcji, nie był więc zaskoczony. Przeciwnie. Jeszcze przed wyjazdem do Krakofa dokładnie przemyślał swój własny patent na skandal. Miał bowiem świadomość, że musi stworzyć jakiś kontrast dla swoich nudnych wierszy, coś co sprawi, że zostanie zapamiętany, że przejdzie do historii, że jego nazwisko oprócz tego, że znajdzie się w podręcznikach do literatury, będzie widniało także w nagłówkach ogólnopolskich dzienników informacyjnych. Jego pomysł był diabolicznie prosty.

Obserwując rzeczywistość społeczną oraz analizując jej motorykę doszedł do wniosku, że światem rządzi nie pieniądz, nie ropa naftowa, nie prawa materializmu dialektycznego lecz fallus w nierozłącznej parze z anusem. Ile to razy, przechadzając się po galeriach handlowych w swoim mieście, spotykał na wystawach sklepowych plastikowe manekiny. Nawet one, te dzieła wtryskarek do tworzyw sztucznych, programowanych przez człowieka, miały w sobie niebywały ładunek erotyczny. Rzymskie torsy, na które naciągnięte były obcisłe podkoszulki, i te lubieżne podbrzusza odziane w slipki, ale zawsze tak by penis był uwypuklony. Jednak nawet te manekiny były niczym w porównaniu z paniami pracującymi w takich sklepach. „Dlaczego one są zawsze takie ładne?” – myślał za każdym razem, gdy otaczały go owe niewiasty. Starał się unikać takich sytuacji, w których napadało go stado ekspedientek zlanych obficie Kenzo Dżangel Elefant. Każda chciała go dotknąć, każda coś do niego mówiła, każda seksi. Stał wówczas w oparach perfum, bezradnie się uśmiechając i pragnął jak najszybciej opuścić takie miejsce w obawie, że za chwilę coś kupi, że się skusi na niepotrzebną mu przecież dodatkową parę spodni dżinsowych.

Podobne wrażenia kolekcjonował ze swoich eskapad na miasto, zwłaszcza w okresie wiosenno-letnim. Przechadzając się promenadą on, jak wielu innych, koncentrował swoją uwagę nie na zabytkach architektury lecz na długich, opalonych nogach wiosennych dziewczyn. Na ich młodych pośladkach, mocno zarysowanych pod obcisłymi kieckami. To właśnie one były przedmiotem uwagi. Na jedno skinienie palca mogły mieć każdego. Cały świat leżał u ich stóp.

Poddając analizie ten cały materiał empiryczny, który gromadził latami Dżak doszedł do wniosku, że czasy, w których żyje, wbrew opinii psychologów społecznych nie są epoką kultu młodości i piękna. Odkrył on bowiem prawdziwe podłoże społecznych zachowań – był nim seks. Przecież te seksi sprzedawczynie, plastikowe manekiny wystawowe i wiosenne kobiety owszem, były piękne, lecz każdy kto obcował z tym rodzajem piękna, natychmiast odczuwał dziwną endorfiniczną przyjemność z towarzyszącym jej charakterystycznym ciśnieniem w kroczu. Było to uczucie nierzadko tak silne, że pojawiał się wstyd. Wówczas podobnie jak on, wielu innych klientów sklepów odzieżowych, natychmiast gubiło się w otoczeniu sprzedawczyń. „Całe szczęście – myślał Dżak – że w rybnym i spożywczym nie pracują takie laski, zdechłbym z głodu”.

Dżak zastanawiał fenomen powrotu w takie miejsca. Z jednej strony gardził sobą, że ulega tak prostym instynktom, z drugiej strony dziwił się, że mimo owej pogardy jakaś siła ciągle pcha go ku jędrnym, wydatnym pośladkom. Było w tym coś z masochizmu, chrześcijańskiego umartwienia się, rodzaj wewnętrzznego samobiczowania, po którym każdorazowo pojawiał się wstręt do samego siebie. Na tym właśnie etapie swoich wewnętrznych rozważań, Dżak postanowił wykorzystać sferę gatunkowego libido w promocji siebie, jako poety. Pomyślał: „Przecież nikt nie zwraca uwagi na spodnie, które ma kupić, gdy obsługuje go nęcąca,

seksowna sprzedawczyni. Mimo to, każdy i tak kupi. Nikt też nie zwróci uwagi na moje wiersze, gdy odwrócę od nich uwagę, koncentrując ją na sobie, na własnej seksualności”.

Jednak przyszły wieszcz był realistą w zakresie samooceny. Stojąc przed lustrem widział za każdym razem tą samą, szurkowatą twarz, to samo mizerne i blade ciało. W przeciwieństwie do niektórych rówieśników, jakoś nie widział sensu w przerzucaniu z kupki na kupkę tony żelastwa w osiedlowej siłowni, nazwanej żartobliwie fitnessklubem. Odczuwał także niechęć do anaboliów, zwłaszcza deka-duranabolinu i metanabolu. Nie to, żeby nie próbował. Przeciwnie. Kiedyś podsłuchał, że od tych specyfików mięśnie same rosną i kupił kilkanaście ampułek i tabletek. Nie odstraszyły go wówczas pryszcze na plecach po pierwszym miesiącu kuracji. Jednak, gdy pod koniec drugiego miesiąca zażywania metanabolu zaczął sikać na zielono, definitywnie odstawił sterydy. Nie widząc szans na to, by upiększyć ciało, w szczególności fizjonomię, młodzieniec nie zrezygnował z planu ataku na sferę społecznego libido w celach marketingowych. Jak się okazało i tu nie był oryginalny. Postanowił bowiem odgapić concept Witkowskiego, który właśnie wydał i wypromował „Lubiewo”. Nie czytał tej książki, ale imponował mu szum medialny, który się wokół niej zrobił. Gazety trąbiły o powieści gejowskiej napisanej przez geja. Pierwszy nakład rozszedł się jak świeże bułeczki. Drugie wydanie też prawie wyprzedane. Okazało się finalnie, że „Lubiewo” przeczytało więcej osób niż jakieś tam filozoficzne bełkoty z ostatniej książki Kołakowskiego.

Myli się ten, kto uważa, że epigonizm Dżaka w tej materii był pozbawiony uprzedniej refleksji. Otóż zanim postanowił ogłosić, że jest homoseksualistą, starał się dociec istoty niebywałej popularności i siły promocyjnej tej preferencji seksualnej w społeczeństwie, w którym przyszło mu żyć. W szczególności zaś odkryć mechanizm, który sprawia, że mieszkańcy Polski, deklarujący się w dziewięćdziesięciu kilku procentach jako katolicy, wbrew chrystusowej nauce miłości bliźniego, pałają nienawiścią do gejów. Z nauki biologii Dżak wiedział, że ośrodki miłości i nienawiści w mózgu sąsiadują ze sobą, w zasadzie to trudno przeprowadzić między nimi granicę. Tak szybko i łatwo jak przychodzi kochanie, tak szybko to samo kochanie może się łatwo przerodzić w nienawiść. „Ale czy to znaczy, że homoseksualiści są powszechnie kochani?” – zastanawiał się. Wielokrotnie, analizując homofobie powszechną wśród polskich katolików, pojawiała się w jego głowie myśl: „Dlaczego Jezus na swoich uczniów wybierał tylko dorodnych mężczyzn? Czy oni tego nie widzą?”. Dopiero po jakimś czasie, który Dżak poświęcił na studia Biblii, odkrył, że chrześcijanie zawsze się czegoś bali. To ukrzyżowania, to ukamienowania, to rzucenia na pastwę lwom, to przerażającego piekła. Żadna inna religia nie ma w sobie takiego ładunku lęku, jak chrześcijaństwo, a zwłaszcza w odmianie katolickiej. „Żeby katolicy mogli wierzyć, muszą się bać” – taka była jego konkluzja. Po wielotygodniowych rozważaniach o naturze społecznego lęku, Dżak doszedł do wniosku: „Ludzie mogą nienawidzić pedałów, mogą nimi gardzić, mogą się ich bać, mogą nie podawać im ręki na przywitanie, ale to właśnie ta pogarda i nienawiść koncentruje ich uwagę na pedałach i nie pozwala myśleć o czymś innym”.

Koniec końców przyszły wieszcz wybrał najbardziej chwytliwy zabieg marketingowy, by zaistnieć i sprzedać się w mediach. I jak się okazało jego wybór był trafny. W tej samej chwili, gdy zszedł ze sceny natychmiast został otoczony przez dziennikarzy i reporterów. Znalazł się w świetle kamer i obiektywów. Kotłujący się w tej chwili obok niego ludzie, z akredytacjami prasowymi dyndającymi w foliowych futerałach na szyjach, przekrzykiwali się wzajemnie:

- Dlaczego jest pan gejem? Czym różni się poezja gejowska od niegejowskiej?

Szturchany przez napierający tłum dziennikarzy Dżak milczał. Był trochę skołowany błyskami fleszy i światłem kamer. Kiedy sytuacja trochę się uspokoiła, a Dżak upewnił się, że

wśród wszystkich mikrofonów, które w tej chwili znalazły się przy jego ustach, jest ten z upragnionym logo TVN, spokojnie odpowiedział:

- Gej jest okej.

Chciał dodać coś jeszcze ale poczuł na swojej dłoni znajomy spocone palce. Odwrócił się, by zobaczyć, kto się z nim tak spoufala. I już miał udzielić gwiazdorskiej reprimendy owemu śmiałkowi, gdy zorientował się, że w tej chwili trzyma go za rękę Grażyna Torbicka. Uśmiechnęła się ona do niego i powiedziała:

- Chodź.

W tej chwili Dżak jakby zapomniał na chwilę o autopromocji, o tym, że musi coś jeszcze powiedzieć do mikrofonu, zapomniał też o Atomizerze i Lusi, którzy na pewno na niego czekali. Oddał się całkowicie w ręce Grażyny.

27

Torbicka zaprowadziła Dżaka do ustronnego pomieszczenia, z dala od zgiewku rozszalałych reporterów, żadnych sensacyjnego njusa. Chłopiec rozsiadł się na wygodnym, czesterfildowskim fotelu, Grażyna usadowiła się naprzeciwko. Dzielił ich tylko stolik, w którego szklanym blacie odbijało się światło kamery, którą obsługiwał zaufany członek z ekipy prezenterki.

- Napije się pan czegoś, może kawę? – zapytała.

- Ohh! Proszę nie mówić do mnie per pan – odpowiedział bohater wieczoru.

Rezygnacja z formy grzecznościowej, w której zawierało się pragnienie przejścia z Grażyną na „ty”, jest ewenementem w historii życia Dżaka Menela. Młodzieniec ten bowiem od niepamiętnych czasów tolerował tylko jeden sposób zwracania się do niego, mianowicie per pan. Nawet będąc małym brzdącem w kołysce, wydierał się w niebogłose, gdy pochylały się nad nim jakieś nieznanne twarze i mówiły: „Ale ładny dzidzius! Ti, ti, ti, Dżakuś, ti, ti ti!”. Nie wiedział, że to były jego ciotki, widział je w końcu pierwszy raz w życiu. Traktując je jako obce, płakał, bo czuł się urażony taką poufałością. W takich sytuacjach zawsze interweniowała rodzicielka. Brała synka na ręce, przytulała do matczynej piersi i uspokajała wrzeszczącego bobasa odmianą zaimka „pan” przez przypadki. Przy wołaczku liczby pojedynczej było już po wszystkim, Dżak odzyskiwał dobry humor, śmiał się i radośnie gaworzył. Długo jeszcze po wyrośnięciu z okresu niemowlęcego, gdy nie mógł zasnąć przychodził do mamy i prosił ją:

- Mamusiu podeklinuj mi na dobranoc.

Później, gdy rozpoczął swoją edukację na poziomie przedszkolnym, będąc w maluchach często wszczywał bójki z rówieśnikami, którzy jak to dzieci, nie mieli tego socjalizacyjnego nawyku „panowania” sobie. Ten sam proceder ciągnął się przez cały pobyt Dżaka w starszakach, wszystkie osiem klas szkoły podstawowej. A kiedy był już w liceum, to głośno zwracał uwagę wszystkim, którzy ośmielili się zwrócić do niego per Dżak, że taka forma jest niekulturalna, że należy do obcych zwracać się przez „pan”. Jediną osobą, oprócz oczywiście rodziców, która mogła mówić do niego bez żadnych konsekwencji „Dżak”, był Atomizer Adamski.

O tym, jak mocno przywiązany był do formy grzecznościowej, świadczy pewne zdarzenie. Dżak był już w trzeciej klasie liceum. Któregoś razu, gdy wracał do domu, spotkał grupkę dzieciaków, jeden z nich zagadnął go:

- Cześć, która godzina?

- Po pierwsze, żadne „cześć” tylko „dzień dobry”, bo nie jestem pańskim kolegą – odpowiedział Dżak. Wówczas dzieciaki zaczęły się śmiać i wołać do niego:

- Cześć, cześć koleś!

Jakie były konsekwencje tej poufałości, dowiadujemy się już od samego Dżaka, który rozdygotany, z poharatanymi kostkami na dłoniach, spotkał się z Adamskim. Ten zobaczył, że przyjaciel jest dogłębnie wstrząśnięty, a zakrwawione pięści świadczą o tym, że miał za sobą kilka brutalnych rund ulicznej walki. Zapytał:

- Dżak, co się stało?

- Napadli mnie w dziesięciu, albo w dwunastu – opowiadał, starając się opanować adrenaliczne podniecenie.

- I co?

- I nauczyłem ich dobrych manier. Tak im wlałem, że aż im się kredki z tornistrów wysypały.

Każda reguła, żeby była regułą musi mieć wyjątki. Tak jest i w tym przypadku. Otóż Dżak, co widać na przykładzie pierwszego spotkania z Andronią, Lusią i Wró Wróbllem, tolerował w

ściśle określonych sytuacjach rezygnację z formy grzecznościowej. Nie była to jednak fanaberia. Pozwalał mówić do siebie na „ty” tylko tym osobom, które mogły być dla niego w jakiś sposób przydatne. Grubaskę poznaną w przedziale chciał wy badać w zakresie konkursów poetyckich; od Andronii, córki gospodarzy, u których nocował, chciał wydebić śniadanie – jajecznicę z kiełbasą, której zapach poczuł tuż po przebudzeniu; Wró Wróbell był pierwszym paparazzim, który robił mu zdjęcie, a Dżak zrobiłby wszystko dla zdjęcia na okładce poczytnej gazety, przynajmniej w początkowym stadium swojej kariery, później zacznie wybrzydzać.

W związku z powyższym nie może dziwić propozycja, którą złożył Dżak Grażynie. Sławna prezenterka, wywodząca się z rodziny o bogatych tradycjach telewizyjnych, była dlań łakomym kąskiem. Poza tym liczył na to, że nie kto inny, ale właśnie ta gwiazda TVP, która tak ładnie opowiada o kulturze, będzie jego przepustką do świata kamer i prompterów, garderób i pomieszczeń, nad którymi zapala się od czasu do czasu czerwony napis: „ON AIR”.

- Dobrze, niech będzie Dżak. To napiszesz się czegoś Dżak? – odpowiedziała Grażyna.

- Nie, dziękuję. Przejdźmy od razu do rzeczy.

Torbicka odwróciła się do pana z kamerą i powiedziała:

- Zdzisiu, kręcimy.

- Ok. – mruknął Zdzisiek i w tym samym czasie nad kamerą zapaliła się czerwona lampka.

- Jeszcze raz chciałam ci pogratulować głównej nagrody w tym prestiżowym konkursie. Czy mógłbyś przybliżyć mi i widzom początki swojej przygody z poezją? – zwróciła się do chłopca.

Dżak założył nogę na nogę, ułożył dłonie na kolanach, tak jak to zawsze robili goście zapraszani do studio na wywiad, a których gesty dokładnie analizował, przygotowując się do swej medialnej kariery, poczym zdawkowo powiedział:

- Kocham poezję.

Jego rozmówczyni uśmiechnęła się i czekała na dalszą część wyznania. Pan Zdzisio w tym czasie zrobił najazd kamerą na twarz gwiazdy wieczoru. Dżak jednak nie powiedział nic więcej. Uznał, że nie ma sensu się powtarzać, bo wszystko, co miał w tym zakresie do powiedzenia, niedawno ogłosił w swoim wystąpieniu w auli. Torbicka jednak nie dała zbic z tropu. Zaprawiona była w wywiadach z chimerycznymi artystami. Miała świadomość, że postacie światka artystycznego mają skłonność do błaznowania przed kamerą. Jej doświadczenie i profesjonalizm pozwolił jej wybrnąć i z tej sytuacji. Jak gdyby zdawkowa odpowiedź młodzieńca nie zrobiła na niej wrażenia, kontynuowała:

- O właśnie, jeżeli już jesteśmy przy miłości, chciałam cię zapytać o nurt homoseksualny w literaturze. Dżak, czy uważasz, że literatura gejowska, w szczególności poezja ma większą wartość niż poezja heteroseksualna?

Jej rozmówca tylko czekał na to pytanie. Układając misterny plan autopromocji pod szyldem gejostwa, Dżak przewidział, że ktoś może go zapytać o wyższość poezji gejowskiej nad poezją wszelką, w szczególności zaś heteroseksualną.

- Ależ oczywiście, że tak – odpowiedział bez zastanowienia. – Zwróć uwagę, że homoseksualizm już jako taki oznacza pewną skrytość, obawę przed brakiem akceptacji, przed odrzuceniem. Jeżeli połączyć ten stan z istotą o wysokiej wrażliwości, umiejącą pisać, to należy spodziewać się dzieł wybitnych.

- Jednak u innych ssaków z rodziny naczelnych, myślę tu o szympankach, także zaobserwowano zjawisko homoseksualizmu. Co więcej – ripostowała Torbicka – Niektórzy twierdzą, że gdyby dać szympansom maszynę do pisania, małpy te po jakimś czasie napiszą dzieło na miarę Szekspira. Jednak szympany-geje nie piszą wierszy. Co ty na to?

Dżak zamyślił się. Był zaskoczony tym kontrargumentem. Musiał z tego jakoś wybrnąć. Po chwili milczenia odpowiedział:

- Czy widzisz przed sobą szympansa czy człowieka?

- Ha, ha, ha! – zaśmiała się Grażyna – Celną uwagę. Ale wracając do pytania. Ostatnio pojawił się, zwłaszcza w internecie nurt poezji gospodyń domowych. Umęczone życiem, nieustannym zmywaniem garów, podawaniem mężom kapci, gazety i obiadu, otwieraniem piwa, gospodynie domowe zaczęły pisać wiersze. A co więcej, takie medium jak internet umożliwia im publikację swej twórczości. Nie można im odmówić wrażliwości. Czy jednak są one w stanie zmierzyć się na niwie poezji z tobą?

- Zaiste, to kobiety po przeżyciach, po mękach i katuszach, które doświadczyły na oddziałach położniczych a nierzadko w domowym zaciszu, które ich mężowie zmienili w piekło. Jednak czym jest owo cierpienie w porównaniu z pierwszym stosunkiem analnym, gdy brak doświadczenia i wprawy, zatracenie miłosne powoduje, że zapominasz o lubrykancie? Nie można zatem porównywać tych doznań. O ile pierwsze mają podłoże społeczno-kulturowe, tak drugie, te gejowskie mają charakter mistyczny. Przyczynia się do tego nie tyle intymność, co sytuacja buberowskiego dialogu, w której nagle jego-i-jego zespala niebywałe uczucie jednoczesnej ekstazy pomieszanej z niewyobrażalnym cierpieniem, ale charakter tej formy miłości. W takich chwilach wszystko jest inne, zmienia się nawet sposób percepcji doniczki z kaktusem. Staje się ona mikrokosmosem, leibnizowską monadą zamkniętą na to, co zewnętrzne. Sam kaktus zaś, mimo kolców, urasta do rangi archetypu oazy wytchnienia. Wtedy każdy z nas jest przez chwilę jednocześnie ukrzyżowanym Chrystusem jak i żądnym krwi Piłatem. Pojawia się najpierw świadomość wolności wyboru i jej brak. Znajdujesz się w sytuacji bez wyjścia, która kończy się wraz ze szczytowaniem. W tym wszystkim najwięcej szczęścia ma ten z nas, kto potrafi zapamiętać a następnie przelać na papier wszystkie te doznania. Oto jest cała misterium poezji gejowskiej.

- Łanie ujęte – powiedziała z uznaniem prezenterka. – Dziękuję ci za wywiad. Na zakończenie mam dla ciebie małą niespodziankę.

- Jaka?

- Pozwoliliśmy sobie zaprosić twoich rodziców, którzy na nasz koszt przylecieli tu samolotem. Zapraszam cię do wspólnego, pamiątkowego zdjęcia – powiedziawszy to, Grażyna wstała, podeszła do Dżaka i następnie razem udali się z powrotem do auli, w której wszystko było już przygotowane a goście ustawieni. Chłopiec nie miał jednak ochoty na konfrontację z rodzicami, zwłaszcza z ojcem. Miał świadomość, że w momencie, w którym ogłosił publicznie swoją orientację seksualną, przysłowiowe mleko się wylało. „Jak mu to wszystko wytłumaczę?” – gryzł się w myślach.

28

Znalazłszy się z powrotem w auli Dżak nie zwracał już uwagi na stojącą tuż obok niego diwę telewizji publicznej. Rozglądał się uważnie, szukając w tłoczących się dookoła ludziach rodziców. Nie dlatego, że tęsknił. Powód był inny. W tej chwili obudziło się w nim wspomnienie zasad, które na przemian wpajali mu rodziciele, starający się wychować syna dobrego człowieka. Dżak przypomniał sobie ostatnią rozmowę z ojcem o wartościach, która odbyła się przy trzeciej dolewce pomidorówki. Usłyszał wówczas:

- Synu nie bądź cool, nie bądź zajebisty, nie bądź fajny. Bądź po prostu dobry.

I kiedy próbował wytłumaczyć tacie, że to są synonimy przecież, umęczony życiem rodziciel spojrział na niego, odsunął talerz z zupą i powiedział:

- Synu, synu, zapamiętaj sobie raz na całe życie, dobry człowiek widzi wszystko tylko w dwóch kolorach. Dla niego istnieje wyłącznie czerń i biel. Wszystkie odcienie szarości, wszystkie synonimy, wymyślili łajdacy, by usprawiedliwić własne podłości. Pamiętaj, świat jest tylko i aż podwójny, jest dobry albo zły. Alternatywa nie ma trzeciego członu, który mógłbyś wybrać. Dlatego w życiu decydujesz się na dobro lub zło.

Właśnie te słowa, którymi ojciec uwieńczył procesy wychowania syna, odbierały Dżakowi w tej chwili spokój ducha. Chaos myśli spowodował, że chłopiec zapomniał całkowicie o zwycięstwie, o wszystkich reporterach i błyskach fleszy, a nawet o Torbickiej. „Czy pragnienie sławy jest czymś złym? Czy to, że zrobię wszystko, by zaistnieć medialnie, by być kimś jest złe? Co tu jest czarne a co białe?” – zmagął się w myślach z nauką ojca. Ocknął się dopiero, gdy poczuł dotyk na ramieniu i usłyszał:

- Synku, jestem z ciebie bardzo dumna.

- Mamo! – powiedział podniesionym tonem Dżak, rzucając się jej na szyję – Naprawdę? Dumna jesteś ze mnie?

Jak nigdy, właśnie w tej chwili potrzebował od rodziców potwierdzenia, że w drodze ku sławie, nie zбочzył ze ścieżki cnoty, której principia wbijano mu do głowy przez całe dzieciństwo.

- Tak synku, tak – odparła, głaszcząc syna po głowie.

- Mamo, a gdzie jest ojciec? – zapytał po chwili i zaczął poszukiwać wzrokiem znajomej sylwetki.

- Jest tu, stoi z tyłu, trochę na uboczu. Wiesz jak to ojciec...

- To chodźmy do niego!

- Może lepiej nie – powiedziała smutno.

- Co się stało? Dlaczego nie? – dopytywał się młodzieniec.

- Jakby ci to powiedzieć – powiedziała zatroskana kobieta – on potrzebuje trochę czasu. Daj mu trochę czasu synku.

- Aż, tak?

-Tak.

Dżak posmutniał. Wiedział, że jedyna osoba, u której mógł otrzymać katharsis, nie chciała go w tej chwili oglądać. „Tak bardzo ciebie potrzebuję! Właśnie teraz, nie kiedy indziej! Teraz, gdy przeciw sobie iść muszę! A ciebie nie ma!” – myślał z wyrzutem.

- Zapraszamy do zdjęcia – usłyszał z boku. Była to Grażyna, która aranżowała ustawienie gości, do pamiątkowego zdjęcia.

- Dżak, ty staniez z przodu, obok ciebie rodzice i profesor Willg...

- Nie, nie – przerwał jej – Rodzice staną z tyłu, w ostatnim szeregu.

- Ale... – zdziwiła się Grażyna i już chciała coś dodać, gdy nagle wtrąciła się matka:

- To żaden problem, staniemy sobie z tyłu.

A następnie poprawiła czarną torebkę, którą miała na ramieniu, uśmiechnęła się do Dżaka takim rodzajem uśmiechu, którym tylko matki obdarowują swoje potomstwo i powiedziała:

- Jeszcze raz gratuluję synku.

Odwrociła się i wolnym krokiem odeszła w cień, tam gdzie nie było już światła kamer i błysków fleszy. Dżak odprowadzał ją przez chwilę wzrokiem. Myślał: „Idziesz do cienia, tam gdzie cały czas jest ojciec. Sami tego chcieliście. I kto teraz jest po jasnej stronie? Zawsze powtarzaliście o wyborze, że jest czerń i jest biel. Dokoła mnie wszystko teraz jest białe, jest jasne. A wy? Gdzie teraz jesteście? Co teraz widzicie? Nic, tylko czerń!”

- Uwaga! A teraz wszyscy, na mój znak uśmiechają się i patrzą do obiektywu – poprosił fotograf, majstrując jeszcze coś przy aparacie.

- Uwaga! Teraz!

Błysnął flesz a następnie wszyscy zaczęli się rozchodzić i rozmawiać w grupkach. Nastąpiła część nieoficjalna całej ceremonii, w trakcie której Dżak już nie spotkał ani mamy ani ojca. Zresztą w tej chwili przestał myśleć o rodzicach, bo właśnie obsługa cateringowa wniosła pierwsze przystawki na ogromnych, niklowanych tacach. Większość gości natychmiast ruszyła w stronę rozstawionych stołów. Rozpoczęła się mordercza przepychania. Panowie około czterdziestki, którzy do tej pory byli dżentelmenami, teraz szli w zwartym szeregu na przód falangi, nie dopuszczając by nie daj boże przedarła się przez nią nie tyle kobieta, bo wiadomo, że one mało jedzą, ale jakiś staruszek. Osoby w podeszłym wieku znane są z tego, że na wszelkiego rodzaju przyjęciach rekompensują sobie brak zainteresowania ze strony młodszych biesiadników właśnie jedzeniem. W tym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi na szczupłą blondynkę, która w tłoku zgubiła gdzieś kolczyk. Niczym piłka odbijała się od wyjściowych butów, gdy na czworakach poszukiwała zguby.

Dżak, u boku którego pojawili się Lusia z Adamskim, już miał dać sygnał bandzie, do ataku na bufet zanim zostanie kompletnie ogołoceny przez wygłodniałą hordę, gdy w tej samej chwili powstrzymała go weteranka takich imprez – Grażyna, która od jakiegoś czasu nie odstępowała gwiazdy wieczoru ani na krok.

- Poczekajcie. Teraz rzucili zapychacze, za chwilę dadzą to, co najlepsze – powiedziała.

- A co to są zapychacze? – zdziwił się Dżak.

- To sałatki ziemniaczano-majonezowe, zawsze podają je jako pierwsze. Świnie na farmach zapychane są ziemniakami, dlaczego ludzie mieliby się nie pozapychać? – zapytała retorycznie Grażyna, z cynicznym uśmiechem przyglądając się skopanej blondynce, która do tej pory miotła się między nogawkami smokingów i fraków w okolicy bufetu, przeszukując posadzkę.

Po dziesięciu minutach było już po wszystkim. Przy szwedzkim stole stały tylko niedobitki, wybierając z dna kryształowych misek majonez. Pozostali rozeszli się, klepiąc się po napełnionych brzuchach. Niektórzy nawet popuszczali pasek, który uciskał wyдутy żołądek po sałatkowej wyzerce. I właśnie w tym momencie wprawni kelnerzy wnieśli dymiące półmiski. Były to pieczone gęsi, prosięta, w których rozdziawionych pyskach złościły się pieczone jabłka. Na szklanych tacach podano ryby i inne owoce morze, które z wyglądu przypominały te stwory z przepastnych głębin oceanu, które spotykał kapitan Nemo w trakcie podwodnych podróży.

- Teraz możemy iść jeść – powiedziała Grażyna i udała się w kierunku wykwintnych dań. Dżak skinieniem głowy dał sygnał bandzie i po chwili wszyscy stanęli przy bufecie. To była prawdziwa orgia dla zmysłów. Próbowali wszystkiego, nawet ostryg. Lusie nie mogła się początkowo przekonać do konsumpcji istoty żywej, która po otwarciu muszli trzęsie się i pachnie jak ryba, chociaż wyglądem przypomina galaretkę. Nawet sugestia by skropić ją cytryną nie wydawała się dla niej przekonująca. Nie chciała jednak, by uznano ją za wieśniaczkę, która nie ma tak zwanej kultury rautu. Zatkaną zatem nos i duszkiem wychyliła

zawartość skorupki. Adamski nie miał takich dylematów. Bez żadnych oporów jadł na przemian kawior z białugi, który przekąszał pieczoną kaszanką po staropolsku, z ostrygami i śledziami. Dżak, popróbowałszy trochę owoców morza, skupił w pewnym momencie całą swoją uwagę na pieczonym prosiaku. Krążył dokoła stołu, zastanawiając się, z której strony zacząć, z której odciąć pierwszy kawałek. Wziąwszy odpowiednie sztucce już chciał dokonać cięcia na boku rumianego warchlaka, gdy ponownie usłyszał Grażynę:

- Nie tu! Tu jest boczek, sam tłuszcz. Zaczynij od dupy, tam jest chudziutka szyneczka.

Oczywiście posłuchał i tym razem sugestii. Nie miał bowiem żadnych powodów by nie wierzyć Torbickiej, tym bardziej, że jej uprzednia rada, by wstrzymać się od szturmowania bufetu, gdy podane są pierwsze dania, była trafna. Dlatego bez zastanowienia wbił długi widelec w pośladek, a następnie z chirurgiczną precyzją odkroił od niego kawał soczystego mięsa. „Wyborne! Wyborne! A ta chrupiąca skórka! Pyszności!” – myślał, przeżuując kolejne kęsy.

Kiedy podano wino i inne napoje Dżak spojrział na weterankę rautów, by upewnić się, czy można, czy należy znowu poczekać na coś lepszego. Grażyna domyśliła się, o co chciałby ją zapytać młodzieniec i rzekła:

- Tu już nie ma żadnych reguł.

Cała impreza skończyła się późno w nocy. Mniej wytrawni gracze szybko się upili i przysypiali gdzieś w kąciakach. Niektórzy niezmordowanie trwali przy kolejnych flaszkach czerwonego wina, opowiadając historie swojego życia, o tym jak się zakochali, o tym jak się do tej pory nie mogą odkochać. W historiach tych najzabawniejsze było zawsze to, że zakochiwano się zawsze nie w swoich partnerach życiowych, ale w jakichś istotach z wczesnej młodości. Dżak wysłuchał kilku takich opowieści. W końcu i on zaczął odczuwać znużenie. Kiedy w towarzystwie reszty bandy chciał udać się w drogę powrotną, do hotelu, zagadnął go profesor Willg:

- Mogę was podwieźć, jedziemy do tego samego hotelu.

Dżak nie miał ochoty wracać na piechotę. O tej porze żaden tramwaj już nie jeździł, a z taksówki, ze względu na dobro szczęki Lusi nie zamierzał korzystać. Dlatego przystał na propozycję honorowego gościa i jurora w konkursie im. Kościotrupków, i razem pojechali do hotelu.

Po przyjeździe do hotelu każdy myślał tylko o wygodnym łóżku. No może nie każdy, bo Lusia wiedziała, że resztę nocy spędzi na niewygodnej kanapie, gdyż wygodne łoże w sypialni zajęli chłopcy. Lecz świadomość tego nie przeszkodziła jej marzyć o wytchnieniu po dniu obfitującym w takie wrażenia. Okazało się jednak, że tej nocy żaden z członków bandy, włączając w to samego szefa, nie przespał w spokoju.

Atomizer miał wzdęcia po smażonej cebuli, które skutkowały nieznośnym zepsuciem atmosfery w sypialni. Próbował różnych metod, żeby tylko zmniejszyć stężenie metanu w powietrzu. To przyciskał kołdrę do łóżka, tak by uszczelnić maksymalnie wszelkie szparki, którymi gazy trawienne mogły się przedostać na zewnątrz, z nadzieją, że wsiąkną w tapicerkę łoża. To wychodził do toalety i tam uwalniał się od wzdęć. Jak się okazało metody te były wielce nieskuteczne. Materac, na którym spali wypełniony był jakimś rodzajem tworzywa sztucznego, które nie wykazywało najmniejszej nawet skłonności do absorpcji przykrych zapachów. Natomiast, gdy chodził do łazienki, to po drodze zwykle przechodziła mu ochota na pierdzenie, która złośliwie pojawiała się natychmiast, gdy położył się w łóżku.

Lusia też nie miała spokojnej nocy. Za każdym razem, gdy zamykając oczy próbowała zasnąć, natychmiast pojawiał się w jej myślach trzęsąca się, śmierzcząca ostryga. Wizja ta przyprawiała ją o odruch wymiotny, tak realnie czuła jej zapach i konsystencję galaretowatego, zimnego gluta na języku. Myślała: „To nie był dobry pomysł, by to jeść. To nie był dobry pomysł”. Mimo iż raz miała cofkę i o mały włos nie wylądowała z głową w plastikowej misce, którą przezornie postawiła obok legowiska, to nie skapitulowała. Dzielnie walcząc z traumatycznym wspomnieniem kulinarnym, hamując z całych sił torsje powtarzała w myślach: „Nigdy więcej! Żadnego eksperymentu! Nigdy więcej!”.

Dżak nie miał tego typu problemów. Jego żołądek, wyprodukował taką ilość kwasu solnego, że nie tylko bez problemów trawił kawałki pieczonego prosiaka, ale starczyłoby go jeszcze na trzy całe świnię. Jednak pewna myśl nie pozwalała mu zasnąć. Nie było to wspomnienie niktnej w tłumie gości matki, którą odprawił do ostatniego szeregu, gdy ustawiali się do fotki. Nie były to też rozważania na temat tego, co w życiu dobre, a co złe. Te sprawy były dla niego błahostkami, z którymi zdążył się zmierzyć i które uznał za rozdziały zamknięte w swoim życiu. O dziwo nie przeszkadzał mu w tej chwili także fetor sfermentowanej cebuli, unoszący się w sypialni, który normalnie nieznośnie drażniłby jego wrażliwe nozdrza, a którego teraz nie zauważał. Coś innego spędzało mu sen z powiek. Była to pulsująca w głowie myśl: „Co dalej?”. Rozważał różne warianty poprowadzenia własnej kariery. Miał świadomość, że właśnie teraz jest jego własne pięć minut i musi to wykorzystać. Nie może zmarnować tej szansy. Myślał o jakimś etaciku w gazecie, najlepiej o tematyce kulturalnej. Tam mógłby się zahaczyć, ale nie stanowisku sekretarza redakcji czy korektora. Jeżeli już to tylko jako redaktor naczelny albo przynajmniej zastępca naczelnego. Tylko takie stanowisko odpowiadałoby jego ambicji. Myślał o etacie w telewizji. Tu w zasadzie wzięłby wszystko, co zaoferują. Wiedział, że tam się dobrze zarabia. Zgodziłby się nawet robić za rekwizyt, element scenografii, byle tylko podliczać kolejne zera po jedynce na koncie bankowym no i oczywiście, co nie było bez znaczenia, móc oglądać siebie na szklanym ekranie.

W trakcie rozmyślań rozważał też możliwość kontynuowania wierszoklectwa. To byłoby chyba najlepszą opcją w tej chwili. „Tak, pójdę za ciosem. Kolejne rymowanki, to kolejne nagrody, które zagwarantuje mi proroctwo Miłosza!” – myślał. Lecz i tu dało o sobie znać niebawem wycucie Dżaka jeżeli chodzi o realizm samooceny. Ten sam bezwzględnie obiektywny dajmonion, głos wewnętrzny, które onegdaj uświadomił mu, że nie jest adoniszem, gdy ten przeglądał się w lustrze, teraz mówił do niego: „Przecież nie masz nic do powiedzenia! Długo nie pojedziesz na tym trzynastozgłoskowcu i na tej archeologii

poetyckiej. Prędzej czy później oni się zorientują. Będziesz nikim!”. Dżak usilnie starał się stłumić ten głos, snując myśli o karierze na niwie polskiej poezji. Jednak na próżno. Ten sam głos powtarzał: „Nie masz nic do powiedzenia. Będziesz nikim”. Wiedział, że intuicja go nigdy nie zawiodła, dlatego po chwili wewnętrznego oporu, przestał myśleć o pisaniu wierszy. Jednak za wszelką cenę starał się wymyślić takie rozwiązanie, w którym nie straciłby kontaktu z poezją jako taką. Po chwili wpadł na pomysł: „Wiem – pomyślał – nie będę pisał, ale przecież znam języki obce, to mogę zająć się tłumaczeniem wierszy. Za to też płacą!”. Jednak taka perspektywa kariery, w której byłby tylko tłumaczem nie zadowalała go. W dalszym ciągu tkwił w martwym punkcie, miotając się niecierpliwie w pościeli u boku Adamskiego. Nie widząc szans na wybrnięcie o własnych siłach z tej rozterki, postanowił zasięgnąć rady przyjaciela.

- Śpisz? – zapytał.

- Nie, nie mogę – odpowiedział Adamski, który właśnie szykował się, by kolejny raz udać się do toalety.

- Poradź mi, co dalej?

- Jak to co?

- No, co dalej mam zrobić, jaką opcję wybrać? Nie chcę zmarnować swej życiowej szansy – tłumaczył Dżak, przewracając się na drugi bok, by widzieć w tej chwili twarz Atomizera. – Poradź mi coś, proszę.

- Hmm... – zastanowił się Adamski. Nie chciał źle doradzić przyjacielowi. Wiedział, że jego los jest od jakiegoś czasu nierozzerwalnie złączony z dołą Dżaka. Zatem ta decyzja będzie go tak samo dotyczyć, co przyjaciela. Poniosą takie same konsekwencje. Ewentualny sukces Dżaka, będzie jego sukcesem a gorycz ewentualnej porażki podzielią na dwóch.

Po chwili namysłu Adamski powiedział:

- Nie wiem, co dalej masz zrobić, ale wiem jedno. Musimy stworzyć stronę internetową. Pamiętasz co powiedziała nam Lusia, w kawiarni na dworcu? Pamiętasz o czym mówił ten fotograf, ten Wró... Jak mu tam było?

- Wróbell, Wró Wróbell – odpowiedział Dżak.

- No właśnie, pamiętasz? Jak się go pytałeś, gdzie będzie twoje zdjęcie, to powiedział, że w internecie. My też musimy mieć swoje miejsce w internecie. Jak byłem w tym Empiq, wiesz, wtedy, gdy ty gadałeś z Lusią...

- No, pamiętam – przerwał mu Dżak, który bardzo zainteresował się tym, co przyjaciel ma do powiedzenia.

- Właśnie wtedy – kontynuował Adamski – przeczytałem w jakiejś gazecie komputerowej, że internet, to przyszłość; że w internecie już są sklepy, że można w nich kupować i sprzedawać; że w internecie można oglądać telewizję; że gazety mają swoje wydania internetowe; że tam można znaleźć wszystko. I wiesz, tak sobie myślę, że my musimy podbić ten świat! – skwitował.

Dżak zamyślił się. Internet do tej pory znał bardziej z opowieści kolegów ze studiów, którzy przechwalali się jak to oni skutecznie wrywają panienki przez internet. O internecie słyszał też wielokrotnie w telewizji, gdy to serwowano kolejny njus w stylu „Policja ujęła szajkę groźnych pedofilii, którzy rozpowszechniali w internecie pornografię dziecięcą”. I gdy miał ostudzić zapał przyjaciela w kwestii zapanowania nad globalną siecią informatyczną, przypomniały mu się nagle słowa Grażyny Torbickiej. Te z wywiadu, gdy opowiadała ona o szerokim nurcie poezji znudzonych gospodyń wiejskich, który rozpowszechnia się właśnie w internecie. „Skoro takie osobistości, jak Grażyna, interesują się internetem, czytają co w nim jest. To na pewno internet jest ważny, nie można go lekceważyć” – pomyślał w duchu, po czym powiedział do Adamskiego.

- Tak, masz racje. Musimy opanować internet. To nasza jedyna szansa. Już to widzę, jak się podzielimy. Ty znasz się na informatyce, zajmiesz się zatem stroną techniczną, ja zadbam o stronę merytoryczną. Zgoda?

- Dobra – odparł Adamski, ciesząc się w duchu, że wreszcie będzie mógł zademonstrować swoje umiejętności nabyte, póki co tylko w teorii, na kursach informatycznych.

Ani się zorientowali, a nastał kolejny, cudowny krakofski poranek. Dwójka przyjaciół nie chciała jednak marnować czasu na zachwycanie się jego estetyką. Chłopcy myśleli tylko o jednym, żeby wcielić wspólne postanowienie w życie. Spakowali się błyskawicznie, gotując się do wyjścia z pokoju. Denerwowała ich trochę Lusia, która w dalszym ciągu nie była w najlepszej kondycji fizycznej, po swoich przygodach z ostrygami. Ociągała się trochę z pakowaniem walizek, to znowu szukała pilniczka do paznokci, który gdzieś się jej zapodział w łazience. Koniec końców, opuścili we trójkę hotel i udali się na dworzec kolejowy.

30

Podróż powrotna nie obfitowała w takie wrażenia, jak eskapada do Krakofa. Cała trójka nie dała się namówić na propozycje bufetowego, który jak to zwykle w trakcie dalekobieżnych kursów pociągiem bywa, i tym razem nęcił ich wózkiem pełnym smakołyków. Dżak, Adamski i Lusia przezornie napchali kieszenie różnymi frykasami zaserwowanymi na raucie, żeby mieć co jeść w drodze do domu. Co jakiś czas, któryś z nich wyjmował z za pazuchy wymemłany kawałek mięsa, pieczywa tudzież placka by się nim posilić. Ceremoniał ten odbywał się jednak w milczeniu. Dżak rozmyślał nad strategią podboju internetu, Adamski układał sobie w głowie plan strony internetowej, zastanawiając się także nad jej nazwą, Lusia zastanawiała się, czy kołysanie wagonu nie pogorszy jej samopoczucia nadwreżonego eksperymentem kulinarnym. Innymi słowy: każdy miał o czym myśleć.

Ani się spostrzegli a charczący głos z głośników w przedziale oznajmił, że bieg pociągu dobiegł końca. Wrócili z powrotem do Dancyś, rodzinnego miasta Dżaka Menela. Było to miejsce szczególne.

Jak powszechnie wiadomo, każda piędź polskiej ziemi uświęcona została kiedyś tam hektolitrami krwi bohaterów – tych wszystkich, którzy zmagali się z hordami najeźdźców w obronie niepodległości, czci lub wiary. Wiadomo także, że na każdy kilometr kwadratowy kraju wiślanego przypadają co najmniej trzy święte relikwie, tak aby pamięć historyczna, o odwiecznej walce jaka toczy się między dobrem a złem w tym właśnie miejscu, nie wygasła. By ciągle trupy bohaterów przypominały każdemu młodemu pokoleniu, że bić się trzeba i należy, gdy ojczyzna w niebezpieczeństwie. Jako, że ojczyzna zawsze jest w jakimś niebezpieczeństwie, że zagrażają jej wiecznie czyhające na jej cnotę międzynarodowe organizacje żydowskie, tak więc każdy Polak na wszelki wypadek już w szkole podstawowej uczy się wierszyka: „Kto ty jesteś? Polak mały. Jaki znak twój? Orzeł biały. Gdzie ty mieszkasz? Między swymi?...” W ten sposób wciska się dzieciakom odwieczną naukę, że swój to ten, który mieszka na polskiej ziemi, mówi po polsku, a na piersi nosi krzyżyk. Nikomu nie przyjdzie do głowy by zapytać, dlaczego właśnie krzyż, narzędzie niebywałej tortury, ludzkiego barbarzyństwa i pogardy dla bliźniego, które jest w stanie okazać tylko człowiek drugiemu człowiekowi, jest nierozłącznym fetyszem prawdziwego Polaka. Nikt nie pyta także o to, dlaczego w tym świętym kraju, pasteryzuje się martwe niemowlęta w plastikowych beczkach, zwłaszcza w tych czasach, w których konserwy mięsne kosztują grosze i zalegają na sklepowych półkach? Nie zadaje się pytań także o to, dlaczego polscy wieśniacy, którzy jak wiadomo szczególnym uwielbieniem darzą ziemię, którą z trudem uprawiają, oraz Matkę Boską Siewną, gwarantującą obfite zbiory w sezonie żniw, mimo bliskości lasów, ogrzewali dłonie nie przy płonących w ognisku polanach, ale przy płonących stodołach, do których zagnali żydowskich sąsiadów. Przecież takie podłości nie tylko niegodne są człowieka, jako człowieka, ale przede wszystkim dumnego Polaka dźwigającego ostentacyjnie krzyż na szyi, w taki sposób, żeby nikt nie miał wątpliwości co do martyrologii jego antenatów.

Mimo całej niezwykłości tego bastionu chrześcijaństwa, jest w nim miasto szczególne, przy którym aura świętości i męczeństwa nie tylko Polski, ale i reszty świata włączając w to sam Watykan, blednie. Jest to właśnie Dancyś. To tu garstka bohaterów uzbrojona w kosy przekute na sztorc, błyszczące lance, karabele tudzież sporadycznie w zdobyczne karabiny typu Enfield, odpierała skutecznie atak pancernych jednostek generała Guderiana. Legendy na temat tego zdarzenia obfitują w opisy rumaków bojowych, które uniesione patriotycznym szałem przegryzały tętnice szyjne uciekającym w popłochu niemieckim żołnierzom. Gdyby ten niemiecki strateg wiedział, jak wielkie straty poczynią w szeregach podległych mu jednostek obrońcy miasta Dancyś, zapewne ominąłby to miejsce szerokim łukiem, a

generałowie Wehrmachtu zakreśliliby na mapie ową miejscowość czerwonym flamastrem z adnotacją: „Hic sunt leones”, dodając do tego ze sześć wykrzykników.

Później nastąpiły lata osiemdziesiąte. Powstał masowy ruch o nazwie Solidarność, który nie tylko odmienił oblicze ziemi, ale także sposób podejścia do procesu pracy. Jak sama nazwa wskazuje liczyła się „solidarność” a nie „solidność”. Zresztą z solidności słynęli Niemcy. Oni jak już wyprodukowali auto, to takim wozem można było przejechać trzysta tysięcy kilometrów a auto w dalszym ciągu nie wymagało interwencji mechaników. Jak zrobili autostradę, to trwałość jej przewyższała tylko drogi z okresu Imperium Rzymskiego.

Polacy mieli inny stosunek do procesu produkcji i pracy jako takiej. Woleli solidarnie trzymać dłonie w kieszeniach, pić piwo lub kawę, palić papierosy tudzież bić się na karabiny z pracodawcami, którzy ośmielili się zakłócić ich solidarnościowy ceremoniał, niż solidnie coś wykonać – raz a porządnie, jak Niemcy. Dowodem są choćby właśnie autostrady, których nawierzchnia solidarnie zrobiona przez Polaków topi się na skutek pierwszych upałów letnich, w której grzęzną nie tylko koła samochodów ciężarowych, ale opony jednoślądów.

Ale polska solidarność słynie też z czegoś innego. Okazuje się, że jako ruch związkowy, stała się przechowalnią dla wszelkiej maści nieudaczników, którzy korzystając z jej ochrony pobiera za nic pensję w zakładach, w których funkcjonuje komórka związku zawodowego „Solidarność”. Nie trwa to jednak długo, ponieważ każda instytucja – no może za wyjątkiem tych, które należą do sfery budżetowej – w kilka miesięcy po zarejestrowaniu w niej NZZ Solidarność zwyczajnie bankrutuje. Tak czy siak, solidarności w wydaniu polskim ma charakter szczególny.

Kolebką tego ruchu, co dziwić nie może, było miasto Dancyś. To w tym miejscu upadła pierwsza stocznia, opanowana przez solidarnościowców, którzy jakiś czas później wyłudziła wielkie sumy od naiwnego społeczeństwa niby to dla jej ratowania. Sprytny mechanizm, prosty i jakże skuteczny! W mieście Dancyś, jak to na miejsce wyjątkowe przystało, zdarzył się na oczach całego świata wielki cud. Otóż to właśnie tu nastąpiła symbioza ruchu robotniczego, który jak żywo przypominał w latach osiemdziesiątych te ruchy proletariackie, które onegdaj wstrząsnęły posadami burżuazyjnego świata, z religią katolicką. Wielkie pojednanie ducha komunizmu z teologią chrześcijańską, którego trwanie gwarantował autorytet papieża-Polaka. Gdyby to mógł zobaczyć Marks z Engelsem, to na pewno dostaliby przynajmniej kolki sercowej. Jednak jako istotom dawno umarłym pozostało im tylko przewracanie się w grobie. Mniejsza o to, w każdym razie by uczcić należycie, to znaczy po polsku, owo precudowne wydarzenie, postanowiono budować coraz to nowe pomniki, których motywem przewodnim był patron owego pojednania, czyli papież. Cel był cały czas ten sam: utrwalić przekonanie o wyjątkowym miejscu Polski i Polaków w świecie, żeby nikt nie miał w tej kwestii żadnych złudzeń. Zaczęto oczywiście i co dziwić nie powinno, od miasta Dancyś. Tu powstał pierwszy pomnik. Moda ta wkrótce rozlała się szeroką falą po innych częściach kraju. Po krótkim czasie każde miasto i wieś w Polsce miało swojego Jana Pawła, albo jako pomnik, albo jako nazwa ulicy lub ronda, albo jako patrona szkoły czy przedszkola. Za każdym rogiem czaił się ów niezwykły, bo polski, tak samo święty za życia jak po śmierci mąż.

Przykład Czerczila i jego słynnej papugi, dowodzi, że atmosfera miejsc rodzinnych, zwłaszcza gdy jest niezwykła, determinuje życie i wpływa na dzieje losów jednostek wrażliwych. Dlatego nie można się dziwić, że Dżak, którego rodzinnym miastem był Dancyś, stał się tym, kim się stał. Nie miał wyboru. Ktoś mógłby zapytać: „A co z Adamskim? Przecież on też był obywatelem miasta Dancyś? Dlaczego jego żywot jest taki pospolity?”. Odpowiedź w tym przypadku jest prosta. W związku tych dwóch młodzieńców Dżak odpowiadał za wrażliwość i wszelkiego rodzaju natchnieniowość, Atomizer dbał o rzeczy zwykłe. Tu nie było miejsca na to by się rozczulać, ktoś przecież musiał przytargać do domu zakupy, a nie ciągle zachwycać się fakturą tapet ściennych. Być może i była w nim odrobina

tęsknoty do wielkości i sławy, mająca swe źródło w atmosferze miasta, ale z konieczności stłumił ją, godząc się z rolą pomocnika w drodze ku Dżakowemu przeznaczeniu.

Pożegnawszy się z Lusią, chłopcy udali się do mieszkania. W drodze do domu, Dżak zapytał:

- I jak, co z tą stroną? Wiesz jak to zrobić?

- Nie bój żaby – odpowiedział Adamski – Już wszystko sobie obmyśliłem.

- Ja też. Wiesz, teraz po nagrodzie, to jestem sławny. Zaproszę znanych poetów i będziemy dyskutować o poezji – roztaczał wizje Dżak.

- Jesteś pewny, że chcesz z poetami rozmawiać o poezji? – zaniepokoił się Adamski. – Może jednak zrobimy takie forum, na którym wszyscy użytkownicy będą anonimowi, tak będzie lepiej.

- Zgłupiałeś – strofował go Dżak – Przecież ja jestem Dżak Menel, laureat konkursu im. Kościotrupków, nikt mi nie podskoczy. Czy ty nie rozumiesz, że ta nagroda zrobiła ze mnie specjalistę? Ja jestem najlepszy! Nie mam się co ukrywać za pseudonimami. Rozpierzdole w gadce każdego, kto będzie miał inne zdanie niż ja!

- Ciekawe jak?

- A srak! – warknął zdenerwowany brakiem wiary w swoje możliwości Dżak – Zwyczajnie! Kiedy ktoś mi podskoczy, to zaświecę mu dyplomem i po sprawie. Czy ty naprawdę nie rozumiesz – ciągnął – że teraz jestem autorytetem, że tylko ja mam rację? Kurwa, chłopie! Jestem drugim Miłozem! Właśnie dlatego nie potrzebuję pseudonimu. Wszyscy muszą wiedzieć, że mówię do nich ja, Dżak Menel.

Adamski nic nie odpowiedział. Resztę drogi przebyli w milczeniu.

31

Kiedy chłopcy zobaczyli w oddali znajome rysy starego kościoła, przyspieszyli kroku. Osiedle, na którym mieszkali leżało w bezpośrednim sąsiedztwie sakralnej budowli. Chcieli jak najszybciej znaleźć się we własnym mieszkaniu, zdjąć buty, napić się herbaty – jednym słowem wypocząć.

Kiedy znaleźli się między blokami, wybudowanymi jeszcze przez władzę ludową w latach siedemdziesiątych, które przypominały betonowe prostokąty, Adamski klepnął przyjaciela w plecy i powiedział:

- Nareszcie! Nasz hajmat. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

Jednak Dżak nie podzielał w tym momencie jego entuzjazmu. Jeszcze całkiem niedawno radował go widok psich odchodów, między którymi lawirował szukając skrawka trawnika nieskażonego fekaliami, na którym mógłby się położyć i porozmyślać o wszechświecie. Teraz całe otoczenie drażniło go. „Ten świat już nie jest moim światem” – myślał – „Zasługuję na coś lepszego. Jestem kimś, a każdy, kto jest kimś nie może mieszkać wśród psich gównien i szarych fasad bloków!”

- Ej, co ci jest? – zaniepokoił się Atomizer, który zauważył ten brak entuzjazmu.

- A nic, nic. Tak zamyśliłem się nieco – zbył go Dżak, który w tej chwili nie miał ochoty na ekshibicjonistyczne zwierzenia. Mimo, że Adamski był jego najlepszym przyjacielem, to czuł, że nawet on do niego jakoś już nie pasuje. Zamiast chłopaka w dresie u swego boku widziałby chętniej metroseksualnego, wychudzonego młodzieńca, także jak i on w okularkach. To poprawiłoby jego wizerunek medialny. Jak powszechnie wiadomo okulary dodają inteligencji tym, którzy je noszą. Są dowodem kultury czytania, bowiem powszechnie wiadomo, że to w trakcie wielogodzinnych lektur wzrok się przecież psuje i wymaga korekty. Adamski nie nosił okularów. Poza tym Dżak, jako wieszcz podskórnie odczuwał potrzebę zmiany. Był na nowej drodze. Na tej, która zarezerwowana była tylko dla niego jako laureata konkursu im. Kościotrupków. Adamski jako relikw epoki przedwieszczowskiej, powinien pozostać tam, gdzie jest. Oczywiście może on jeszcze być pomocny, na przykład w zbudowaniu strony, ale przecież nowy modus vivendi zobowiązuje, wymaga.

O tym nie chciał poinformować zainteresowanej osoby przynajmniej do czasu, gdy skonstruuje jego stronę internetową. Póki co, Adamski był jedynym człowiekiem, który robi to zupełnie za darmo, a Dżak nigdy nie należał do tych, co to niczym medyceusze włoskiego renesansu, szastali pieniędzmi na lewo i prawo, wspierając rozwój sztuk wszelkich. W tym zakresie miał raczej naturę chomika.

I kiedy we dwójkę dochodzili do ich klatki schodowej, ta sama dozorczyń, na której onegdaj Dżak z lubością trenował trzynastozgłoskowca, ujrzała ich, odrzuciła miotłę i wycierając brudne od ziemi dłonie w kufajkę pobiegnęła w ich kierunku krzycząc:

- Zaczekajcie chwilę!

Chłopcy przystanęli. Myśleli, że pani Zdzisia, bo tak miała dozorczyń na imię, chce ich poinformować o kolejnej podwyżce czynszu, uchwalonej przez zarząd spółdzielni. Jak się okazało nie to miała w planach. Zbliżywszy się do chłopców powiedziała do Dżaka:

- Czy wiesz, że byłeś wczoraj w teleekspresie? Całe osiedle o tym mówi. Mu się tu wszyscy cieszymy. Niech no cię uściskam,

Powiedziawszy to chciała objąć Dżaka, ten jednak odsunął się od niej o krok i powiedział stanowczym tonem:

- Szanowna pani, wypraszam sobie! Proszę się nie zbliżać, bo mnie pani jeszcze pobrudzi i niech pani od dziś zwraca się do mnie per pan.

Pani Zdzisia stanęła jak wryta. Nie wiedziała jak ma zareagować. Po czym, uznając że to jest żart ponownie wyciągnęła rękę do Dżaka mówiąc z uśmiechem:

- Nie żartuj, przecież znam cię od dziecka.

Dżak znowu się odsunął i powiedział:

- Wcale nie żartuję. Proszę się do mnie zwracać należycie, a jak już pani zechce mi podać rękę, to proszę ją najpierw umyć.

Dozorczyńni posmutniała. Z zawstydzeniem obejrzała dłoń. Faktycznie, nie była czysta. Ale przecież tego rodzaju brudu, który powstaje, gdy ziemia wciera się w zgrubiałą od pracy skórę, nie sposób domyć. Ona nie miała wydelikacyonnych dłoni intelektualistki. W milczeniu schowała rękę do kieszeni kufajki.

Reakcja Dżaka zdumiała nawet Adamskiego, który przyzwyczał się do tego, że jego przyjaciel ma obsesję na punkcie formy grzecznościowej. Jednak pani Zdzisia, którą znali od małego, w którą jako dzieci dla hecy rzucali kasztanami, zawsze mówiła do Dżaka na ty i nigdy Dżak nie protestował. To prawda, że Dżak jako licealista potrafił sprać dzieciaki z podstawówki za naruszenie swojej godności osobistej, ale pani Zdzisia to pani Zdzisia, ona była cały czas poza zasięgiem tej fanaberii. Przynajmniej do dnia dzisiejszego. Dlatego Atomizer ze zdziwieniem, ale także z pewnym niepokojem, spoglądał w tej chwili na przyjaciela.

Pani Zdzisia, jak to z prostymi ludźmi bywa, zamiast obrazić się i odejść, stała ciągle przed bohaterem wczorajszego wydania teleekspresu. Tym razem, zachowując odpowiednią formę i konieczny dystans, powiedziała:

- Wie pan, moja córka, ta, co to choruje na agorafobię i od lat nie wychodzi z mieszkania, bardzo pana podziwia. Ona też pisze wiersze. Prosiła, żebym ci... o przepraszam – poprawiła się – żebym panu pokazała jeden ze swoich wierszy, żeby pan powiedział, co o nim myśli.

Powiedziawszy to wyjęła z kieszeni dłoń, w której trzymała starannie złożony zwitek papieru, owinięty w folię śniadaniową, żeby się przypadkiem gdzieś w trakcie pracy nie pobrudził i nieśmiało podała młodzieńcowi.

- Szanowna pani, z chęcią zrecenzuję wiersz pani córki, ale pod warunkiem, że mi pani zapłaci. Stawka za wers wynosi siedemnaście złotych.

Pani Zdzisia nie bardzo rozumiała o co chodzi z tymi wersami. Ale, jako że zawsze miała przy sobie całe dwie dychy, tak na wszelki wypadek, to wyjęła portfel, wyciągnęła banknot i podając go Dżakowi powiedziała:

- Zgoda, proszę powiedzieć.

Dżak schował pieniądze do jednej z kieszeń czarnej kapoty, następnie wziął karteczkę, wypakował ją z folii i przeczytał wiersz w milczeniu. Po chwili namysłu, oddając wiersz pani Zdzisi powiedział:

- Grafomania.

- Czy mógłbyś... przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć, żebym to zapisała – poprosiła pani Zdzisia, która nie przywykła jeszcze do tego per pan.

- G R A F O M A N I A – powtórzył wolno i wyraźnie Dżak, śledząc wzrokiem ruch długopisu, którym notowała dozorczyńni jego uwagi na temat wiersza córki.

- Tylko tyle o wierszu? – zapytała pani Zdzisia.

- Tak, tylko na tyle. Na tyle panią stać. Równoważnik zdania traktuję jako wers – odpowiedział, wręczając zakłopotanej dozorczyńni trzy złote reszty.

Kobieta nie wiedziała co odpowiedzieć. Skąd mogła wiedzieć, co to jest równoważnik zdania, który na dodatek okazuje się być wersem. Nigdy nie interesowała się teorią języka. Nie to, żeby nie miała na to ochoty. Przeciwnie. Jako panna dużo czytała. Podobały się jej romanse. Opowieści o tym, jak chłopcy z bogatych rodzin zakochują się w biednych dziewczynach i w ukryciu biorą ślub, bo rodzice pana młodego nie akceptują wyboru syna. Pani Zdzisia, także biedna z domu, marzyła o swoim królewiczu. Jednak życie, jak to zwykle w życiu bywa, zamiast królewicza miało jej do zaferowania tylko syna sąsiada. Wspólnym mianownikiem

ich związku nie było głębokie uczucie, ale bieda, którą dzielnie znosili oraz jedyna córka. To ona była całym dorobkiem, największym sukcesem pani Zdzisi, zwłaszcza po śmierci męża. Zrobiłaby dla nie wszystko. Jednak w tej chwili kompletnie nie mieściło jej się w głowie, że za jedno słowo zapłaciła całe siedemnaście złotych. Mogła za to przecież kupić prawie półtora kilo schabu bez kości i podzielić go na kilka obiadów. No, ale czego nie robi się dla własnych dzieci zwłaszcza, gdy są chore.

Kiedy dozorczyńni miała odejść, niespodziewanie wtrącił się Adamski, który aż wrzał wewnątrz i czekał aż będzie miał okazję wygarnąć przyjacielowi, co myśli o jego zachowaniu w stosunku do pani Zdzisi.

- Ochujaleś stary? – warknął – Chociaż uzasadnij, że to grafomania. Nie odsyłaj pani z jednym słowem. Zapłaciła ci, to postaraj się trochę.

- Nie wtrącaj się – odpowiedział Dżak – To moja sprawa, ja jestem specjalistą od wierszy. Jeżeli mówię, że grafomania, to grafomania i nie ma co dyskutować.

- Ja pierdolę, doszczętnie zgłupiałeś. Nie poznaję cię – rzekł Adamski i zaczął otwierać drzwi klatki schodowej. Obracając głowę do przyjaciela dodał:

- Jak chcesz u mnie nocować, to przygotuj tysiąc złotych, tyle biorę za dobę – poczym zniknął w mroku korytarza.

Dżak zaskoczony gwałtowną reakcją Atomizera zaczął się zastanawiać: „Czemu on się przypierdala? Przecież wie, że od dawna chciałem zarabiać na wierszach. O co mu chodzi?”

Kiedy bił się w głowie z podobnymi myślami, w pewnym momencie przed oczami pojawiła mu się nagle zgarbiona sylwetka ojca i jego słowa: „Pamiętaj synu, jest tylko czerń i biel...”.

Dżak jakby się opamiętał. Spojrzał na dozorczyńnię, która była tak samo jak on zaskoczona gwałtownym odejściem Adamskiego i powiedział:

- No dobrze, powiem pani więcej. Proszę przygotować długopis. Już mogę?

- Chwilka... o teraz, już można.

- Uważam, że wiersz jest grafomański, ponieważ w tekście pojawia się słowo „kurwa”. Żaden prawdziwy poeta, nie wspominając o wieszczach nigdy nie użyje w tekście rzeczownika „kurwa”. Proszę o tym powiedzieć córce.

Dozorczyńni zapisawszy skrupulatnie uwagi, pożegnała się i wróciła do swojego zajęcia. Natomiast dumny z siebie Dżak udał się do mieszkania, w którym pewnie czekał już na niego przyjaciel. Chciał mu opowiedzieć nie tyle o swojej pierwszej, profesjonalnej recenzji wiersza, ale przede wszystkim o swoim dobrym uczynku. Każdy wieszcz jest przecież bezwzględnie dobry, on też takim właśnie jest. „Całe sto osiemdziesiąt jeden znaków, nie wliczając w to przerw na złapanie oddechu, całkowicie za darmo! Oto jaki dobry jestem! Oto moje poświęcenia dla świata!” – powtarzał w myślach dumnie.

32

Wchodząc na trzecie piętro, na którym znajdowało się ich wspólne mieszkanie, Dżak nie spieszył się. Dawał sobie czas, by wspiać się na swój własny ośmiotysięcznik samozadowolenia. „Tyle liter w słowach, tyle oddechów w jednej recenzji zupełnie gratis” – myślał. Wyobrażał sobie także jak bardzo ucieszy się chora córka pani Zdzisi, gdy przeczyta jego uwagi. Tym bardziej, że to nie byle kto, ale właśnie on, laureat tegorocznej edycji konkursu im. Kościotrupków, był jej pierwszym recenzentem. „Muszę o tym akcie dobroci powiedzieć Adamskiemu. Nie powinien mieć już do mnie pretensji” – postanowił w duchu. Kiedy pokonywał ostatnie stopnie schodów zauważył, że jego przyjaciel mocuje się z drzwiami do mieszkania.

- Zaciął się zamek? – zapytał.

- Nie, zamek działa, ale coś od środka blokuje drzwi. Pomóż mi.

- Poczekaj, ja spróbuję – zaproponował Dżak i zaczął całym ciałem pchać. Drzwi ustąpiły trochę, ale mimo wysiłku nie chciały się otworzyć.

- Dawaj! Razem! – sapnął wieszcz.

Po kilku chwilach mocowania się z materią nieożywioną, produktem mistrzów stolarki epoki socjalizmu, sosnowe drzwi w końcu skapitulowały na tyle, że mogła się przez nie przecisnąć jedna osoba. Adamski wszedł do środka, by zdiagnozować i jeżeli to możliwe usunąć przyczynę oporu. Okazało się, że była to olbrzymia sterta listów, która uzbierała się z listów wtykanych przez listonosza w szparkę w drzwiach. Chłopiec rozgarnął je nogą, tak by można było bez problemów otworzyć drzwi.

- Skąd tu tyle listów? – zapytał Dżak, który już bez problemów wszedł do mieszkania. – Pewnie to od moich fanów.

Atomizer wziął jeden z nich do ręki, następnie drugi i trzeci i powiedział:

- Faktycznie, wszystkie są adresowane do ciebie.

- A do kogóż by innego? Pewnie, że do mnie. To cena sławy. Założę się – kontynuował – że także znajdę tu zaproszenia do prestiżowych czasopism literackich. Chamy, nie chcieli drukować moich wierszy wcześniej, a teraz się proszą. A nie mówiłem ci, że przyjdą jeszcze w łachę, że będą mnie błagać? Ta nagroda wszystko zmieniła, nawet tych błaznów w redakcjach. Teraz każdy będzie chciał mieć choćby wers Dżaka Menela wydrukowany w swoim czasopiśmie. Banda matolew! Ale teraz to ja będę wybrzydzał! Teraz im pokażę, co to znaczy prosić się o druk! Nie wierzyli mi jak im mówiłem, że jestem dobry, to teraz będą musieli mnie błagać! Mało tego! Będą musieli mi słono zapłacić!

- Hmm – skomentował uwagę przyjaciela Adamski i dodał:

- To ty sobie tu poczytaj, a ja zrobię herbatę. Chcesz?

- Tak, tak – odparł Dżak, otwierając właśnie jedną z kopert.

Adamski udał się do kuchni i nastawił czajnik. Siadł przy stole, czekając aż się woda zagotuje. Spoglądał co jakiś czas w okno i myślał: „Nie poznaję go. Naprawdę, nie poznaję”. Z zadumy wyrwał go świst gwizdka. To znak, że woda się zagotowała. Odczekał jeszcze dwie, może trzy minuty, żeby pogotowała się chwilę, żeby po zalaniu herbaty nie było na niej pianki. Kiedy wsypywał do kubka przyjaciela cukier, koniecznie cztery łyżeczki, bo tak właśnie lubił, nagle w wejściu do kuchni pojawił się Dżak, trzymający w trzęsących się dłoniach garście otwartych listów. Mamrotał:

- To się nie dzieje naprawdę, to się nie dzieje naprawdę...

- Co się stało? – zapytał Adamski, przerywając rytuał przyrządzania herbaty.

- To tylko mi się śni, to tylko sen – mamrotał w dalszym ciągu Dżak, zbliżając się do kuchennego stołu. Następnie opadł na taboret i rzucił listy na stół.

- Czytaj – powiedział do Adamskiego.

Atomizer podniósł pierwszy list. Przeczytał go i odłożył. To samo uczynił z pozostałymi. Po czym wyszedł do przedpokoju i zaczął przeglądać inne, które leżały na stercie. Dopiero teraz zauważył, że wszystkie były w identycznych kopertach z czerwonym nadrukiem. Wszystkie takie same, od jednego nadawcy, żaden nie pachniał perfumami, w żadnej z kopert nie było czerwonych strigów rozentuzjasmowanych fanek, czy slipek gejowskich fanów. Zamiast tego druki opatrzone nagłówkiem: „Wezwanie do zapłaty”.

Okazało się, że nadawcą całej korespondencji był Rysiek Prowident. Gość, który wybawił ich onegdaj z opresji, gdy nie mieli z czego zapłacić za ogołocony wózek bufetowego w pociągu, gdy jechali do Krakofa. To jemu wówczas Dżak złożył zamaszty podpis na formularzu, zanim ten uiszczył odpowiednią należność. Wówczas ani Dżak, ani Adamski nie zdawali sobie sprawy z konsekwencji, które ich spotkają. Rysiek Prowident stosował trick stary jak wszystkie legendy o cyrografach spisanych na byczej skórze, parafowanych własną krwią.

Niczym legendarny Mefistofels, który czyhał aż jego dłużnik Twardowski uda się do Rzymu, tak i Rysiek czaił się wszędzie, dosłownie wszędzie, by tylko podstępnie zdobyć morderczą parafkę od niczego nie podejrzewających, naiwnych ofiar. Dawał ogłoszenia do prasy, reklamował się w telewizji, przyklejał ulotki na przystankach autobusowych, na słupach linii wysokiego napięcia. Jednym słowem robił wszystko by skusić człowieka. We wszystkich ogłoszeniach obiecywał: „Uwolnię cię od trosk! Nie potrzebuję do tego nawet zaświadczenia o zarobkach! Dla mnie możesz nawet nie mieć pracy, byle byś miał swój własny kąt! Na moją pomoc zawsze możesz liczyć! Zawsze pożyczę tobie pieniądze! Pewnie zapytasz, co chce w zamian? Przecież tyle ci oferuję. Nie chcę nic w zamian, no może za wyjątkiem twojego, nic nie znaczącego przecież dla każdego banku, bo masz zerową zdolność kredytową, podpisiku. Oni tobą gardzą, gdy jesteś w potrzebie, a ja się nad tobą pochylam i oferuję pomoc. Nawet, gdy leżysz schorowany w łóżku i nie stać cię na lekarstwa czy kosztowną terapię, nie przejmuj się. Nie musisz nigdzie chodzić, ja przyjdę do ciebie, by ci służyć”.

Ludzie, to tylko ludzie. Od początku istnienia na tym ziemskim padole zdradzali skłonność do ulegania wszelkim pokusom. Pierwsza miała charakter jabłczany. Niby nic, bo to przecież jeden owoc, na dodatek kwasior. Ale to, co się później stało powinno być nauką dla całej ludzkości. Stało się jednak inaczej. Jak to zwykle z naukami dla ludzkości bywa, i ta jabłczana pozostała tylko nauką, która szybko przepadła w archiwum historii rodu ludzkiego. Później kusiła wiedza. Ale nie taka zwykła, lecz wiedza uniwersalna, wiedza o wszystkim. W zamian za nią wielu decydowało się podpisać pakt z mocami piekielnymi. Kończyli oni przeważnie, bo należy uwzględnić casus Twardowskiego, którego od konsekwencji wybawiła szkaradna małżonka, w ogniu piekielnym, w którym smażyć się splecają do dnia dzisiejszego swoje długi.

Godnym uwagi w tym wszystkim było to, że oprócz człowieka, który ulegał pokusie, był zawsze ktoś, kto kusi. Na początku był oczywiście wąż, który w miarę upływu czasu zmienił się w istotę niemalże ludzką, gdyby nie ogon i kopyta zamiast stóp.

Nadeszły w końcu czasy, w którym ani jabłka, ani wiedza nie wystawiały na pokuszenie człowieka tak, jak pieniądze. Stosy brzęczących monet, pliki banknotów – niby nic w porównaniu z jabłkiem, które można było przecież zjeść, by nie paść z głodu a co dopiero z wiedzą uniwersalną, która dawała nieograniczoną moc każdemu, kto ją posiadał. W każdym razie przedmiot pokusy ewoluował. Zresztą nie tylko on. Ewoluował także kusiciel. Tu proces ewolucji, trochę spóźniony, gdy porówna się go z ewolucją człowieka, także nastąpił. O ile na początku, gdy pierwszy człowiek przechadzał się w pozycji wyprostowanej po niebiańskim ogrodzie, kusiciel miał formę płaza, tak później zauważalny jest bardzo intensywny proces jego rozwoju. Zaczął, niczym klasyczny drapieźnik upodabniać się do swych ofiar. I o ile jeszcze kilka stuleci temu jego organizm zachował szczątkowy ogon, kopyta i rogi, tak dziś jako Rysiek Prowident jest on niemalże nie do odróżnienia od przeciętnego homo sapiens. Tylko wprawne oko specjalisty w dziedzinie paleontologii jest w stanie go rozpoznać, chociaż

nie zawsze. Nie mają jednak z tym problemu ofiary Ryśka. To przede wszystkim ich relacje, na podstawie których sporządzono rysunki pamięciowe Ryśka Prowidenta, uchroniły ludzkość od zagłady. Opis był zawsze ten sam: „Nienagannie ubrany, miły, z uśmiechem na twarzy. W ręku trzyma czarną, skórzaną aktówkę. Na ramieniu ma torbę z laptopem. Całkowity profesjonalista. Często rozmawia przez telefon komórkowy, ale nigdy w trakcie pierwszej rozmowy z klientem. Nie chce, by mu przerywano, że niby tak bardzo szanuje klienta”. Znamionym pozostaje, że każdy tego typu opis kończył się słowami: „I co ja teraz zrobię? Sznur na szyję! Tylko to mi pozostało!”. Jak widać ewoluował kusiciel, ewoluował także przedmiot pokusy, ale konsekwencje nie – pozostały takie same.

Adamski z Dżakiem nigdy nie interesowali się takimi rzeczami, jak historia pokus rodu ludzkiego. Zaprzętały ich inne kwestie. Jeden marzył o karierze wieszca, drugi analizował tajniki informatyki. Trudno się dziwić, że wpadli w jedną z najstarszych pułapek zastawianych od wieków na człowieka przez istotę, która także od wieków w tym się specjalizowała.

Atomizer wrócił do kuchni. Dżak ciągle siedział przy stole z wzrokiem wlepionym w przestrzeń, cały czas powtarzając:

- Śnię, ja tylko śnię...
 - To nie jest sen – przerwał mu Adamski – Trzydziesto procentowe odsetki są naliczane co godzinę. Jesteś dłużny....
 - Kurwa! Wiem ile! – przerwał mu Dżak i zaczął szlochać.
 - Co ja mam teraz zrobić?...buuuuu.....Jaki diabeł mnie podkusił by to podpisać?...buuuuu.. Co ja mam zrobić?...chlip, chlip....Tylko sznur na szyję i żegnaj świecie! ...buuuu
- Atomizer podszedł do przyjaciela, przytulił go do siebie i starał się pocieszać:

- Damy jakoś radę.

Dżak jednak cały czas szlochał. Był w rozpacz.

- Słuchaj – powiedział nagle Adamski – Przecież ty dostałeś pieniądze od tych Kościotrupków. Tym spłacisz kredyt.

Dżak otarł rękawem zapłakane oczy i zasmarkany nos. Spojrzał na przyjaciela i powiedział:

- Ale ja chciałem kupić tobie komputer, żebyś zrobił mi stronę w internecie.
- Od komputera ważniejsza jest spłata – odpowiedział Adamski – Każda minuta zwłoki zwiększa zadłużenie.
- A strona? Ona jest dla mnie taka ważna...
- Tym się nie przejmuj – przerwał mu przyjaciel – Stronkę zrobię dla ciebie w kafejce internetowej.
- Naprawdę?
- Tak – odpowiedział, spoglądając Dżakowi w oczy, w których właśnie pojawił się błysk nadziei.

Dżak wybiegł z mieszkania. Całą drogę na pocztę przebył sprintem. Zapłacił. Ale miał świadomość, że pozbył się całej gotówki. Nie miał żadnych oszczędności. „To nic, dobrze, że już po wszystkim” – powtarzał sobie w duchu, opuszczając gmach urzędu pocztowego. Nie wiedział jak bardzo się myli, że to był dopiero początek jego drogi krzyżowej zapoczątkowanej złożeniem podpisu na kartce podsunętej mu przez Ryśka Prowidenta. Ryśka, we wszystkich ewolucyjnych stadiach, nie interesowała nigdy gotówka. Ona była dla ludzi, dla naiwniaków. Ryśka interesowały tylko dusze.

33.

Po miesiącu Dżak zapomniał o incydencie ze stertą wezwań do zapłaty. Choć za każdym razem, gdy listonosz pukał do drzwi czuł się trochę niepewnie. Na początku tak się bał, że gdy zadzwonił domofon Dżak wpadał w histerię. Wówczas uspokajał go Adamski. On także otwierał drzwi, do których jego przyjaciel czuł traumatyczny wstręt.

Z czasem zaczęły pojawiać się listy od wielbicieli. Napisane starannie, na drogiej papeterii z papieru czerpanego. Nierzadko skropione perfumami, nierzadko także dołączone do nich były pukle włosów, przewiązane czerwoną kokardką. To sprawiło, że ego Dżaka zaczęło się odbudowywać. Czuł się coraz pewniej. Zaczął wychodzić z mieszkania.

W tym czasie Adamski w osiedlowej kafejce internetowej regularnie budował stronę internetową, którą obiecał przyjacielowi. Starał się bardzo, żeby była możliwie czytelna i intuicyjna w obsłudze. Zastanawiał się jakie wybrać tło. Zdecydował się na kolor biały, żeby było widać wyraźnie czarne literki. Kiedy ukończył swoje dzieło i biegł do domu, chcąc jak najprędzej obwieścić radosną nowinę przyjacielowi, stała się rzecz dziwna. Po wejściu do mieszkania zastał Dżaka siedzącego bez ruchu na kanapie, wpatrującego się w telewizor z pilotem w dłoni.

- Dżak, co się stało? – zapytał, uważnie rozglądając się po pokoju w obawie, że jego przyjaciel ponownie padł ofiarą demonicznej Moni Fryzjerki. Nigdzie nie zauważył tym razem mrocznej istoty. Dżak nie zareagował, na pytanie. Adamski lękając się o kondycję psychiczną przyjaciela, usiadł na sofie tuż obok, złapał go za rękę i ponownie zapytał:

- Ej, co ci jest? Wszystko w porządku?

Przyjaciel ponownie nic nie odpowiedział a tylko zmieniał chaotycznie kanały. MTV, Naszynał Dżeografik, TVP 1, TVP 2, Polsat, TV Kultura, Kino Polska, Telewizja Trwam, VIVA, VOX, RTL... i tak dalej, i tak dalej. Adamski chciał odebrać Dżakowi pilota, żeby wyrwać go z transu. Ten jednak ścisnął go mocno w dłoni. W końcu odezwał się:

- Patrz, tu pokazują głodujące dzieci w Afryce. Widzisz jakie mają grube brzuchy?

- No.

- Napchane w trzy dupy, ale oficjalnie, to one głodują. Zaraz pokażę ci numer konta, żebyś je ratował. Tylko ciemniak da się nabrać.

- Hmm... – zamyślił się Adamski.

- A tu – kontynuował Dżak, zmieniając kanał z Naszynał Dżeograik na MTV - Dżenifer Lopez macha pośladkami. Zaraz będzie okładka jej nowej płyty i jej cena. Jak chcesz, to możesz kupić, nie ruszając się z domu.

Atomizer chciał coś powiedzieć, lecz przyjaciel nie dopuścił go do głosu:

- Na jedyne Anna Dymna eksploruje polskie kalectwo. Patrz jak się stara, żeby mówić ciepłym i ścisłym głosem, żeby tylko wzbudzić litość u człowieka. Dobra z niej aktorka, stara polska szkoła.

„Faktycznie – pomyślał Adamski – mówi tak, jak ksiądz w trakcie spowiedzi. Cicho i łagodnie. Albo jak te wszystkie miłe głosy w automatycznych biurach obsługi klienta”. Wiedzieć należy, że Atomizer namiętnie dzwonił na różne infolinie, by posłuchać głosów.

- Taaa... dobra szkoła – ciągnął Dżak – Ale też za chwilę zobaczysz numer konta bankowego, żebyś tylko wpłacił chociaż złotówkę, by ocalić komuś życie. Tak jakby złotówka mogła uratować życie – ironizował.

- Ty, albo zobacz na dwójkę. Kiedy na jedyne Dymna zadaje kalekom pytanie: „Co by było gdyby?”, albo: „Jakie masz marzenia?” lub: „Czy wierzysz w Boga?”, w tym samym czasie leci kolejny odcinek z 007. Jak się skończy, to jakaś dupa, równie miłym głosem jak Dymna, oznajmi ci, że możesz sobie kupić kolekcjonerską edycję wszystkich filmów z Bondem w kartonowym opakowaniu. Trzeba tylko zapłacić. I znowu numer konta.

- A na Polsacie – kontynuował Dżak,, zmieniając kanał - Także w tym samym masz reklamę nowego BMW. Tu nie podają konta, ale zapraszają cię do lokalnego salonu sprzedaży. Znowu miły głos powtarza: stać się, kup mnie.

Adamski słuchał Dżaka z nieukrywanym zdziwieniem ale i z zainteresowaniem. Nie wiedział cały czas do czego zmierza, co chce mu pokazać urządzając tą prezentację przeglądu stacji telewizyjnych. Dżak jednak daleki był od konkluzji. Przełączając ponownie na Naszynał Dzeografik powiedział:

- O! Patrz jaka niespodzianka, już nie ma głodujących dzieci, teraz masz o ginących gatunkach. Je też możesz uratować. Masz do wyboru: albo ocalisz dzieciaka w Afryce, albo jakiegoś zwierza. Ty! – zawołał nagle podniesionym głosem – Zobacz jak ten wieloryb ucieka hehehhehe – zaśmiał się, pokazując na wielkiego ssaka morskiego, ściganego przez japońskich wielorybników, którzy z pokładu potężnego okrętu strzelali węń harpunami. Adamskiemu zrobiło się żal zwierzęcia. Chciał poprosić o to, żeby Dżak zmienił program. Ten jednak uprzedził jego myśl, przełączając na kanał Telewizji Trwam.

- Co ty mi tu pokazujesz? – zapytał Adamski, oglądając na ekranie telewizora księdza, który na żywo odmawiał trzecią dziesiątkę różańca.

- No patrz, patrz, zaraz zobaczysz.

- Co zobaczę?

- Przekonasz się, przekonasz. Cierpliwości – uspokajał przyjaciela Dżak.

W końcu ksiądz ciepłym głosem powiedział: „A teraz drodzy wierni, zgromadzeni przed telewizorami, wspomóżcie nasz dzieło. Pomóżcie, aby głos Boży trafił do wszystkich, którzy na niego czekają. Czekamy na wasze datki. Podaję numer konta dla wpłacających z zagranicy...” – podyktował kilka cyferek i dodał: „A teraz podaję numer konta dla wpłacających z kraju...” – i tu też padł rząd cyferek.

- Też wytrenowany – powiedział po chwili milczenia Adamski – Gada jak Dymna.

- Co nie? – skwitował Dżak. - Ty, ale najlepsze jaja to były jak ciebie nie było. Na Polsacie puścili Listę Schindlera, taki film o Żydach w czasie drugiej wojny światowej. Całkiem niezły. Pokazali, jak szkopy dorabiali się na Żydach. Wiesz co było najlepsze w tym wszystkim?

- Co? – zapytał Adamski – Też podali numer konta, żeby ratować Żydów?

- Nie, nie. Numeru konta nie było, ale w trakcie filmu było ze sto reklam. To makaronu, to piwa, to butów sportowych, to nowej gazety.

- A co w tym złego?

- Co złego? Mija kilkadziesiąt lat, ale ciągle znajduje się ktoś, kto chce na nich zrobić majątek. Paranoja! – skwitował Dżak, wyłączając telewizor.

Zapadła cisza. Przyjaciele siedzieli obok siebie na sofie. Każdy z nich myślał o czymś innym. Adamski zadawał sobie w duchu jedno pytanie: „O co chodzi?”. Jego przyjaciel, układał sobie w głowie teorię na temat telewizji. Z zadumy wyrwał ich hałas. Przez ściany dobiegał ich głos z sąsiedniego mieszkania. Ktoś się awanturował. Słuchać było standardowe „Kurwa, wypierdalaj szmato!” oraz równie standardowe: „Pies cię jebał głupi chuju!”. Po gwałtownym: „Teraz pizdo przegięłaś!” usłyszeli dźwięk tłuczonych talerzy, z którym mieszał się kobiecy krzyk: „Ratunku!!”.

Chłopcy byli już przyzwyczajeni do rodzinnych awantur u państwa Krudelitas. Za każdym razem, gdy sobie popili to wyznawali sobie miłość w sposób gwałtowny. Zwłaszcza po dziesiątym, gdy listonosz przynosił rentę panu Krudelitasowi, relacje w ich związku nabierały tempa. Nigdy jednak nie dochodziło do rękoczynów. Dlatego zaniepokojony Adamski zapytał Dżaka.

- Słuchaj, może coś się stało? Chodź, pomożemy kobiecie.

I już podnosił się z sofy, gdy Dżak chwycił go za ramię i powiedział:

- Eee, da sobie radę. Zawsze dawała, to czemu tym razem miało być inaczej?
 - Czuję, że tym razem coś się stało niedobrego – odpowiedział Atomizer, starając się wyrwać z uścisku. Dżak trzymając przyjaciela rzekł:
 - Siadaj, spokojnie. Jak coś się stało, to jutro przyjedzie telewizja. Pokażą nasz blok, przed którym będzie stał Piotr Kraśko, zadając pytanie: „Czy musiało dojść do tej tragedii?”. Później poda ci numer konta pomocy ofiarom przemocy w rodzinie. Będziesz mógł pomagać sobie do woli.
 - Ale tam naprawdę coś się stało. Puść mnie! – powiedział podniesionym tonem Adamski, który miał gdzieś to, czy Kraśko przyjedzie z kamerą czy nie. W tej chwili chciał zwyczajnie pomóc sąsiadce.
- Dżak zwolnił uścisk. Pozwolił przyjacielowi wystąpić w roli ewentualnego rozjemcy lub ratownika medycznego. Kiedy Adamski ubierał buty, powiedział do niego z sofy:
- Powiedz mi tylko, jak to jest? Biegiesz na pomoc pani Krudelitasowej, a nie obchodzą cię kalekie, głodujące dzieci? Jak to jest, że olewasz zagładę gatunków? A już zupełnie nie rozumiem, jak możesz przedkładać pomoc tej pijaczce, nad pomoc w krzewieniu słowa Bożego, o które apelował przed chwilą ksiądz!?
- Dżak chciał jeszcze coś powiedzieć. Adamski jednak tego nie słuchał. Ubrawszy się wybiegł z mieszkania.
- A pomagaj tym pijaczkom, pomagaj – powiedział do siebie Dżak i włączył ponownie telewizor. Oglądając XXX TV, spisał sobie numer konta, który dodatkowo szeptała roznegliżowana pani, czołgająca się przed kamerą i pomyślał: „Ehh, skoro on w tej chwili pomaga Krudelitasowej, to ja też pomogę komuś”. Następnie wypełnił druk przelewu.

Dochodziła dwudziesta trzecia. Adamski, wsłuchując się w miarowe tykanie budzika nie mógł zasnąć. Cały czas miał przed oczami pijanego pana Krudelitasa, który z kuchennym nożem w ręku pochylał się nad leżącą w krwi małżonką, by zadać kolejny cios. Nie tylko to makabryczne zdarzenie spędzało mu sen z powiek, ale przede wszystkim wewnętrzna pretensja do Dżaka, który go przytrzymywał, gdy chciał ruszyć z pomocą. Nieustannie w myślach zadawał sobie pytanie: „Dlaczego mu się wcześniej nie wyrwałem? Zdążyłbym! Kurwa! Zdążyłbym!”. Nie ma nic gorszego niż wyrzuty sumienia. Przewracając się z boku na bok nawet nie spoglądał na drugą połowę łóżka, którą zajmował Dzak.

Istnieje takie powiedzenie, że miłość jeżeli tylko jest prawdziwa zwycięży wszystko. Przekazywane jest ono z pokolenia na pokolenie zwłaszcza w kręgach niepoprawnych romantyków, którzy wierzą w istnienie czegoś takiego jak miłość, jako rodzaj metafizycznego uczucia a nie synonim ruchu posuwistego w kierunku dół-góra, dół-góra i tak trzydzieści razy w tempie trzy czwarte. Jednak domniemana siła tego uczucia, skonfrontowana z prozą życia, kapituluje. Nierzadko bowiem zdarza się coś, coś o tak niebywałym ładunku emocjonalnym i znaczeniowym, po którym wszelkie kochanie staje się udręką. Staje się torturą, o której chce się szybko zapomnieć, albo czymś, co wzbudza głęboką odrazę. Dla przykładu.

Była sobie kiedyś bardzo ładna kobieta, która pokochała z wzajemnością bardzo ładnego mężczyznę. Wszystko układało się jak należy, jak to się mówi: pasowali do siebie. Tak się kochali, że postanowili w końcu, jak to zwykle w takich przypadkach bywa, sfinalizować swoje uczucie. Wziąć ślub, przeżyć noc poślubną. A dodać należy, że para ta żyła w tych czasach, w których przedślubny seks był nie do pomyślenia. Młodzieniec kupił zatem pierścionek i dał na zaręczyny, które uroczyste ogłaszał ksiądz z ambony. Gdy wychodzili z kościoła już oficjalnie zaręczeni, wszyscy znajomi, rodzina i rodzice składali im gratulacje. Nikt nie miał wątpliwości, że przed tą niebywale zgraną i pasującą do siebie parą stoi całe życie otworem. Nic nie będzie w stanie tej dwójce stanąć na ich wspólnej drodze, żadna trudność nie pokona siły tego związku. Przyjąwszy gratulacje, podziękowali wszystkim za życzenia. Teraz mogli już oficjalnie trzymać się za ręce, co natychmiast uczynili. Każde postanowiło sobie w duchu, że nigdy tej dłoni nie wypuści. Ani w chorobie, ani w nieszczęściu, ani w śmierci.

Świeżo upieczony narzeczony, zgodnie z ówczesnym zwyczajem zaprosił młodą narzeczoną do kawiarni, na ciastko i herbatę. Dziewczyna poszłaby za nim nawet do piekła, bez wahania zgodziła się. Usiedli przy stoliku u Biklego i natychmiast zaczęli snuć wizje na temat przyszłości. Pan opowiadał o tym, że wybuduje ładny dom, pani, że chce mieć przynajmniej dwójkę dzieci. Kiedy podszedł do nich kelner by odebrać zamówienie, zatracona w sobie para początkowo go nie zauważyła. Dopiero, gdy ów trzeci raz odchrząknął, dwójka ocknęła się z miłosnego letargu i zażyczyła dla siebie kawę oraz ciastka. Kelner zniknął, by za chwilę pojawić się z pachnącą kawą i ciepłymi jeszcze ciastkami. Młodzi w tym czasie ponownie zapadli w miłosny marazm, trzymając się za ręce. W końcu zjawił się pan ze srebrną paterą w dłoni, z której wprawnym gestem podał filiżanki i talerzyk. Całą przestrzeń między nimi wypełniła mgiełka aromatu świeżo palonej kawy i waniliowa woń kruchych ciastek. Czy można sobie wyobrazić lepsze okoliczności do kochania? Chyba nie. Ale właśnie wtedy, gdy każde z nich było epicentrum nieokiełznanej miłości, zdarzył się rzecz straszna, czyli takie właśnie „coś”, po czym kochanie staje się niemożliwe. Otóż młodzieniec sięgnął po jedno z ciastek i zamoczył je w kawie. Następnie nasączoną a przez to zdeformowaną słodycz włożył sobie do ust. Z drugim ciastkiem uczynił podobnie, tylko tym razem podał ukochanej. Dziewczyna, gdy zobaczyła gąbczaste, ociekające kawą ciastko, które przed chwilą włożył sobie do ust jej luby, a które teraz ona sama musi jeść, poderwała się od stolika. Ten widok

był dla niej nie do zniesienia. Co więcej, świadomość, że wybranek jej serca ma tak fatalny nawyk kulinarny, nie pozwalała jej więcej myśleć o kochaniu. Zamiast wielkiego, czerwonego serca miała w tej chwili w głowie obraz trzęsącego się ciastka, z którego kapała brązowa ciecz. Wybiegła z kawiarni, pozostawiając narzeczonego samego przy stoliku. Na drugi dzień zerwała zaręczyny. Błagana na kolanach przez lubego, by wyjawiał powód tej nagłej zmiany, powiedziała, że nie może go już dalej kochać. Po tym, co zobaczyła w kawiarni, jest on już dla niej innym człowiekiem, całkiem obcym.

Młodzieniec ze złamanym sercem, jak to zwykle w takich przypadkach bywa, wyjechał jak najdalej tylko mógł i słuch wszelki o nim zaginął. Dziewczyna po jakimś czasie wyszła za mąż, jednak prawdziwie kochała tylko tego pierwszego, zanim ów nie nakarmił ją moczonymi w kawie ciastkami u Biklego. Tak oto wielka metafizyka miłości skapitulowała przed kawiarnianym menu.

W relacjach Dżak-Atomizer także pojawiło się coś. Ich własne moczone ciastko.

W Adamskim potęgowała się niechęć granicząca z odrazą do przyjaciela, z którego jeszcze całkiem niedawno był tak dumny, z którym dzielił wszystkie troski i problemy. Zresztą już od jakiegoś czasu był świadkiem dziwnej metamorfozy, którą ten przechodził. Gdyby miał określić moment, od którego jego przyjaciel zaczął się przepoczwarzać, bez wahania wskazałby na ten dzień, gdy to zastał go kuchni z Monią Fryzjerką. To od tej chwili jego Dżak stał się inny. Jednak mimo to ciągle go kochał, trwał przy nim w nadziei, że to stan przejściowy, że powinien być przy przyjacielu i ratować go od złego. Jednak dzisiejsze popołudnie, a w szczególności brak reakcji Dżaka na wołanie o pomoc pani Krudelitasowej, były dla niego przełomem w ich związku, ich własnym punktem, który przekroczyli, a po którym nie było już możliwości powrotu. I pomyśleć, że tak się dzisiaj cieszył. Wyobrażał sobie radość przyjaciela, gdy powie mu o ukończonej stronie internetowej. A tu takie coś. Okazało się, że zamiast przytulać się do Dżaka w tej chwili woli przytulać się do zimnej ściany, która mimo to wydawała mu się cieplejsza niż serce przyjaciela, przy którym analogiczny organ bajkowej królowej śniegu jest wulkanem w szczytowej fazie wybuchu.

„Nie możemy być razem” – pomyślał, kolejny raz przewracając się z boku na bok.

Dżak także nie spał, starając się odkryć tajemnicę telewizji, którą teraz był zafascynowany. Nie zaprzętała go niewspółmierność przekazu, czyli to, że w tej samej chwili na różnych kanałach przekazywane są sprzeczne treści. Tu śmierć, tam głód, tu reklama konserwy mięsnej, tu pan Bóg, a tu ginące gatunki. To nie wydawało mu się tak ciekawe, jak wspólny mianownik tych przekazów, a mianowicie numer konta bankowego, który każdorazowo pojawiał się w trakcie sprzecznych emisji, oraz ładunek emocjonalny owych przekazów. Interesował go także fenomen pilota do telewizora. Miał ochotę o tym wszystkim porozmawiać z przyjacielem.

Zorientowawszy się, że Adamski nie śpi, zapytał by się upewnić:

- Śpisz?

Atomizer nie miał ochoty w tej chwili na nocną pogawędkę. Pomyślał jednak: „Nie chce mi się z nim gadać. Ale skoro sam się o to prosi, to nie będę czekał do rana. Teraz mu powiem, że to koniec z nami”. Dlatego odpowiedział:

- Nie.

Jego „Nie” zabrzmiało w tej chwili tak ozięble i prowokująco, że każdy normalny człowiek zorientowałby się, że coś nie tak. Dżak jednak nie zwrócił najmniejszej uwagi na ton głosu przyjaciela i zapytał jak gdyby nigdy nic:

- Pamiętasz jak za komuny w niedziele, zwłaszcza w święta puszczały o dziewiątej bajki disneja w telewizji?

- Tak – zdawkowo burknął Adamski, chcąc zakończyć tę część rozmowy, by jak najszybciej oznajmić Dżakowi, że nie mogą być już parą.

- Teraz wiem już dlaczego. Też chciałbyś wiedzieć? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, kontynuował:

- Teraz mnie olśniło, to takie genialne. Wiesz, że komuchy nienawidziły kościoła. Żaden aparatczyk, nawet na najniższym szczeblu, nie odważył się przestąpić progów przybytku bożego. To nic, że ci sami ludzie teraz kolanami szlifują bruk na pielgrzymkach do Częstochowy. Ale mniejsza o to. W każdym razie władza Polski ludowej walczyła z klerem jak mogła i gdzie mogła. Stosowano różne metody. Ale najbardziej perfidna była ta, którą przed chwilą odkryłem.

Atomizera, mimo wcześniejszego braku ochoty na dysputę łózkową, teraz zaciekała opowieść o metodologii walki metrializmu z idealizmem w wydaniu polskim. Odwrócił się przodem do przyjaciela i zapytał:

- A jaka?

- Stary, to telewizja i bajki disneja z myszką miki puszczane w święta od samego rana! – odpowiedział podniesionym głosem Dżak.

- A co ma wspólnego jakas tam kreskówka z walką z kościołem.

- Hehehe – zaśmiał się Dżak – To nie była jakaś tam kreskówka, ale bajka disneja. Pamiętasz gumy do żucia. Te „Donaldy, z historyjkami w środku”

- No pamiętam, zawsze je zbierałem.

- A co było na tych obrazkach?

- Myszka miki, kaczor donald, pies gufi i takie tam.

- No właśnie! To bohaterowie bajek disneja! – powiedział Dżak - A powiedz mi jeszcze po co to zbierałeś?

- Hmm... – zastanowił się Adamski – Każdy zbierał. Wszystkie dzieciaki w przedszkolu miały na tym punkcie fioła. Pamiętam, jak się je wymieniało z kolegami. Te błyszczące papierki cały czas pachniały gumą. Wąchało się je i wymieniało. To była taka dziecięca waluta. Kto miał rzadsze był kimś. Później były gumy „Turbo”, one też miały obrazki, takie z różnymi samochodzikami, one także pachniały ale brzoskwiniami. Pamiętam, zawsze mi mama kupowała po wypłacie jedną...

- Mniejsza o „Turbo”, też je pamiętam – przerwał mu Dżak – Ale jak myślisz, co jest takiego wartościowego w obrazkach, na którym namalowana jest chodząca na dwóch łapach mysz, z wielkimi uszami, która gada i robi w chuja wszystkich dookoła? Albo powiedz, co jest wyjątkowego w gadającej kaczcze, która przebiera się w kostium marynarza i na dodatek jest fajtlapą? Dlaczego w ogóle zbierałeś te historyjki?

Atomizer zamyślił się chwilę i odpowiedział:

- Fajne były, zabawne...

- A dlaczego nie zbierało się wówczas obrazków z bajki o żwirku i muchomorze? – zadał kolejne pytanie Dżak, nie pozwalając dokończyć odpowiedzi Adamskiemu.

- Bo nie było takich gum z obrazkami. Zresztą, to kurewsko nudna i brzydka bajka była.

- Ha! – krzyknął Dżak – Widzisz, nie było takich gum i bajka była nudna. A tu masz „Donaldy” z kolorowymi i ciekawymi historyjkami. Czy nie widzisz w tym nic podejrzanego?

- A co tu ma niby być podejrzanego. Nie jestem Borewiczem, by w takich głupotach widzieć coś podejrzanego – odpowiedział lekko poirytowany Adamski. – Tak po prostu się złożyło i tyle, nie ma o czym dyskutować – skwitował.

- Mylisz się, mój drogi, myli się.

- No to weź mnie oświeć ekscelencjo – powiedział już całkiem złośliwie Adamski.

Dżak puścił mimo uszu ową ostentacyjną złośliwość i zapytał:

- Czy słyszałeś kiedyś o odruchu Pawłowa? T o taka historyjka o psie, który się ślinił za każdym razem, gdy słyszał dźwięk dzwonka.

- A co to ma do rzeczy? – zapytał już wyraźnie zdenerwowany Adamski, który nie miał ochoty na popisy intelektualne Dżaka.

- Zaraz się dowiesz. Otóż pies Pawłowa został tak uwarunkowany, że nie musiał widzieć pokarmu, by ciekła mu ślinka. Już na sam dźwięk dzwonka, który zawsze brzęczał, gdy wcześniej dawano mu żreć, z pyska leciała mu ciecz. Kapujesz!? Dzwonek kojarzył mu się z czymś przyjemnym, z jedzeniem. Taki sam myk wykorzystwała władza ludowa. Rzucono na rynek słodkie, pachnące gumy „Donald” z historyjkami w środku, na których imperialistyczna mysz, kaczką lub pies robili w jajo wszystko i wszystkich. Dzieci, które kupowały te gumy stały się takimi pieskami Pawłowa. Wyobraź sobie: kwadratowa guma traci swoją twardość między twoimi zębami, słodycz i aromat wypełnia całą twoją mordę, a ty w tym samym czasie oglądasz sobie zabawną historyjkę na obrazku. Podświadomie wytwarza się w tobie odruch przyjemności, słodyczy, którą kojarzysz tylko z bohaterami disnejowskiej kreskówki...

- Ej, coś ci się pomyliło – przerwał Adamski – Władza ludowa nie była chyba aż tak głupia, by programować dzieci na imperialistyczne bajki! Rozumiem, gdyby chodziło o żwirka czy muchomora, ale nie o myszkę miki! Po co miałyby sobie sama strzelać w łeb?

- Jasne, że nie była głupia. To było wszystko zaplanowane. Co do najmniejszego szczegółu. Wszystko po to, by pokonać kościół...

- Eeee, teraz to ściemniasz – kolejny raz przerwał mu Atomizer.

- Nie ściemniam. Słuchaj i nie przerywaj. Sam powiedziałeś – kontynuował – że pamiętasz kreskówki disneja w niedziele o dziewiątej, a zwłaszcza w dni okresie świąt. A przecież w żaden inny dzień, jak właśnie w niedziele i święta ludzie tłumnie zbierali się w kościołach. Ksiądz wówczas nawoływał z ambony do zmiany, do rewolucji, by obalić w końcu komunistyczną władzę. Ludzie oczywiście tego słuchali. O czym władza dobrze wiedziała. Ale wyobraź sobie taką sytuację: Jesteś młodym ojcem. Masz dość władzy ludowej i wybierasz się na mszę, by przyłączyć się do tobie podobnych i usłyszeć od gościa w koloratce, że już najwyższa pora obalić naczelników i pierwszych sekretarzy. Golisz się, stroisz w niedzielny garnitur. Ponaglasz małżonkę, by pospieszyła się w łazience, bo chcesz jeszcze zrobić siku, zanim znajdziesz się w domu bożym i żeby nic tobie nie zakłócało percepcji treści kazania. Patrzysz, a tu nagle twoje dziecko jeszcze w piżamce siedzi sobie przed telewizorem i ogląda kreskówkę disneja, która właśnie leci na jedyńce. Opierdasz żonę, że dzieciak jeszcze nie jest gotowy do wyjścia, że już dawno dzwonili. Małżonka opierdała ciebie, bo przecież jest równouprawnienie i tak samo mógłbyś zadbać o dzieciaka, a dzieciak w tym czasie zaczyna ryczeć. Histeryzuje bo, po pierwsze: hałasujecie i nie słyszy, co właśnie mówi myszka miki do gufiego; po drugie, bo wie, że nie pozwolicie mu dokończyć oglądania bajki, że za chwilę będzie musiał iść do kościoła, w którym trzeba klękać a od tego bolą kolana; po trzecie i to jest najważniejsze: bo oglądając bajkę disneja odczuwa przyjemność, która została w nim zaprogramowana, gdy jadł gumy „Donald”. Koniec końców zostanie jednak zaciągnięty pod przymusem do wielkiego budynku, w którym nie ma ogrzewania, w którym stoi stado ryczących ludzi, w którym będzie musiał klękać. Zaczyna płakać, że chce do domu, gdy wszyscy dokoła się modlą. Wyobraź sobie setkę takich ryczących dzieciaków na jednej mszy. Ich rodzice palą się ze wstydu, inni zamiast słuchać politycznego kazania koncentrują się na dziecięcym płaczu. Klecha natomiast jest wkurwiony, bo właśnie ogłasza, że władza ludowa jest bee, ale nikt go nie słucha. Wszyscy patrzą na szarpiące się do wyjścia dzieciaki. Poza tym nawet nie może się wygadać, bo ich ryk zagłusza jego głos. Mało tego, że polityczne kazanie szlag trafił. Okazuje się, że jak tylko skończy się msza dzieciak będzie się wrywał, robił wszystko by jak najszybciej wrócić do domu, bo może jeszcze załapie się na końcówkę bajki. Nie pozwoli rodzicom pogadać o politycznej sytuacji w kraju, ponarzekać na komunę. Po powrocie do domu faktycznie załapuje się ale tylko na napisy końcowe. O tym, co przegapił dowiaduje się dopiero w

przedszkolu, od rówieśników, których rodzice są działaczami partyjnymi i dlatego nie musiały iść do kościoła.

Wówczas potęguje się nim wstręt do kościoła jako instytucji, która uniemożliwiła mu napawanie się przyjemnością czerpaną o oglądania kreskówek o myszce miki. Proste jak swiński ogon! Co nie?

- Coś w tym jest – powiedział Adamski – Ale wytłumacz mi jedno, dlaczego akurat imperialistyczna kreskówka?

- Bo jest ładna, kolorowa. Jest w niej perspektywa. Bo wówczas była zaprzeczeniem swych socjalistycznych odpowiedników. Bajki bloku sowieckiego były jak średniowieczne obrazy, płaskie, bez wyrazu. Coś się na nich poruszało, niby coś tam było, ale jednak robotnicza asceza estetyki, nie mogła konkurować z przepychem i dynamiką bajek zachodnich. Pamiętaj, w walce liczy się tylko skuteczna broń, a nie to, kto ja produkuje. A poza tym zwróc uwagę, że taki sam mechanizm występuje. Masz w rękę kawałek plastyku z przyciskami. Niby decydujesz, który kanał wybrać. Klikasz pilotem. Daje to tobie poczucie władzy. Bo w końcu to ty masz pilota, ty jesteś królem. Jednak wszędzie to samo. Niezależnie od tego, gdzie przełączysz zawsze pojawi się numer konta. W rzeczywistości nie masz wyboru, jesteś konsumentem.

- No tak – odparł Adamski.

- Ale czas najwyższy przestać być konsumentem. Trzeba produkować. Musze się dostać to telewizji. Chcę mieć swoje własne stado psów Pawłowa. Wiesz jak by to było fajnie?

To wyznanie jeszcze bardziej pogłębiło przepaść między Adamskim a Dżakiem. Atomizer nie potrafił pojąć, jak po tym wszystkim, co usłyszał o telewizji jego przyjaciel chce w dalszym ciągu robić karierę medialną. „Skąd się w nim to wzięło?” – zadawał sobie pytanie w myślach. Tym czasem rozmarzony Dżak, chciał się przytulić do niego, ale ów odsunął się i zmienił temat:

- Zrobiłem ci stronę – powiedział.

- Naprawdę? Jest gotowa?!

- Tak. Nazywa się nieszuflujatakdzak.pl.

- A dlaczego tak dziwnie? A nie na przykład dzakwieszcz.pl?

- Tylko taka nazwa ze słowem Dżak była wolna. Wszystkie były już zajęte.

- Aha – odpowiedział Dżak.

35

Nazajutrz Dżak udał się na zajęcia. Była środa, zatem zgodnie z planem po teorii literatury miał zajęcia z wychowania fizycznego. Prawdopodobnie, po prawie nie przespanej minionej nocy nie wstałby dziś nawet z łóżka, gdyby nie ten fatalny wuef. Tyle się nasłuchał od kolegów starszych roczników, że o ile ćwiczenia z logiki można śmiało olewać, tak półtoragodzinnej bieżni po boisku, to lepiej nie, bo można zakończyć swoją przygodę z uniwersytetem. Faktycznie, gość, z którym miał wychowanie fizyczne się nie cackał. Był to typowy mięśniak po AWF-ie. Kwadratowy łeb, ogolony na języka, kwadratowa szczęka, w ogóle cały był kwadratowy. Wiecznie się wydierał i kazał wszędzie biegać. Nie miał w sobie nic z czytelności. Dżak, wykonując bez sprzeciwu jego polecenia, wyobrażał sobie, że w tych chwilach, gdy pot ściekał mu strużkami po twarzy i plecach, jest jednym z więźniów obozu koncentracyjnego, który dostał się do brygady dowodzonej przez sadystycznego kapo. Nawet, kiedy dowiedział się, że ten prymitywny osiłek zrobił doktorat na temat wpływu wietrzeń sali gimnastycznej na trajektorię lotu piłki do kosza z pola za trzy punkty, to i tak nie zmienił o nim zdania. Myślał wówczas: „Pacyfikator getta warszawskiego, niejaki Dirllewanger też miał doktorat!”.

Najgorsze jednak były zajęcia na basenie, kiedy musiał przebierać się we wspólnej szatni w kąpielówce. Wówczas cała grupa ściągała gacie a przed oczami Dżaka pojawiało się nagle stado majtających się penisów, z których niektóre bezwładnie obijały się o uda, wydając przy tym charakterystyczny dźwięk plaskania. Koledzy z grupy nie robili sobie nic z nagości. Przechadzali się tam i z powrotem, rozmawiali, żartowali i śmiali się. Dżak jednak nie potrafił jednak oderwać wzroku od męskich organów płciowych, których w tej chwili cała gama pojawiła się przed oczami. Jego instykt uważnego obserwatora i diagnosty świata zewnętrznego, podpowiadał mu, że musi gromadzić wszelkie wrażenia. Nawet te najbardziej kuriozalne. To właśnie one były najlepszą pożywką dla jego wyobraźni jako pisarza-poety, kiedy to siadał przed biurkiem i kombinował, co by tu napisać. Sięgał wówczas do tych pokładów pamięciowych, w których utrwalone zostały te najdziwniejsze obrazy bezpardonowo zaczerpnięte ze świata realnego i opisywał je. Warto wiedzieć, że była to metoda nad wyraz skuteczna, dzięki niej dostał wyróżnienie w dziedzinie literatury: „Paszport Polsatu”.

O ile przed tym, zanim odebrał nagrodę w konkursie im. Kościotrupków i publicznie ogłosił, że jest gejem, żaden z jego kolegów z grupy nie dziwił się, gdy Dżak z matematyczną wręcz uwagą wgapił się w ich podbrzusza. Ba! Nikt nie dziwił się także, gdy któregoś razu Dżak przyniósł ze sobą do szatni geodezyjny sprzęt do pomiaru wielkości, by z oddali zmierzyć penisy wszystkich zebranych, a następnie z tych wyników wyciągnąć średnią w centymetrach. W tym miejscu należy dodać, że to właśnie na podstawie tych badań, Dżak obliczył statystyczną długość prącia męskiego dla kultury indoeuropejskiej, która lotem błyskawicy obiegła nie tylko środowiska naukowe, ale cały świat. Do dziś zresztą siedemnaście i pół centymetra, podaje się jako stałą „p” w badaniach antropologicznych.

Jednak teraz chłopcy podejrzliwie obserwowali swego kolegę. Dżak miał świadomość, że jest spalony w grupie, że to koniec jego badań. By zaoszczędzić sobie ewentualnych szykan, atmosfery znaczącego milczenia, gdy wejdzie do przebieralni a w wszyscy nagle zamilkną, załatwił sobie u znajomego laryngologa zwolnienie z zajęć na basenie. Powód: „przewlekłe, ropne zapalenie zatok czołowych”. „To zawsze działa” – powiedział mu lekarz, przyjmując kopertę z łapówką. „A jak by ciebie ktoś pytał” – dodał, gdy Dżak opuszczał jego gabinet – „To mów, że masz cały czas katar, że cię głowa boli i że smarkasz takim szarozółtym, galaretowatym czymś”.

Zwolnienie lekarskie oczywiście poskutkowało, przynajmniej jeżeli chodzi o zajęcia na basenie. Nie zwalniało go jednak od tortur biegania za piłką na sali gimnastycznej.

Oczywiście i tu ujawniły się represje w stosunku do jego osoby. Kiedy jego koledzy dzielili się na drużyny, jego nikt nie chciał wybrać. Zostawał sam. W takich sytuacjach kilka razy interweniował pan od wuefu i przydzielał go do jednej z drużyn. Jednak w trakcie rozgrywki nikt nie chciał podać do niego piłki. Nawet, gdy był na uprzywilejowanej pozycji, sam na sam z bramkarzem i kiedy wydzierał się w niebogłosy: „Podaj! Podaj!”. W końcu ten atletycznie zbudowany nauczyciel akademicki, który powinien być raczej ochroniarzem niż pedagogiem, zorientował się, że mimo jego wysiłków, Dżak i tak nie zostanie zaakceptowany przez kolegów. Umówił się zatem na audiencję u jego magnificencji, by się poradzić, co też ma zrobić. Jednak nawet rektor nie widział żadnej możliwości rozwiązania tej patowej sytuacji. Normalnie w takim przypadku zwolniłby Dżaka z obowiązku uczęszczania na zajęcia z wychowania fizycznego, ale bał się eskalacji konfliktu. Znając wojowniczą naturę studenta Dżaka Menela, który mógłby udać się do prasy, by ogłosić, że jest dyskryminowany przez władze uniwersyteckie za swoją odmienność seksualną, zdecydował, że najlepiej będzie, jak Dżak w trakcie, gdy inni będą grali w piłkę nożną, dostanie skakanę i sobie poskacze tak półtorej godziny. Tak się też stało. Dżak na każdym wuefie skakał i skakał. Na początku to cieszył się nawet, że nie musi grać w nogę. Nigdy nie widział głębszego sensu w tej grze. Myślał: „Co to za farsa?! Kilkunastu spoconych facetów biega po boisku za piłką i marzy tylko o tym, by kopnąć ją w kierunku bramkarza”. Po jakimś czasie zorientował się, że półtoragodzinne skakanie w miejscu też nie ma w sobie większego sensu. I byłby pewnie szybko się zniechęcił do owego ćwiczenia, którego jedynym efektem były nieustannie twardniejące pośladki, zakwasy w udach i łydkach oraz postępująca utrata ogólnej wagi ciała, gdyby nie stado studentek pedagogiki, które każdorazowo się do niego przyłączały.

Powszechnie wiadomo, że studentki kierunków pedagogicznych łączy jeden cel. Nie jest nim pragnienie pogłębiania wiedzy tudzież inne wartości z pogranicza nauk, ale pragnienie szybkiego zamążpójścia. Wybierając ten kierunek studiów niewiasty te szkołą swoje umiejętności opiekuńcze, by w przyszłości być najlepszymi z matek. Oprócz wspólnego celu, łączy je także determinacja jeżeli chodzi o jego realizację. Każda chce być ładna, każda chce być piękna, każda chce być przedmiotem pożądania. Dlatego z wielkim poświęceniem i niebywałą sumiennością wykonują najbardziej złożone ćwiczenia gimnastyczne po to tylko, aby ich ciała były coraz piękniejsze. A wiadomo, że żadne inne ćwiczenie, jak właśnie skakanie na skakance poprawia jędrność pośladek, nóg oraz działa szczególnie odchudzająco, dlatego też dołączały się do Dżaka, gdy ten skakał i skakał. Co więcej, podziwiała go w pewien sposób. Kiedy inni studenci z mozołem rzeźbili bicepsy bądź też uganiaли się w tym szowinistycznym sporcie jakim jest piłka nożna, za biedną piłką, która nomen omen jest rodzaju żeńskiego, ten chłopiec beztróska skakał na skakance. To naprawdę im imponowało. Dlatego też na każdym wuefie Dżak nie był już nigdy samotny. Był on i stado grubasek rytmicznie podskakujących góra-dół.

Jednak dzisiaj Dżak nie miał ochoty na tego rodzaju towarzystwo, zwłaszcza studentek pedagogiki. Kiedy miały zajęcia z teorii literatury postanowił, że nie pójdzie dzisiaj ćwiczyć. Piekliła go ciekawość tej strony, o której zeszłej nocy wspominał Adamski. Dlatego pierwszy raz w swojej studenckiej karierze postanowił pójść na wagary. A wiedzieć trzeba, że Dżak pilnie uczęszczał na każdy wykład i nawet potrafił dopytywać się w sekretariacie instytutu o przyczynę odwołania zajęć, gdy któryś z profesorów nie przyszedł. W tym zakresie był utrapieniem kadry naukowej, która przecież często nie pojawia się w pracy po ciężkiej libacji alkoholowej, lub też – co dziwić nie powinno - zajmuje się popychaniem nauki do przodu i nie chce marnować czasu na edukowanie kolejnych pokoleń studentów. A wiadomo przecież, że każdy szanujący się student ma wiele innych i ciekawszych rzeczy do roboty, niż uczęszczanie na wykłady, zwłaszcza te, które odbywają o wczesnych godzinach porannych.

Dżak jednak był inny. Od momentu immatrykulacji studenta Menela, każdy pracownik musiał pojawić się na zajęciach, bo w przeciwnym razie zgłaszał ich absencję w instytucie

bądź w dziekanacie. A to z kolei groziło sankcją o charakterze dyscyplinarnym. Nie to, żeby lubował się w donosach. Przeciwnie. Każdorazowo w takich sytuacjach powodowała nim troska o stan zdrowia nieobecnego wykładowcy. Pytał wówczas samego dziekana: „Panie profesorze, czy pan profesor X jest, w którym mamy gramatykę opisową jest chory? Nie przyszedł dziś na zajęcia, może się coś stało?”. Kiedyś nawet, gdy zapomniał zerwać kartkę z kalendarza i myśląc, że jest piątek pobiegł na wykład, który zgodnie z planem odbywał się w tym dniu o ósmej rano. Ogarnął go wielki strach, kiedy okazało się, że cały uniwersytet jest zamknięty. Nie było nawet pana dziekana. Szukał na zamkniętych drzwiach ogłoszeń, bo być może uchwalono tak zwane godziny rektorskie, o których go nie poinformowano. Jednak takiej karteczki nie znalazł. Zaczął rozglądać się, czy czasami wokół gmachu uniwersytetu nie krążą uzbrojeni żołnierze z kordonu sanitarnego. Przecież mogło się zdarzyć, że jedno z centrów nauki polskiej, którego on był elementem, zostało zaatakowane wirusem ebola. Jednak także nigdzie nie zobaczył panów w gumowych skafandrach, z maskami gazowymi na twarzach. Wpadł w panikę. Obiegłszy budynek dwa razy dookoła, nie mogąc się do niego dostać, postanowił zadzwonić do samego ministerstwa. Udał się do najbliższej budki telefonicznej, wyciągnął z kieszeni cztery złote, wrzucił je do automatu i wybrał kierunkowy do Warszawy i następnie numer ministerstwa edukacji. Tam o zgrozo też nikt się nie zgłosił, zamiast tego włączył się automat zgłoszeniowy. Dżak rozłączył się, wybrał ponownie numer i znowu to samo: zamiast człowieka automatyczna sekretarka. Po czterech kolejnych próbach postanowił wysłuchać automatu do końca. I kiedy usłyszał w słuchawce: „...dzisiaj jest sobota. Oddzwonimy po niedzieli. Dziękujemy za informacje”, odetchnął z ulgą. Przypomniał sobie, że nie zerwał kartki w kalendarzu i pomyślał: „Ale ciamajda jestem”.

Ale do rzeczy. Kiedy zajęcia dobiegły końca, Dżak poszedł do kafejki internetowej. Zapłacił panu z obsługi całe złoty pięćdziesiąt, co wystarczało na godzinę serfowania. Usiadł przed komputerem, włączył przeglądarkę internetową i wpisał adres, o którym minionej nocy wspominał Adamski: www.nieszufluktadzak.pl. Strona ładowała się kilka chwil, by w końcu pojawić się w całej okazałości. Duże, wyraźne czarne napisy, na białym tle. Żadnych grafik. Całkowita asceza, taka jak w elementarzach dla dzieci, żeby się nie pogubiły w trakcie swoich pierwszych przygód z literami. „Super!” – podziwiał w duchu dzieło swego przyjaciela - „Postarał się”. Kliknął na napis „FORUM”, pojawiło się puste miejsce. „Tu będę prowadził dyskusje o literaturze i poezji. Taaa... prawdziwe dyskusje” – marzył, uśmiechając się pod nosem. Kliknął następnie na ikonkę z napisem „WIERSZE”. Tu też było puste miejsce. „A tu może coś opublikuję, żeby ludzie widzieli jak wiesz wiersze pisze” – myślał. Zdecydował także, że niezwłocznie powiadomi wszystkich znanych mu poetów, włącznie z Lusią, o istnieniu takiej strony, żeby i oni się dołączyli do rozmów. „Ale ja tu będę szefem! To moja strona!” – postanowił w duchu.

Produkt internetowej pasji przyjaciela podziwiał całą godzinę. Był po dużym wrażeniu, którym chciał jak najszybciej podzielić się z Atomizerem. Dlatego po wyjściu z kafejki udał się prosto do domu.

W tym czasie, gdy Dżak pierwszy raz w życiu wagarował, Adamski korzystając z chwili samotności, bił się z myślami. Już w nocy chciał powiadomić przyjaciela, że ich związek nie ma sensu. Jednak opowieść o tym, jak to przy pomocy gumy do żucia i kreskówek PRL zniweczył trud ewangelizacji społeczeństwa polskiego tak go zainteresowała, że zdecydował odłożyć rozmowę na następny dzień. Dzwonek do drzwi wyrwał go z refleksji, w trakcie której rozważał wszystkie możliwe scenariusze rozstania z przyjacielem, w poszukiwaniu tego najbardziej łagodnego. Otworzył. To był Dżak.

- Wspaniale przyjacielu, wspaniale! – powiedział, ściągając czarną kapotę, która od jakiegoś czasu stała się niezbędnym elementem jego stroju wyjściowego – Jesteś naprawdę mistrzem!

- Widziałeś stronę? – zapytał Adamski, który domyślał się źródeł entuzjazmu i wybornego samopoczucia przyjaciela.

- Jasne! Jest świetna! Chodź tu do mnie, niech no cię uściskam – odpowiedział Dżak, wyciągając ramiona.

Adamski nie miał ochoty na pieszczoty. Jeszcze niedawno w tej sytuacji z chęcią przystałby na propozycję dotykania się pisiorami przy lampce szampana w zaciszu alkowy, ale teraz, kiedy zdecydował o odejściu, każda czułość ze strony Dżaka byłaby dla niego torturą nie do zniesienia. A wiedzieć należy, że Adamski nigdy nie nauczył się rozdzielać sfery seksu od sfery uczucia. Dla niego seks bez miłości był nie do pomyślenia. W tej kwestii był zatwardziałym konserwatystą do tego stopnia, że nigdy, ale to przenigdy nie całował się na pierwszej randce. Innymi słowy: miał zasady. Jego przyjaciel miał inne podejście do spraw związanych z seksem. Jak wiadomo był realistą a że od realizmu droga do pragmatyzmu jest krótka, szybko zorientował się, że skrót „przez łóżko do sukcesu”, jest niebywale skuteczny. Należy tylko odpowiednio wybierać, z kim i kiedy pójść do łóżka lub też komu jaki rodzaj usługi seksualnej wyświadczyć. Ktoś mógłby pomyśleć, że Dżak Menel był kurwą. Tak nie było. Każda szanująca się kurwa przynajmniej raz w życiu oglądała film z Riczardem Girem i Dżulią Roberts, w którym to Gir jako bogaty biznesmen zakochuje się w Roberts-prostytucie, ale ta mimo wszystko nie chce się całować. Wymiguje się jak tylko może, chociaż Gir jej płaci i kiedy ten pyta się, dlaczego nie chce go pocałować, ona opowiada, że aby kogoś pocałować musi tego kogoś pokochać. Po tym seansie wszystkie prostytutki świata, zdecydowane są zaprząć do pracy swoje waginy, odbyty, piersi, zrobią nawet laskę, ale całowanie jest wykluczone. Dżak nie miał tego rodzaju oporów, gdy w grę wchodziła jego kariera. Pocałowałby z jęczyzkiem nawet jamnika profesora Willga, gdyby nie to, że ów w zamian za poparcie, zdecydował się na inny rodzaj usługi. Dlatego zdziwił się, gdy Adamski nie chciał paść w jego objęcia. Zapytał:

- Co się dzieje?

-Nic, nic – odpowiedział przyjaciel – Musimy porozmawiać.

Dżak usiadł na taborecie w kuchni i obserwował uważnie przyjaciela. Myślał: „Czyżby rozmyślił się? Nie da mi tej strony? To byłoby najgorsze!”.

Atomizer usiadł na przeciwko i powiedział:

- Słuchaj, musimy się rozstać....

- Ale jak to? – przerwał mu – Jak to rozstać?

- Nie pasujemy do siebie – odpowiedział smutno Adamski wlepiając wzrok w blat stołu.

Dżak cały czas uważnie obserwował przyjaciela. Mimo wrodzonej wrażliwości nie popadł w spazmatyczny płacz i panikę. Od dawna nosił się z zamiarem zmiany partnera na osobę bardziej medialną, o lepszej, łagodniejszej aparycji. Nie chciał o tym jednak wspominać Adamskiemu w obawie, że ten nie zbuduje mu strony internetowej. Teraz jednak strona była już gotowa, dlatego cieszyła go w duchu decyzja przyjaciela, zwłaszcza, że to on wyszedł z propozycją rozstania się. Musiał teraz tak wszystko rozegrać, aby w Adamskim zakiełkowało poczucie winy, że zostawia go samego na pastwę losu, żeby tylko zostawił mu stronę.

- Chcesz mnie zostawić? – zapytał.

- Tak... tak będzie lepiej.

- Ale jak ja sobie dam radę z tym wszystkim sam? – zapytał Dżak, używając najstarszej sztuczki świata, która w skrócie polegała na tym, by przedstawić siebie jako ciamajdę, który nie ma szans w pojedynkę zmierzyć się z życiem i wyjść z tego starcia nie tyle zwycięsko, ale bez większego uszczerbku. Głównym założeniem tej metody jest odwołanie się do uczucia empatii partnera, by ten poczuł się winny, gdyż to on decyduje o rozstaniu, i jako winny decyduje oddać cały wspólny dorobek życia, jako zadośćuczynienie, które ma ukoić ból rozłąki. Jest to prosta sztuczka i jak wszystkie proste sztuczki i ta bezwzględnie skutkowałą.

- Ale ja ci będę pomagał, dalej będę twoim przyjacielem, tylko wiesz... nie będziemy już razem.

„Idzie jak po maśle” – cieszył się w duchu Dżak. Nie chciał dać tego jednak poznać po sobie, żeby Atomizer nie zorientował się, że nie decyzja o rozstaniu nie zrobiła na nim wrażenia. Dlatego postanowił udać płacz. Położył głowę na stole, zakrył ją ramionami i zaszlochał:

- Buuu, buuuu.... ale ja nie chcę, żebyś odchodził... buuu...buuu

Adamski wstał, podszedł do płaczącego Dżaka, pogłaskał go po głowie i powiedział:

- Nie płacz, proszę nie płacz...

- Ale...buuuu.... nie możesz mi tego zrobić...buuu...po tym wszystkim...buuuu...co przeszliśmy...buuu – symulował Dżak, starając się dobrze odegrać rolę. Miał tylko jeden problem. Otóż mimo tarcia powiek jego oczy nie chciały łzawić. „Jak to robią ci aktorzy w filmach, że na zawołanie płaczą? Jak to robią!?” – myślał, starając się znaleźć sposób sztucznego wywołania łzawienia, które niewątpliwie dodałoby autentyzmu temu przedstawieniu, które właśnie rozgrywał.

Adamski usiadł obok przyjaciela, położył dłoń na jego plecach, szturchając go delikatnie powiedział:

- Już dobrze, nie płacz. Zostanę...

„Kurwa! Co!?” – spanikował w duchu Dżak – „Szybko! Wymyśl coś! Szybko!”. Po chwili, podniósł głowę, spojrzał na przyjaciela i powiedział:

- Wiesz, nie chcę żebyś się dla mnie poświęcał. Zaslugujesz na swoje życie, na normalność...

- Właśnie przyjacielu, tu chodzi o normalność. Wiesz, że tego nam ostatnio zabrakło. Tych rytuałów porannych, wspólnych rozmów przy kubkach gorącej kawy, nawet tych pełnych czułości wojen na poduszki....

- Tak, zmieniłem się – podsumował Dżak, zmieniając teraz taktykę. Obmyślił sobie, że w sytuacji, gdy powodowany litością partner, decyduje się mimo wszystko zostać przy nim, należy uspokoić jego ewentualne wyrzuty sumienia. Dlatego też dodał:

- Nie bój się o mnie, dam sobie radę i przecież chyba będziesz dalej moim przyjacielem, będę mógł na ciebie liczyć?

- Tak! Tak! Oczywiście! – odpowiedział ucieszony takim obrotem spraw Adamski – Zawsze będę twoim przyjacielem.

- W pewnym sensie, to ciebie nawet rozumiem. Ta decyzja o rozstaniu....

- Wiesz, naprawdę nie ma sensu tego ciągnąć, ale jeżeli nalegasz, to zostanę – starał się uspokoić przyjaciela Adamski.

- Nie, nie potrzeba. Dorosły jestem, dam sobie radę. Nie jestem w końcu małym chłopcem – odpowiedział Dżak, starając się aby ton jego głosu nie był zbyt smutny ani też nazbyt obojętny. Starał się wykorzystać w tej chwili wszystkie swoje talenty aktorskie.

- Cieszę się, że mnie rozumiesz, że akceptujesz moja decyzję. A tak się bałem....

- Niepotrzebnie – przerwał mu Dżak – Przecież zawsze byłem po twojej stronie, jestem twoim przyjacielem. Zawsze rozumiałem i szanowałem twoje wybory. Od tego są przyjaciele co nie?

- Jesteś naprawdę super! – powiedział Atomizer i uściśną po raz ostatni mocno przyjaciela. Dżak w tym momencie był z siebie dumny. Nie dlatego, że zdobył się na tak wyrozumiały gest, jakim jest akceptacja decyzji najlepszego przyjaciela, ale dlatego, że jego popis aktorski odniósł oczekiwany skutek. W tej chwili miał to, na co od dawna czekał. A mianowicie: własną stronę internetową oraz uwolnił się od mało medialnego kochanka. Sukces na całym froncie.

36

Jak do tej pory los był dla Dżaka niebywale łaskawy. Wszystkie jego plany spełniały się bez najmniejszego problemu. Miał własny portal poetycki w internecie; Atomizer odszedł i miał wolną rękę jeżeli chodzi o życie osobiste; nadeszły spodziewane zaproszenia od czasopism literackich, które chciały teraz drukować jego wiersze. Pojawiły się pierwsze wymierne korzyści i rzec by można: szło jak po maśle. On jednak nie spoczął na laurach. Chciał czegoś więcej. Pragnienie sławy totalnej wymagało działania na wszystkich możliwych frontach działalności kulturalnej. Tu wzorem były dla niego gwiazdy telewizji polskiej, w szczególności niejaki Piter Gąskowski.

Dżak zawsze się dziwił, jak to jest, że ten sam aktor w jednym programie opowiada o kwestiach ostatecznych, w innym jako bohater serialu gra lekarza medycyny, by za chwilę wcielić się w rolę dowcipnisa opowiadającego drętwe kawały rozbawia publiczność, która śmieje się, gdy zapala się czerwona lampka z napisem: „APLAUZ”. Kompletnym zaskoczeniem dla niego było, gdy w tej wybuchowej mieszance wcieleń, ciągle ten sam człowiek nagle zaczynał wydobywać z siebie dźwięki, co szumnie nazwane zostało „patrz, jak oni śpiewają”.

I właśnie nie kto inny, ale Gąskowski był dla niego fenomenem, jeżeli chodzi o multiplikację ról medialnych. Piter był bowiem raz podróżnikiem, zwierającym się ze swoich przygód w Tajlandii, gdzie jadł smażone w głębokim oleju uszy świńskie. To z kolei pojawiał się w jakimś filmie w drugoplanowej, ale jednak, roli. To znowu wcielał się w postać szalonego medyka w serialu, albo też nagle stawał się śpiewającym konferansjerem i skakał na scenie jak sam Elvis. Dżaka nie dziwiła ta cała gama talentów skumulowana w jednej osobie. Zdawał sobie sprawę z istnienia jednostkowych przypadków tak zwanych „ludzi renesansu”, którym bez wątpienia był Piter Gąskowski. Zaintrygowało go coś innego. A mianowicie to, że aktor ten jest zwyczajnie brzydki. Fizjonomią i posturą przypomina baśniowe krasnoludy, które całe życie spędzały na drążeniu kolejnych odcinków chodników w swych górskich kopalniach złota. Jak pojawia się na scenie w obcisłych marynarkach, to pierwsze co widać, to wielgaśny brzuch. Na dodatek jest łysy, chociaż ostatnio strzyże się na zero, by łysina nie rzucała się tak bardzo w oczy. Ale przecież to nie pomaga, każdy widzi, że jest łysy. Innymi słowy: jest grubym, łysym, skacząco-falszującym gościem, który myśli, że jest fajny. „Czy oni w tej telewizji nie mają już naprawdę ładnych aktorów?” – myślał Dżak za każdym razem, gdy był atakowany przez wizerunek Pitera-spaślaka – „Tylu młodych ludzi każdego roku kończy szkoły aktorskie, tylu wśród nich Bradów Pitów. Dlaczego ich nie wezmą do telewizji, tylko wciskają gdzie popadnie takich Gąskowskich?”.

Można by pomyśleć, że w chwilach takich refleksji Dżak, jako uważny obserwator rzeczywistości, buntował się wewnątrz. Że narastało w nim poczucie pewnej niesprawiedliwości, gdy na każdym kanale oglądał te same nieestetyczne mordy aktorskie w różnych wcieleniach, podczas gdy kolejne roczniki młodych absolwentów szkół filmowych emigrowały za chlebem bądź to do Irlandii, by zmywać sterty tłustych naczyń, bądź do Holitud i tam, często nocując w mobilnych willach z kartonów po pomarańczach czekać na swoje pięć minut. Jednak nie to interesowało Dżaka. Analizował on karierę medialną Gąskowskiego z innego powodu. Sam szykował się do uderzenia medialnego i starał się odkryć mechanizmy rządzące światem kamer. Postać Gąskowskiego była w tym wszystkim dla niego rodzajem motywacji. Myślał: „On jest brzydszy ode mnie, jest głupszy. Potrafię ułożyć jednorazowo więcej zdań złożonych niż on, nawet na temat świńskich uszu. Dlaczego ja nie miałbym występować w telewizji?”.

Któregoś razu, gdy po odejściu Adamskiego, spędzał kolejny samotny wieczór przed telewizorem, postanowił działać. Zadzwoił do biura numerów telekomunikacji polskiej i poprosił o numer do siedziby TVP przy ul. Woronicza w Warszawie.

- Halo, dobry wieczór – powiedział, gdy odezwał się głos w słuchawce – Nazywam się Dżak Menel...

- Dobry wieczór, a ja nazywam się pan Heniek – przerwał mu nagle rozmówca – Jestem tu ochroniarzem na nocnej zmianie. Proszę zadzwonić jutro w godzinach od ósmej do szesnastej, bo teraz nikogo nie ma.

- Proszę pana – odpowiedział Dżak, nie dając się tak zwyczajnie byle komu spławić – Pan mnie chyba źle zrozumiał. Nazywam się Dżak Menel...

- I co z tego? – burknął głos w słuchawce.

- Jestem laureatem konkursu Kościotrupków, to najbardziej prestiż...

- Słuchaj pan – przerwał mu pan Heniek – Według mnie, to mógłbyś pan być nawet kosmitą, teraz nikogo tu nie ma. Wszyscy poszli do domu. Niech pan zadzwoni jutro.

Dżaka zaskoczyła reakcja ochroniarza. Do tej pory wszystkich paraliżowały słowa „laureat konkursu im. Kościotrupków”. Ten jednak osobnik zdawał się być całkowicie odporny na słowo-klucz, które działało w różnych redakcjach czasopism o tematyce kulturalnej. Ba! Nawet redaktorzy naczelni gazetek dla gospodyń domowych, gdy do nich dzwonił z propozycją pisania felietonów na dźwięk jego imienia zrywali się, stawiali na baczność i strzelali obcasami, oddając mu należne honory. Heniek ochroniarz był jednak inny. To dało Dżakowi do myślenia. Zorientował się, że jeszcze długa droga przed nim, że jeszcze czeka go trud upowszechnienia wśród prostego ludu aury swojej sławy tak, by każdy, a nie tylko artyści, padał przed nim na kolana. „Kwantyfikator generalny musi zacząć działać!” – pomyślał, ale nie miał ochoty w tej chwili uświadamiać Henia. Zamiast tego zapytał:

- Jak to nikogo nie ma? Przecież właśnie oglądam jedynekę i leci teraz teleturniej z Gąskowskim. Niech pan nie kłamie, tylko mnie połączy z prezesem.

- Panie, to z taśmy. Z choinki się pan urwałeś? – zakpił ochroniarz.

- Jak to z taśmy? – zdziwił się Dżak.

- Panie, nie mam zamiaru panu tego tłumaczyć. Zadzwon pan jutro – odpowiedział Heniek i się rozłączył.

Dżak jeszcze kilka razy tego wieczoru próbował dodzwonić się na Woronicza, lecz bezskutecznie. Henio włączył automat zgłoszeniowy, który za każdym razem odzywał się, gdy chłopiec wybrał numer. Po kilkunastu nieudanych próbach postanowił cierpliwie poczekać do jutra. Jako, że było już późno poszedł spać, układając sobie przed snem plan rozmowy z samym prezesem TVP, z którym miał nadzieję porozmawiać.

Na tym etapie owej przefantastycznej historii musi pojawić się pytanie: „Co Dżaka pcha tak mocno do telewizji? Skąd u niego takie parcie na ekran?”. W poszukiwaniu odpowiedzi można oczywiście sięgnąć po eksplikacje psychologiczne, by dowieść – co nie byłoby zresztą trudne – że młodzieńcem powodowała chęć sławy. W końcu szklany ekran, obecny w każdym niemal domu, gwarantował zasięg na poziomie co najmniej kilkudziesięciu tysięcy potencjalnych konsumentów jego mądrości i tego, co miał do zaprezentowania. Nawet minimalna oglądalność ujęta jako wartość liczbowa przewyższała nakład jego tomików poezji, które przeważnie wydawane były w ilości stu, lub najwyżej dwustu egzemplarzy. Zatem telewizja gwarantowała inną skalę oddziaływania, zupełnie inne obszary świadomości konsumenckiej do opanowania.

Jednakże to wyjaśnienie w jego przypadku jest nie tyle zbyt złożone, co przede wszystkim fałszywe. Opiera się ono na kategorii duszy, a na tym etapie swojego życia, Dżak już duszy nie posiadał. Po incydencie z Ryśkiem Prowidentem, chłopiec wiedział, że za wszelką cenę musi gromadzić pieniądze. Mimo iż spłacił swoje zobowiązanie, to jednak w jego psychice zaszły radykalne zmiany. Od tego momentu, gdy na poczcie pozbył się wszystkich oszczędności, pozbył się także duszy. Wszystkie kolejne swoje wybory podporządkował zasadzie merkantylizmu: „Co będę z tego miał?”. I to ta zasada podświadomie kierowała go

przed kamery. Dżak nie tylko długo studiował przypadek Gąskowskiego, ale obserwował karierę telewizyjną niejakiej Dody. „Klnie jak szewc” – myślał – „Gada głupoty, pompuje się litrami silikonu, ale to właśnie dzięki telewizji teraz jeździ nowym porszakiem”. On też chciał mieć coś od życia, a właściwie chciał dostatnio pożyć. Dzięki Ryškowi Dżak oddzielił się grubą kreską od wszelkiej eschatologii, od wartości uniwersalnych. Interesowało go życie jako przeżycie. W zasadzie stał się hedonistą, który na zewnątrz swoim kostiumem pozował na uduchowionego mędrca. Dlatego też Dżak skupił całą uwagę na budynku przy ul. Woronicza, w nadziei, że stanie się Dodą, bądź Dieter Bohlenem telewizji polskiej. To miało być jego własne Eldorado. Nie wiedział jednak, że tok-szoł, który poprowadzi wraz z Papcio Chmielem i Dymkiem Dym Dymańskim po kilku emisjach zostanie zdjęty z anteny; że konsumenci przed telewizorami nie mają ochoty słuchać obcojęzycznych pojęć, którymi on będzie szastał jak z rękawa; że on w czarnym surducie, przysypiający Papcio Chmiel oraz rozbrykany Dym Dymański razem wzięci będą mieli w sobie mniej charyzmy niż jeden cycek Dody. Ale to rozczarowanie dopiero nadejdzie.

Na drugi dzień Dżak już bez większych problemów dodzwonił się do sekretariatu prezesa telewizji polskiej. Pani sekretarka wykazała się większym obyciem kulturalnym aniżeli Heniek, z którym poprzedniego wieczoru rozmawiał. Bez żadnego „ale”, połączyła go z szefem. W trakcie pogawędki Dżak wymieniał swoje atuty zapewniając, że na pewno jego postać sprzeda się medialnie; że w zasadzie to jest on żyłą złota dla telewizji polskiej, taką Paris Hilton polskiej poezji i literatury. Pan prezes, który jak na prawdziwego prezesa telewizji publicznej przystało, miał poczucie misji. Wierzył, że głównym zadaniem telewizji jest edukacja widzów, wciskanie im do głów różnych patriotycznych treści, żeby przypadkiem Polak nie zapomniał, że jest Polakiem. Zaproponował Dżakowi udział w tok-soł „Łasskotki z gwiazdami”.

Był to projekt dwóch gości, którym brakowało trzeciej osoby, by program mógł w ogóle wystartować. Dymek Dym Dymański wraz z Papiem Chmielem wymyślili sobie, że w sposób szalony poopowiadają telewidzom o literaturze. Zdawali sobie sprawę, że muszą wybrać jakąś niekonwencjonalną formę, żeby móc konkurować nie tyle z MTV ale chociażby z programem „ZIARNO”. Dlatego Dymański zdecydował się na tercet. Jeden będzie udawał debila – tę rolę zarezerwował dla siebie Dymański, gdyż wymagała ona pewnego obycia w ekspresji aktorskiej, drugi miał grać znudzonego światem, sennego ślimaka, który w trakcie jednego odcinka programu wypowie zaledwie dwa, góra trzy zdania. To była wymarzona rola dla Chmiela, przy którego usposobieniu te dwa, trzy zdania, to i tak szczyt euforii. Brakowało im trzeciej osoby, która robiłaby raczej za ożywiony element scenografii. Pomysł ten zaczerpnął Dymański z programu „TOK-SZOK”, w którym Żakowskiemu i Najsztubowi towarzyszył mały, rudy piesek. Niby nic, a przykuwał wzrok w trakcie dłuższych narracyjnych. Oczywiście ten trzeci też by coś od czasu do czasu powiedział, np. jakieś mądre słowo w obcym języku i wytłumaczył zasady poprawnej wymowy tegoż pojęcia. Jednak za wyjątkiem takich akcydensów, trzeci miał się ładnie uśmiechać ogólnie sprawiać wrażenie miłego.

Dymański długo szukał wśród poetów, krytyków literackich osoby, która by się nadawała do roli trzeciego w „Łasskotkach”. Na próżno. Wiadomo bowiem powszechnie, że ci, którzy ślęczą całymi dniami przed klawiaturami komputerów, bądź maszynami do pisania, robią to dla tego, ponieważ ich szkaradne twarze, otyłe sylwetki nigdy nie zostały zaakceptowane przez społeczeństwo. Mieli do wyboru: albo praca w magazynie bibliotecznym, albo rola statysty w filmie o małopoludach, albo bycie literatem. Któregoś razu Dymański udał się do działu marketingu, by zapytać, czy może jednak wziąć do programu jakiegoś brzydala, tudzież brzydule. Usłyszał wówczas stanowcze: „NIE” i jako uzasadnienie podano: „Brzydale nie mogą występować w telewizji. Był tylko jeden przypadek sukcesu medialnego twarzy i sylwetki skrajnie asymetrycznej – to Quasimodo. Badania jednak wykazały, że ludzie wolą podziwiać estetykę proporcji, taka nie zmusza do refleksji”.

Także prezes wiedział o tym problemie, który wielokrotnie sygnalizował mu pomysłodawca „Łasskotek z gwiazdami”. Dlatego, gdy tylko pojawił się Dżak Menel, od razu złożył mu propozycję roli trzeciego.

Dżak był trochę rozczarowany, widział siebie raczej w roli solisty. Wyobrażał sobie, jak to siada na krzeselku przy stoliku, sztywnie ubrany w swój cylinder, czarny garnitur i tegoż koloru pelerynę. Na szklanym blacie leży stosik książek – w tym wszystkie wydania jego „Barbi. Traktat o lali”. Dookoła półmrok. Jedynym źródłem światła jest reflektor, który centralnie oświetla jego sylwetkę z góry. Światło załamuje się na jego twarzy, cylindrze, dłoniach, dzięki czemu staje się jakby demoniczny, jakby metafizyczny, jakby nie z tej ziemi. Po sygnale „EMISJA”, wpatruje się chwilę w obiektyw kamery, ignorując sygnały z reżyserki, że jest na antenie. Uśmiecha się półgębkiem, zakłada nogę na nogę i sięga po

pierwszą książkę, nie spuszczać cały czas wzroku z kamery. Otwiera ją tak, by telewidzowie dobrze widzieli okładkę. Spuszcza głowę. Udaje, że się chwile zaczytuje w spis treści, następnie spogląda do kamery i mówi: „Witam państwa serdecznie. Dziś, jak zwykle w programie ‘Wieczór z Wieszcem’, opowiem państwu o dziele wybitnym. O kamieniu milowym w rozwoju kultury śródziemnomorskiej, o książce, która powinna znaleźć się nie tylko u każdego z państwa, ale obok Biblii powinna leżeć na stoliku każdego hotelowego pokoju. Co to za pozycja? Opowiem państwu po przerwie”. Po tych słowach następuje najazd kamery na jego twarz, oddalenie i ściemnienie.

Dżak miał świadomość, że telewidzowie nie cierpią reklam, że te odstraszą ich od kupowania produktów, które migają przed oczami w trakcie seansu ulubionego programu. Czasami zastanawiał się, jakiego geniuszu potrzeba, by wmówić producentom, że reklama w telewizji wpłynie znacząco na sprzedaż ich towarów. Dlatego „Wieczór z Wieszcem”, będzie przerywany tylko króciutką, dwuminutową reklamówką jego portalu internetowego: nieszufluktadzak.pl.

Po reklamie znowu on. Tym razem zamyka książkę i mówi do operatora kamery: „Proszę o zbliżenie”, po czym dodaje: „Tą kilkusetstronicową książkę napisałem jakiś czas temu. Jest w niej wszystko, nawet staropolski przepis na kapłona, który przyrządzała moja babcia. Dla fanów Adama Słodowego także coś się znajdzie. Starłem się dokładnie opisać stół kuchenny, typu rustykalnego, na którym babcia robiła kopytka. Wszystkie połączenia stolarskie, w tym wrębowo-wpustowe, a także tzw. obce pióro, zostały skrupulatnie, wręcz z fotograficzną precyzją opisane. Dla badaczy kultury chłopstwa polskiego, ta książka to gratka, niczym ‘Chłopi’ Reymonta. Przyznam nieskromnie, że także oczekuję na Nobla” – w tym momencie uśmiecha się z przekąsem prosto do kamery, po czym kontynuuje – „Niech państwa nie odstraszy objętość tej pozycji. Dla niecierpliwych polecam metodę czytania ‘Nad Niemnem’. Można pomijać długasne, kilkustronicowe opisy belek stropowych w babcinej stajni i szukać rzadkich, ale jednak występujących dialogów. Jednak moim zdaniem największa wartość tej pozycji, to właśnie owe opisy, deskrypcja świata, który dziś nie istnieje, nawet jeżeli chodzi o sztukę dawnej ciesielki, która potrafiła obyć się bez ani jednego gwoźdź. Tak, tak proszę państwa, niby niemożliwe, a jednak to prawda. A teraz chciałbym państwu przeczytać mały trzydziestostronicowy fragment”. Po tych słowach Dżak otwiera jedyne miejsce w książce zaznaczone czerwoną karteczką samoprzylepną, w którym coś się dzieje i zaczyna czytać. Znowu ignoruje sygnały z reżyserki, od specjalistów od badań telemetrycznych, że oglądalność dramatycznie spada. Kończąc trzydziestą stronę, spogląda w kamerę i mówi:

„Drodzy telewidzowie, przygotowałem dla państwa sto darmowych egzemplarzy tej książki, które dostanie pierwszych sto osób, które dodzwonią się do nas po programie. Każdy egzemplarz ‘Barbi’ jest przeze mnie podpisany. Na telefony czekamy godzinę od zakończenia programu. Na dziś żegnam już się z państwem i do zobaczenia w przyszłym tygodniu, w którym zaprezentuję państwu kolejne moje wspaniałe dzieło. Jakże? To niespodzianka”. Po tych słowach znowu zoom na Dżaka i stosik książek na stole, ściemnienie i koniec.

Jak widać Dżak Menel miał już gotowy pomysł na swój program. Wszystko zaplanował z zegarmistrzowską precyzją. Nawet pozy trenował od jakiegoś czasu przed lustrem, by nie wyjść na nowicjusza w oczach krytycznych telewidzów. Dlatego można sobie wyobrazić owo zaskoczenie, gdy w rozmowie telefonicznej z prezesem TVP usłyszał:

- Na program autorski, to jeszcze za wcześnie. Póki co, to proponuję panu udział w „Łasskotkach z gwiazdami”. Bierze pan to czy nie?

Dżak zdawał sobie sprawę, że większość ludzi sceptycznie podchodziła do jego talentów, że potrzebowała czasu, by się przekonać o jego wartości. Dlatego przyjął propozycję, w przekonaniu, że ten mały epizodzik medialny będzie wielkim krokiem w jego karierze, że

wkrótce zaproponują mu prowadzenie programu autorskiego, którego cały scenariusz miał od jakiegoś czasu przygotowany.

Wkrótce otrzymał list z zaproszeniem do wzięcia udziału w pierwszym nagraniu „Łasskotek z gwiazdami”. Spakował się i pojechał pociągiem do Warszawy. Dojechawszy na ul. Woronicza, Dżak podziwiał wielki budynek TVP. Kiedy wszedł do środka, pierwszym miejscem, do którego się udał, była dyżurka z ochroniarzem, który robił także za informację. Zapytał:

- Przepraszam, czy pan Heniek?

- Nie, Heniek zawsze robi nocki, jestem Stasiu – odparł ochroniarz i zapytał:

- A o co chodzi?

- A, o nic, o nic – odpowiedział Dżak, który miał nadzieję spotkać pana Heńka i wygarnąć mu, że wcześniej go tak brutalnie spławił. Teraz był gwiazdą telewizji i to powinno dać Heńkowi i mu podobnym do myślenia, żeby z większym respektem zwracali się do nieznanym, bo kto wie, być może owi nieznanymi okazażą się być ich pracodawcami.

Nie udało się dorwać Heńka. Dżak zapytał pana Stasia o to, gdzie nagrywają „Łasskotki z gwiazdami”. Stasiu pogrzebał chwilę w kajeciku i odparł:

- Tym korytarzem prosto do windy. Następnie na czwarte piętro, pokój 4123.

Chłopiec podziękował i pospieszył na nagranie. Był już trochę spóźniony.

38

- Miasto, noc, boczna uliczka, po której jedzie czarna limuzyna. Niech to będzie jakiś wypasiony mercedes. Zatrzymuje się przy latarni tak żeby było widać, kto z niej wychodzi. Drzwi się jednak nie otwierają. Mija pierwszych dziesięć sekund. Napięcie rośnie. Czy wyobrażacie sobie te spocone z nerwów i niepewności dłonie widzów? Jak, kurwa w filmach Hiczkoka, ja pierdole! – mówił podekscytowany Dymański Chmielowi i Dżakowi, którzy właśnie szykowali się do pierwszych zdjęć premierowego odcinka „Łasskotek z gwiazdami”. Papić nie reagował na entuzjazm Dymy. Prawie zasypiał w fotelu garderoby i tylko wybuch nuklearny mógł go w tej chwili jakoś wzruszyć. Dżak przeciwnie. Pilnie słuchał, czekając aż pomysłodawca i zarazem główny reżyser „Łasskotek” zacznie mówić o jego kwestii. Przygotował sobie nawet karteczkę, by we właściwym momencie zanotować co i kiedy ma powiedzieć. Dymański kontynuował:

- No i ta czarna meszawka sobie tak stoi. W tle leci muzyka z filmu „Szczęki”. Dam, dam, dam, dam, dam, dam – nucił – I tak coraz szybciej i szybciej to dam, dam, dam, dam. Tak jakby już za chwilę miał się wynurzyć rekin-ludojad i wszystkich wpięrdolić wraz z limuzyną. Kurwa! Co za napięcie! Ja sam już się boję! Co nie chłopaki? – i spojrzał na dwójkę, by upewnić się, że i oni czują to coś. Papić Chmiel ziewając po raz czwarty od chwili, gdy Dymański rozpoczął omawianie pierwszego odcinka, odpowiedział:

- Taaaa.

Dymek widząc jego reakcję, a w zasadzie jej brak, machnął na niego ręką i spojrzał na Dżaka. Ten wiedział, że powinien cokolwiek powiedzieć. Cokolwiek, żeby nie wyjść na laika w oczach Dymańskiego. Póki co nie chciał jednak zdradzić się, że i on ma gotowy scenariusz programu, w którym jako główna gwiazda opowiadałby o najwybitniejszych dziełach literackich; że pierwszy odcinek poświęciłby na dokładne omówienie swojej „Barbi”. Uważał, że jego koncepcja jest o niebo lepsza od tego numeru z czarnym mercedesem i ciemną uliczką. Nie zdradził się jednak i starając się być dociekliwym zapytał:

- A dlaczego akurat czarna limuzyna a nie na przykład czarna karoca ciągniona przez cztery czarne konie? To byłoby, przynajmniej tak ja uważam, o wiele ciekawszy i bardziej symboliczny motyw. Niby karawan, niby nie. Niby cztery konie, to od razu może kojarzyć się z czterema jeźdźcami apokalipsy, którzy...

- Ty się pytasz dlaczego czarna limuzyna? I chciałbyś zamiast niej karawan? Kurwa, z kim ja muszę pracować! – przerwał mu gwałtownie Dymański. Chmiel ponownie sobie ziewnął, a Dżak oniemiały stał w milczeniu. Po chwili wykrztusił z siebie:

- Ale, ale karoca...

- Ty – ponownie przerwał mu Dymek – Ty, powiedz ile ty masz lat?

- Dwadzieścia osiem skończę w grudniu.

- Tak, to wszystko tłumaczy. Skąd możesz wiedzieć o czarnej wołdze, która porwała dzieci w PRL-u. Nigdy o tym pewnie nie słyszałeś.

- Nie, to znaczy się tak – burknął lekko poirytowany Dżak – Tato kiedyś mi mówił.

- Chuj, nie będę ci teraz tego tłumaczył. W każdym razie ta czarna limuzyna odwołuje się do świadomości mitologicznej pokolenia siedemdziesiąt. To ono jest targetem dla naszego programu. Ci wszyscy trzydziestoparolatki będą wiedzieli o co chodzi. Musimy w nich obudzić resentment, rozerwać strupy świadomości, uwolnić ich od obciążeń życia, by powrócili do sfery swego dzieciństwa. Chcę zaprowadzić ich znowu do piaskownicy, by się bawili plastikowymi zabawkami i foremkami, budując zamki z piasku. By obawiali się znowu czarnej wołgi a nie rat kredytu hipotecznego, zależnych od kursu franka szwajcarskiego. Kapujesz? Na tym polega pic: odwrócić świat i go zatrzymać choćby na trzydzieści minut emisji programu. Odwrócić mitologię lęku, gdzie zamiast kredytu, który spłacać dopiero w okolicach siedemdziesiątki, komornika czy utraty pracy pokolenie

siedemdziesiąt lękać się będzie ponownie czarnej wołgi. Chcę dać im wytchnienie, bezpieczeństwo. Tylko wówczas będą oglądać „Łasskotki”. Czy nigdy nie zwróciłeś uwagi na to, czym nasz target jest nieustannie atakowany? Jak bardzo molestowana jest świadomość tych ludzi. Pierwszy lepszy przykład. Bierzesz takie pisemko do ręki, niech to będzie „Machina”, „Dżentelmen” albo nawet „Plejboj”. Otwierasz a tam co? Nic, tylko roleksy, tajmeksy i inne podobne gadżety. Zajeście drogie wody kolońskie, fury, garnitury i superdupeczki, na które ciebie nie stać. Więc co robisz? Zapierdalas w pracy po dwadzieścia godzin, liżesz dupy przełożonym, by awansować, by zarobić więcej forsy. Godność? A co to jest takiego? Zero godności i honoru, napierdalasz ślepo naprzód. I kolejny kredyt, żeby kupić sobie tym razem złotego roleksa. Chińska podróba już nie wystarcza, każdy się zna, każdy jest ekspertem, bo każdy naoglądał się wystarczająco dużo reklam oryginalnych produktów, by w mgnieniu oka odróżnić oryginał od falsyfikatu. Przewracasz stronę w takim pisemku. I jeb! Tym razem wali cię po oczach wysportowany brzuch jakiegoś gogusia, do którego kleją się fajne dupy napompowane litrami silikonu. Myślisz sobie: „Też muszę mieć taki brzuch!”. Co robisz? Zapierdalas do fitnessklubu. Ale okazuje się, że to nie jest jakaś tam podwórkowa siłownia. Tu masz osobistego trenera i dietetyka, bar z odżywkami proteinowymi, wypasiony sprzęt, którego nie wiesz jak używać. Za to wszystko musisz zapłacić jakiegoś tysiącza miesięcznie. Znowu kredycik, bo musisz być kurwa wysportowany. Ale ładny brzuch to nie wszystko, bo na kolejnej stronie jest reklama garnituru w paski od armaniego i slogan: „Tylko dla mężczyzn z klasą”. Kupujesz go, a jakże! Przecież masz klasę! A jeżeli jej nie masz, to ten garniak sprawia, że nagle masz klasę! Zapierdalas do pracy, rozglądasz się i co się okazuje? Wszyscy mają podobne garnitury, każdy ma laptopa i przynajmniej dwie komórki. Musisz się wyróżnić. Chcesz się w tym stadzie spersonalizować żeby nie stracić poczucia własnej wartości. I znowu z pomocą przychodzi tobie gazetka, na której rozkładówce jest reklama zajeźbistego, czerwonego ferrari i wielki napis: „Tylko dla indywidualistów”. Kupujesz, bo niby co masz zrobić? Ani się spostrzeżesz, a masz na głowie przynajmniej trzy kredyty konsumpcyjne i jeden hipoteczny, bo mieszkać gdzieś trzeba, a kawalerka w takiej Warszawie, to jakieś trzysta pięćdziesiąt tyśiąków. Kurwa! Rozumiesz?! Tyle szmalu za trzydzieści metrów kwadratowych spania, srania i gotowania. Banki oczywiście udzielają tobie kredytów. Z twoimi zarobkami masz nawet prywatnego doradcę kredytowego, który jest dyspozycyjny dla ciebie dwadzieścia cztery godziny na dobę. On zawsze załatwi tobie kolejny kredyt i kolejny. Kiedy już się skapniesz, że to wszystko do niczego nie prowadzi, że w zasadzie jesteś pracującą po dwadzieścia godzin na dobę maszyną, której za chwilę serducho stanie się kotлетem mielonym, o czym poinformował cię zresztą kardiolog, u którego byłeś skonsultować przyczynę duszności i bólu w mostku. Ty dziwisz się, pytasz go: „Jak to możliwe!?”. Opowiadasz mu, że kupujesz kurwesko drogą zdrową żywność ekologiczną, że zamiast schabowych jesz pstrągi i łososie, że zapierdalas cztery razy w tygodniu do fitnessklubu, że masz dopiero trzydzieści cztery lata. On ci odpowiada: „Tak to się dzieje, gdy człowiek cały czas biegnie”. Zaczynasz wrzeszczeć na kutasa w białym fartuchu, wyzywasz go od debili i ignorantów, bo cały czas nie możesz uwierzyć, że ten super zdrowy tryb życia wciskany ci na każdym kroku przez kolorowe gazetki, który prowadzisz od kilku lat, za który płacisz platynowymi kartami kredytowymi, wpierdalając się w coraz to nowe długi, ma mieć swój finał na oddziale intensywnej terapii jakiegoś tam szpitala. Nagle pojawia się to znane uczucie duszności, zwijasz się w kłębek, padasz na podłogę. Tracisz na chwilę przytomność. Budzisz się dopiero na łóżku szpitalnym, który całe stado medyków pospiesznie pcha w jakimś kierunku. „Co się stało?” – próbujesz pytać. Ten sam lekarz, na którego przed chwilą tak bardzo się wkurwiłeś, mówi do ciebie: „Proszę się uspokoić” i wciska ci nitroglicerynę pod język. Czujesz jej metaliczny, kwaskowaty posmak. W końcu zawożą cię na jakąś salkę. Podłączają do różnych dziwnych maszyn. Pobierają krew. Widzisz zbiegowisko lekarzy. Jeden do drugiego mówi: „Trzeba szybko operować”, inny odpowiada: „Tylko przeszczep”.

A ty się w duchu zastanawiasz: „O kim oni do chuja tak gadają! Przecież nie mam czasu na żadne przeszczyty i inne bzdety. Jutro muszę być w pracy, mam ważną prezentacją. Robiłem ją od roku i muszę tam być, choćby kurwa nie wiem pierdolone co!”. Chcesz o tym powiedzieć temu, który stoi najbliżej łóżka. A tu pizda, bo masz na mordzie maskę tlenową, która zniekształca twoje zdania w bełkot. Chcesz ją zerwać, a tu znowu podobna pizda, bo nie możesz ruszyć ręką, bo tak cię napierdala klata. Zaczynasz panikować: „To nie może być koniec, to nie może się tak skończyć! Mam tyle kredytów, żona się z nich nigdy nie wykaraska! Kurwa! Jeszcze dzieci będą musiały je spłacać”. Zaczynasz się modlić. Prosisz boga o cud. Bóg jednak ma ciebie głęboko w dupie, milczy jak grób. Szklanka z wodą, którą masz na szpitalnym stoliku wydaje się tobie w tej chwili bardziej komunikatywna niż on. Ale przecież nie będziesz się modlił do szklanki, jeszcze całkowicie tobie nie odbiło. Bijesz się z myślami. Szukasz jakiegoś wyjścia. Twój mózg sygnalizuje o tej walce twojemu rozpierdolonemu w mielonkę sercu, a te zaczyna znowu panikować. Słyszysz pisk maszyny, do której jesteś cały czas podłączony. Przybiega lekarz dyżurny i mówi do towarzyszącej mu dupy w białym fartuszku: „Siostró, proszę podać coś na uspokojenie i sen”. Po chwili ta sama dupeczka wbija się strzykawką w twoją kroplówkę. Zасыpiasz. Śniesz o dzieciństwie, o tym jak to kiedyś było fajnie. Jak się bawiłeś, jak spadałeś z drzewa. Śniesz o tych dziecięcych problemach, o odrapanych łokciach, o mleczy zębach, chowanych pod poduszką, o tym jak chodziło się na szaber do sąsiada, by przez pół nocy rzygać po niedojrzałych śliwkach. Śniesz także o czarnej wódce, która miała porywać małe dzieci, a którą cię straszili rodzice. Innymi słowy powracasz do siebie. Jesteś z powrotem małym chłopcem, ponownie wstępuje w ciebie radość, radość dziecięca, taka prosta i naiwna. Teraz rozumiesz?

Dżak nie bardzo zrozumiał to wszystko, co przed chwilą usłyszał. Nie chciał wdawać się w dalszą rozmowę, zwłaszcza, że w zakresie psychologii społecznej był ignorantem. Tego przedmiotu nie miał póki co na studiach. Jednak wiedział, że powinien coś powiedzieć. Cokolwiek. Z pomocą przyszedł mu Papić Chmiel, który jakby się ożywił po tej przemowie Dymańskiego. Zapytał on:

- Ty miszczu-leszczu, taki jesteś hola, a jednak wciskasz do „Łasskotek” wypasionego merola. Dlaczego nie weźmiesz czarnej wołgi?

Na to Dymański odpowiedział bez wahania:

- Product placement.

39

Dżak wracał do domu z nagrania z uczuciem niedosytu i pewną pretensją do Dymka Dym Dymańskiego, pomysłodawcy, scenarzysty i reżysera „Łasskotek z gwiazdami”. Odnosił wrażenie, że został potraktowany niesprawiedliwie. Myślał: „Tylko dwadzieścia jeden zdań w pięciu odcinkach? To po co ja zabierałem ten stukartkowy zeszyt? Swoje kwestie w „Łasskotkach” mógłbym zapisać na dłoni. Po chuj mi te sto kartek? Myślałem, że sobie pogadam. A tu zamiast tego miałem wyjaśnić zasady poprawnej wymowy słowa dadizm i turpizm. Przecież każdy debil wie, jak to się wymawia. Tu nie można niczego spartolić. To nie rzeczownik pedagogika, w którym niedouczzone głupki myślą akcenty. Tu mógłbym poszaleć, popisać się. Byłbym chociaż na chwilę samym Miodkiem. Ale nie, ten jełop uparł się na dadaizm i turpizm i tak miało być. I na dodatek ten wieczny uśmiezek do kamery, aż mi szkliwo na zębach wysychało. Ja pierdolę – kłął w myślach - Ale te lampy w studio grzeją. Spociłem się jak wieprz. Żadnej przerwy. Nic. A jak chciałem się wody napić z tej szklanki co to na stoliku stała, to jakiś matoł zza kamery darł się: ‘Cięcie’ i opierdalał mnie, żebym nie ruszał szklanki, bo zostawię na niej odcisk wysztyftowanych pomadką ust. Czy ja się prosiłem o szminkowanie? A jak będę miał zmarszczki mimiczne od tego wielogodzinnego, betonowego uśmiechu, to ich pozwę do sądu. Niech mi telewizja zrefunduje korektę plastyczną w szwajcarskiej klinice. A co!”

Bił się tak z myślami niemalże całą drogę powrotną. Może i nie byłby tak rozgoryczony, gdyby nie to, że taki ciamajdowaty Chmiel miał zaplanowaną bardziej ambitną rolę w „Łasskotkach z gwiazdami”. Kiedy Dymański wyglupiając się udawał makaka, a on stał nieruchomo szczerząc zęby w uśmiechu, Chmiel ślamazarnie przechadzał się to tu, to tam, ziewał i rzucał jakby od niechcenia: „Taaaaa”. Na koniec każdego odcinka mówił: „I to by było na tyle”. Taką rolę mógłby mieć. To by go zadowoliło, przynajmniej na początku. Wyobrażał sobie ile to treści niewerbalnych mógłby przekazać widzom dzięki swojej mowie ciała. To byłoby szerokie pole do popisu. I na pewno nie zmarnowałby tej szansy, tak jak to zrobił Chmiel, i wybiłby się medialnie. Zaistniałby dzięki miarowemu krokowi defiladowemu, dzięki pelerynie zwinnie odrzucanej na bok przy byle okazji, dzięki gestom wypielegnowanych dłoni. Po takiej prezentacji promila swego talentu musiałby ktoś go dostrzec, na przykład jakiś łowca gwiazd. I ani by się obejrzał, a znalazłby się na szczycie piramidy pokarmowej samego Holiłud, gdzie jedyną konkurencją byłby dla niego jego imiennik Dżak Nikolson. Ale i tego pewnie szybko by pokonał. To dziadek, a on jest przecież młody i tyle ma do przekazania światu, że gdyby ten chciał go wysłuchać do końca, to eksplodowałby, stając się kolejną supernową galaktyki drogi mlecznej.

W tych wszystkich gorzkich myślach pojawiały się w świadomości Dżaka przebłyski optymizmu. Próbował się pocieszać: „Pal licha te dwadzieścia jeden zdań! To i tak zawsze o cztery więcej niż te, które Szfarceneger powiedział w ‘Terminatorze’ jedyńce. Tak mało się nagadał a mimo to stał się sławny. I później kiedy miał wyjść na plan filmowy, czy gdziekolwiek przed kamerę, to ruszał tylko wówczas dupę z domu, gdy na jego koncie pojawiła się okrągła sumka dwudziestu milionów dolarów. Na pewno telewizzowie mnie docenią. Na bank ktoś dostrzeże potęgę ekspresji mojej mimiki w ‘Łasskotkach’, z którą równać się może tylko kwadratowa twarz Arnolda z ‘Terminatora’. Włożyłem w ten uśmiech tyle uczucia! Dałem z siebie wszystko!”

W czasie tej introwertycznej kołataniny ani się spostrzegł, a znalazł się z powrotem w rodzinnym mieście. Dancys powitał go tą samą atmosferą. I jakby na chwilę zapomniał o swym rozczarowaniu zmieszonym z optymizmem. Udał się prosto do mieszkania. Chciał jak najszybciej włączyć komputer i sprawdzić, czy jego poetycki portal internetowy rozwija się. Czy zarejestrowali się jacyś znani poeci, bo tylko ze znanymi chciał dyskutować, a nie z

jakimiś nowicjuszami. Ci go nie interesowali. Dżak chciał także sprawdzić stan konta, które miał założone w banku internetowym. Pragnął upewnić się, czy TVP przełała należną sumkę za jego rolę w „Łasskotkach z gwiazdami”. A nie była ona mała. To całe pięćdziesiąt tysięcy nowych złotych polskich. Może nie tyle, co Tomek Cammel trzepie za jeden odcinek „Randki w polu”, ale zawsze coś. Na początek to i tak dużo, zwłaszcza, że Dżak planował kupić sobie mieszkanie w Warszawie, by zacząć wreszcie oddychać powietrzem stolicy kraju, w którym żył. Chciał być prawdziwym światowcem. Dancys od jakiegoś czasu, mimo swej unikatowej atmosfery, dusił go. Był dla niego ciut za mały.

Należy wiedzieć także, że oprócz odpowiedniego wynagrodzenia, Dżak wynegocjował z realizatorami „Łasskotek”, że w ramach honorarium, w czasie reklamowym tegoż tok-szoł, pojawi się zajawka www.nieszuflujtakdzak.pl. Liczył, że to zwabi kolejnych userów, wśród których znajdzie się jakaś gwiazda. No, może nie tego formatu co on, bo obecnie w dziedzinie poezji czy literatury nikt nie mógł się z nim równać, ale choćby jakiś profesor z Uniwersytetu Jagiellońskiego, literaturoznawca, z którym mógłby podyskutować o istocie przecinka przed „że”.

Po wejściu do mieszkania natychmiast włączył komputer. Sprawdził konto.

- Jest – mruknął zadowolony.

Następnie wklepał w przeglądarce adres swojego portalu i zaczął przewijać główną stronę informacyjną.

- Ha! Adamski spisał się! Jest niezawodny! – powiedział głośno, gdy ujrzał duży, czerwony napis: „Dżak Menel laureatem nagrody konkursu im. Kościotrupków”. Jeszcze tak kilka minut podziwiał owe czerwone litery na białym tle, by następnie przejść do działu „WIERSZE”. Czyta pierwszy, czyta drugi, czyta trzeci i czwarty. Przy piątym już mu się odechciewa. Myśli sobie: „Skąd w ludziach tyle buntu? Pogardy dla staropolskich wartości, nie wspominając o wartościach chrześcijańskich? Tego się nie da czytać!”. Nie chciał jednak pozostawiać przeczytanych tekstów bez swojego komentarza. W końcu, w statystykach jako user o nicku „Dżak Menel” miał na koncie trzy tysiące sześćset dwadzieścia osiem napisanych komentarzy. Ciągłe wszystkich w tym zakresie deklasował o jakiś tysiączek. Tak miało pozostać, miał być pierwszy w każdej dziedzinie. Nie chciał się jednak zmuszać do jakiegokolwiek produkcji intelektualnej. Postanowił zastosować wypróbowaną i wielokrotnie stosowaną metodę. Otworzył dokument WORD, w którym miał napisane wzory komentarzy w stylu: „ad kosz”, „grafomania”, „dno”, „tak się nie bawią starszaki”, „dziecinne”. Następnie metodą wytnij-wklej skomentował dwadzieścia pierwszych wierszy. Warto zauważyć, że skojarzenie tekstu z komentarzem było tu kwestią przypadku. Bardziej przewidywalne jest typowanie liczb w lotku, aniżeli rozrzut komentarzy Dżaka Menela. Ale tym sposobem, niczym jedynowładca mianował nowych generałów poezji, których wiersze przypominały rymowanki typu:

„Kochaj mnie
 kochaj mnie
 kochaj mnie
 bo umrę”

Ale degradował także prawdziwych poetów. Najlepsze w tym wszystkim było to, że mało kto ośmielał się protestować. Większość z pokorą przyjmowała lakoniczne komentarze, traktując je z takim namaszczeniem jak onegdaj Hellenowie proroctwa wyroczeni w Delfach. W końcu ich autorem nie był byle kto, ale sam Dżak Menel, spadkobierca Miłosza i laureat konkursu im. Kościotrupków. Od czasu do czasu pojawiali się buntownicy, których nie onieśmiała aura sławy Dżaka. Oni byli największym utrapieniem portalu. Często wytykali Menelowi braki intelektualne i warsztatowe. Naigrywali się z błędów logicznych jego wypowiedzi i wciągali go z premedytacją w różne dyskusje. Dżak oczywiście dawał się wciągać. Przecież miał na portalu robić za omnibusa. Jednak nijak nie potrafił mierzyć się w dynamicznym

dyskursie ze specjalistami danego tematu. Pamiętnym zdarzeniem było pojawienie się na portalu usera o nicku „Mechanik”, który sprowokował Dżaka do dyskusji o tak zwanym „cyklu Carnota”. Zamiast przyznać, że się nie zna, że nie ma pojęcia o maszynach a tym bardziej o silnikach doskonałych, zaczął polemizować. „Mechanik” był bezlitosny. Argumentował zmiennymi fizycznymi i wzorami. Dżak doskonale wiedział, że ta polemika jest obserwowana przez innych userów, nie chciał więc wyjść na kogoś, kto nie zna się na fizyce. Przecież on znał się na wszystkim, miał w posiadaniu najskrytsze sekrety kosmosu, nie wspominając o tak nieistotnych z jego punktu widzenia naukach szczegółowych, jaką była między innymi fizyka. Posiadał zatem mądrościami rodem z google. „Mechanik” był bardzo przebiegły. Błyskawicznie zorientował się, że jego interlokutor nie potrafi napisać ani jednego postu dynamicznie. Zaczął zatem kpić i wypisywać: „Szanowny Pan Poeta Koronny Dżak ‘Google’ Menel”. Dżak zorientował się, że został zdekonspirowany i miał świadomość, że wiedzieli o tym inni userzy. Odpowiedział więc: „To nie jest żadne ‘google’, tylko zasoby wiedzy z internetu”. „Mechanik” kiedy to przeczytał, zakpił jeszcze bardziej cynicznie i złośliwie. Odpisał: „To wielce szanowny Panie Poeto Koronny Dżaku „google” Menelu, niech pan będzie tak łaskaw i wpisz w swoje ‘google’ słowo ‘wogule’. Zobacz pan ile rekordów się wyświetli. To słowo pojawia się tych pańskich zasobach wiedzy przynajmniej tysiąc razy, a pan i ja wiemy, że takie słowo nie istnieje. Zatem do kitu z takimi zasobami wiedzy internetowej”. Po tym wpisie Dżak natychmiast wykonał telefon do Adamskiego. Ten wiedział, w czym rzecz. Niezwłocznie zablokował konto użytkownika o nicku „Mechanik”. Z czasem blokowano wszystkich, którzy ośmielili się podnieść pióro na Dżaka. Wymyślono dla takich osób przezwisko: „Troll”. „Trollem” nazywano każdego, kto miał inne zdanie niż szef-Menel lub szef-Adamski. Kasowano takim konta bezlitośnie, usuwano ich wpisy i wiersze nie podając żadnego wyjaśnienia. Bo niby jak to uzasadnić? Że śmieją się z Dżaka? A przecież nie wolno się śmiać, to taka niepisana zasada portalu nieszuflujtakdżak.pl.

Ale do rzeczy. Kiedy Dżak skończył z komentarzami zadowolony z siebie mruknął pod nosem:

- Gotowe. Teraz jeszcze „FORUM” – po czym kliknął na odpowiednią ikonkę.
- Tak, recenzje Winniczka. Zawsze takie same, nudne i długie. Nie chce mi się tego czytać – powiedział do siebie i przegląda dalej. I nagle pewien wątek zwrócił jego uwagę. „Znowu coś o mnie?” – pomyślał z niepokojem, gdy przeczytał: „Rewelacyjna książka o Menelu. Musisz ją przeczytać!”. Dżak kliknął na wątek. Rozpoczął lekturę. Od zdania do zdania i kolejny akapit. Wpadł w panikę.

40.

- A on mnie przeżywa buuuu! – usłyszał w słuchawce Atomizer Adamski. Po głosie poznał, że to był jego najlepszy funfel Dżak Menel. Nie wiedział co odpowiedzieć. Budzik na szafce nocnej pokazywał drugą w nocy, trochę był zaspany. Jednak nie wypadało zostawić przyjaciela na lodzie, zwłaszcza, że znał jego wrażliwą naturę. Zapytał lekko zaspanym głosem:

- To ty Dżak?

- Tak, buuu, chlip, chlip, to ja. Weź im coś powiedz, bo zrobię sobie coś złego – płakał przez telefon. Był w całkowitej rozsypce. Adamski znał ten histeryczny ton w głosie swojego najlepszego funfla. Wiedział, że to nie przelewki i że musi jak najszybciej zareagować. Powiedział do Menela:

- Uspokój się. Już sprawdzam.

- Byle szybko, byle szybko...buuuu...bo sobie coś zrobię – histerycznie powiedział Dżak i rozłączył się. Adamski słysząc w słuchawce rytmiczne „beep, beep, beep” wiedział, że także i tym razem to nie żarty. Znał przecież Dżaka nie od dziś. Postanowił działać. Wstał, szybko założył różowy szlafrok w krasnoludki, który dostał na 69 urodziny od Dżaka, włączył komputer. W wyszukiwarce internetowej wpisał adres: www.nieszuflujtakdzak.com, następnie zalogował się do panelu administratora – tylko on znał hasło. Szukał w „Wierszach”. Tu nic nie znalazł. Szukał w dziale „Forum”. „Jest!” – odetchnął z ulgą. Odnalazł sprawcę hysterii Dżaka. Wątek: „Rewelacyjna książka o Menelu. Musisz ją przeczytać”. Bez zbędnej zwłoki zaznaczył post jako skasowany i nacisnął „ENTER”.

Teraz pozostało mu już tylko czekanie. Dżak jednak nie oddzwaniał z podziękowaniami, co zawsze w podobnych sytuacjach robił. Adamski trochę się niepokoił o kondycję psychiczną przyjaciela i cały czas monitorował nowe wątki wpisywane na „Forum”. Trzy minuty po tym, jak wyciął wpis antymenelowy, ktoś wkleił następny o podobnej treści. Ten też usunął. Jednak to nie przyniosło efektu, bo za chwilę ktoś inny napisał to samo. W końcu pojawiła się lawina takich wpisów i nie nadązał z kasowaniem. Wpadł w prawdziwy amok: „kasuj+ENTER”, „kasuj+ENTER”, „kasuj+ENTER”. Po godzinie sytuacja jakby się unormowała. Atomizer Adamski, główny administrator portalu nieszufujtakdzak.pl, odsapnął zadowolony. „Nareszcie, koniec! Ufff, a było gorąco! Mam nadzieję, że to ich oduczyci trolowania!” – pomyślał. Na wszelki wypadek przejrzał jeszcze bazę danych, żeby sprawdzić, czy aby przypadkiem zbanowani użytkownicy nie próbują się ponownie rejestrować by nękać Dżaka kolejnymi wpisami.

- O kurwa! Co ja zrobiłem!?! – powiedział głośno.

Okazało się, że w bazie oprócz niego, Dżaka i Winniczka nie było innych userów. Wszystkich w tej godzinnej rzezi skasował. Ponad tysiąc nicków znikło wraz z naciśnięciem klawisza „ENTER”.

I tak oto kończy się historia Dżaka Menela. Czasem sensacyjna, czasem pouczająca, czasem śmieszna ale także smutna. Ktoś pewnie może czuć niedosyt, że tak nagle to się wszystko urywa i mógłby zapytać: „A co dalej z jego wierszami? Co dalej z jego książkami? Co z karierą medialną w ‘Łasskotkach z gwiazdami’? Jak zakończył się jego podbój internetu? I w ogóle: co dalej?”. Dla tych wszystkich mały skrót.

1) Wiersze.

Dżak już nigdy nikogo nie zachwyił trzynastozgłoskowcem.

2) Książki.

„Barbi” trafiła do kanonu lektur szkolnych dla klas szkoły podstawowej. Stało się tak dlatego, ponieważ Dżak miał jakieś powiązania z córką prezydenta. Ten polecił ministrowi edukacji, by wywalił szalonego Gombrowicza, a na jego miejsce wpisał na listę lektur „Barbi” Menela. Książka ta doczekała się telewizyjnej adaptacji. Na jej podstawie znany reżyser, specjalizujący się w ekranizacjach obowiązkowych lektur szkolnych, Andrzej Wajda, nakręcił film o takim samym tytule. Publiczność i tym razem nie zawiodła. Dzieciaki pchane przez panie od polskiego całym klasami odwiedzały kina. Dlatego akurat jeżeli chodzi o temat „Książki”, Dżak Menel osiągnął pewien sukces.

3) „Łasskotki” i telewizja.

Po emisji odcinka pilotażowego tego tok-szoł, badania telemetryczne wykazały, że oglądalność jest minimalna. Przesunięto porę emisji tego programu na godzinę pierwszą w nocy. Wkrótce, po zakontraktowanych dziesięciu odcinkach, program całkowicie zdjęto z anteny. Co prawda Dżak próbował jeszcze swoich sił w niszowej Telewizji 4, w której prowadził na żywo quiz „Zgarnij forsz”, gdzie namawiał do widzów do dzwonienia. Przekonywał nienaganną polszczyzną, że wydając tylko dwanaście złotych za minutę plus VAT, mogą wygrać całe pięć stów. Ale i ta rola okazała się niewypałem. Producenci programu szybko zorientowali się, że cycata blondyna jest bardziej sugestywna niż pan w cylindrze.

4) Podbój internetu.

Po pamiętnej rzezi na portalu nieszufluktadżak.pl, która zapisała się w świadomości społecznej jako „Czystka Adamskiego”, Dżak z Atomizerem, mimo usilnych starań nigdy nie powtórzyli sukcesu pierwszej strony internetowej. Szlag trafił plany o czerpaniu zysków z reklam. Oczywiście Dżak próbował się jeszcze ratować. Pisywał jakieś czterystuznakowe felietoniki dla innych portali. Jednak i tego zaprzestał, zdając sobie sprawę, że już po wszystkim, że jego wirtualnych pięć minut przepadło na własne życzenie.

5) Co dalej?

Dalej nic się takiego szczególnego nie wydarzyło. Dżak próbował swoich sił jeszcze w innych dziedzinach sztuki. Zaczął malować obrazy farbami plakatowymi. Tu okazał się kompletnym beztalenciem, chociaż próbował dowodzić, że jego dzieła mają bezpośredni związek z testami Rorszacha i że może warto by je stosować w koloroterapiach, tak bardzo modnych na zachodzie. Nikt się jednak na to nie nabrał.

Wygłosił też kilka wykładów dla starszych pań na tak zwanym Uniwersytecie Trzeciego Wieku. Jednak w związku z wysokim odsetkiem śmiertelności studentów, wkrótce zabrakło mu publiki. Próbował także rzeźbić. Zaczął od modelowania plasteliny, później strugał w mydle. Ale także bez większych sukcesów.

I w zasadzie to by było na tyle.